



POKÓJ
NA
WILEZY



opowieści wampiryczne

Pokój na wieży

Opowieści wampiryczne

Zawartość zbioru:

- Johann Wolfgang Goethe: Narzeczona z Koryntu
- Bram Stoker: Gość Drakuli
- Mikołaj Gogol: Wuj
- Aleksy K. Tołstoj: Rodzina wilkołaka. Nie wydany fragment z dziennika nieznanego
- Aleksy K. Tołstoj: Upiór
- Aleksander Dumas (ojciec): Biesiada widm (fragmenty)
- Joseph Sheridan Le Fanu: Carmilla
- Stefan Grabiński: W domu Sary
- Edward Frederic Benson: Pokój na wieży
- Jerzy Siewierski: Zemsta z za grobu
- Bob Leman: Pielgrzymka Clifforda M.

Johann Wolfgang Goethe

Naręczona z Koryntu

Do Koryntu przywędrował z Aten
Pewien młody, nieznany podróżny.
Ojców żyje tu powinowaty,
Z dawna mocne złączyły ich druzby.
Już przed laty dzieci swe
Na losy dobre i złe
W narzeczeństwa przeznaczili służby.

Lecz jak przyjmą go? – młody się troska –
Czy mu serca nie każą odmienić?
Poganinem wraz z swymi pozostał,
Oni są już od dawna ochrzczeni.
A tam, gdzie nową wiarą
Człek żyje, wnet już starą
Miłość, wierność jak chwast wyrwie z ziemi.

W ciszy nocnej spoczywa rodzina,
Tylko matki powiek sen nie zwiera;
Wnet przyjmuje młodzieńca jak syna,
Bieży izbę paradną otwierać,
Wnosi misy, wina dzban,
Potraw byś nie zliczył tam,
Z oczu matki bije radość szczerą.

Lecz ni wino, ni suta wieczerza
Znużonego gościa nie znęciły,
Bo zmęczenie nawet głód zwycięża
I na łoże go rzuca bez siły.
Podróżny zasypiał już,
Kiedy nagle – któż to, któż?
Czy to drzwi się same poruszyły?

Patrzy, a tu w promieniach księżycy,
W białej szacie i śnieżnym welonie
Cicho stoi na progu dziewica
Z czarno– złotą przepaską na skroni.
Kiedy chłopca ujrzała,
Z przerażenia drży cała
I w zdumieniu wznosi białe dłonie:

„Jam już obca w tym domu, jeżeli
Niewiadome mi gościa przybycie!
Ach! Zamknęli mnie i więżą w celi,
Nie wiem teraz ze wstydu, gdzie skryć się!
Spoczywaj, obcy panie,

Tu na swoim posłaniu,
Ja oddalę się stąd jak najszybciej”.

„Piękne dziecko, cóż cię tak zasmuca? –
Woła młody i z łoża się zrywa –
Tu Cerery są dary, Bakchusa,
Z tobą Amor skrzydlaty przybywa!
Czemuś blada jak płótno,
Pójdź, niechaj twarz twą smutną
Opromieni radość bogów żywa!”

„Stój, młodzieńcze! O, nie podchodź dalej!
Nie radości jam córa – cierpienia.
Mego losu przechyliły szalę
Drogiej matki chore urojenia.
Gdyż śluby jej ponure
Chcą młodość i naturę
W sługi nieba przemocą zamieniać.

Odtąd dawne nas bóstwa nie strzegą,
Barwny tłum ich pozostał za progiem;
Teraz czczą tu w niebie Jedynego,
Jakiś Zbawca na krzyżu ich bogiem.
I choć z byków ni jagniąt
Ofiary już nie pragną,
Za to z ludzkich serc. O, te są mnogie!”

A on pyta i waży jej mowę,
Która dziwnie serce niepokoi.
Tyżeś tutaj? Ty przede mną znowu,
Ukochana narzeczono, stoisz?
„Moją bądź! Wszak przysięga
Ojcowska niebios sięga.
Więc użyczą nam bóstwa łask swoich”.

„Nie! W zamęcie mnie oddać nie chcieli,
Moja siostra tobie przeznaczona.
Kiedy w cichej będę cierpieć celi,
Ach! Pamiętaj o mnie w jej ramionach.
Bom myślą wciąż przy tobie,
Co czuję, któż wypowie,
Gdy już z grobu nade mną zasłona”.

„Na płomienie zaprzysięgam święcie,
Co nam Hymen zwiastują łaskawe:
Tylko z tobą mnie wiąże zakłęcie,
W dom cię ojca powiodę niebawem!
Zostań, zostań tu ze mną,
Aby w tę noc tajemną
Święcić wspólnie weselną biesiadę!”

Wymieniają wierności oznaki:
Dziewczę łańcuch zawiesza mu złoty,
On jej czarę pragnie wręczyć z Attyki
W srebrze kutą, cudownej roboty.
„Dzięki ci za tę czarę,
Lecz najpiękniejszym darem
Będzie dla mnie lok twych włosów złotych”.

Głucho bije gdzieś duchów godzina;
Jakby życie zaczęło się dla niej,
Chciwie chłopce ze dzbana dziewczyna
Krwawe wino bladymi ustami.
Ale chleba pszennego
Pomimo próśb miłego
Ani kęsa z nim nawet nie łamie.

Dla młodzieńca napelnia swą czarę,
On ją duszkiem wychyla i nadal
Jej miłości domaga się z żarem;
Biada sercu młodego, o biada!
Wciąż się wzdraga dziewczyna,
Chłopiec błaga, zaklina,
W końcu z łkaniem na łożu upada.

Wtedy przyszła żalonna, zmartwiała.
„Jakże cierpię, że ci ból sprawiłam!
Ach! Lecz kiedy dotkniesz mego ciała,
Z dreszczem grozy poznasz, com tała.
Bo jako śniegi biała,
Ale na lód skostniała
Jest, o panie, wybrana twa miła”.

Śmiało porwał ją w swoje objęcia,
Młodość, miłość żar w piersi mu wlały;
„Ja bym ogrzał cię, wierzę w to święcie,
Choćby z grobu cię bogi przysłały!
Pocałunki gorące
Żarem krwi pałające!
Czy nie płoniesz od ust rozgorzałych?”

Mocny uścisk tętni upojeniem,
I łzy słone zraszają ich miłość,
Ona żądnie ssie mu z warg płomienie,
Jedno czucie tych dwoje złączyło.
Jego miłości siła
Martwą jej krew zbudziła,
Ale serce w jej piersi nie biło.

A tymczasem po domu komnatach

Jeszcze matka się snuje śród nocy.
Długo słucha i słucha na czatach,
Gdyż ją dziwne dolatują głosy:
Rozkoszny szept i skarga
U kochanków na wargach
I szał pieszczot, i westchnień miłosnych.

Nieruchomo przystaje, zdumiona,
Nie jest pewna, czy ją słuch nie myli.
I znów słyszy miłości imiona,
Gniewne prośby i szczebiot przymilny.
„Cicho! Zapał trzeci kur!
Ale jutro nocą tu
Przyjdiesz znów?” I całusy po chwili.

Matka z długo hamowanym gniewem
Otworzyła gwałtownie podwoje:
„Wstyd! Myślałam, że nie ma tu dziewczek,
Co kalają z obcym gniazdo moje!”
I porywczco wchodzi tam,
By przy jasnym świetle lamp
Ujrzyć – Boże! Ujrzyć dziecię swoje.

A młodzieniec z przerażeniem bierze
Kwef kochanki, by ją nim osłaniać,
To znów na nią narzuca kobierzec,
Ale ona ukrywać się wzbrania.
Przemocą, niecierpliwa,
Zasłony z siebie zrywa,
Wolno, długo powstaje z posłania.

„Matko! Matko! – głuchym głosem rzekła –
Tak zazdrościsz mi tej nocy z miłym,
Że wyganasz mnie stąd, z tego ciepła?
Więc mię bogi na rozpacz zbudziły?
Czyż jeszcze ci za mało,
Że truchłem moje ciało,
Że mnie w mroki wpędziłaś mogiły?

Z zimnej, czarnej grobu cieśni
Przyszłam szukać tu sprawiedliwości.
Ni kapłanów twych brzęczące pieśni,
Ni ich modłów nie pomoże głos ci.
Sól i woda nie studzą
Młodych serc, gdy się zbudzą,
Ach! I ziemia nie studzi miłości.

Przeznaczony on był wonczas dla mnie,
Gdy Wenery świątynie tu stały,
Lecz ty słowo swe złamałaś kłamnie,

Bo cię obce, złe śluby spętały.
Żaden bóg cię nie wysłucha,
Prośbom matki nie da ucha,
Jeśli córkę pokrzywdzić by śmiały.

Z grobu wyszłam w podśloneczne strony
Szukać dobra swego, choć umarła,
Kochać męża, co już utracony,
Krew serdeczną wysysać mu z gardła.
A kiedy to się stanie,
Mus mnie dalej wygania,
By młodź cała ofiarą mą padła.

Piękny chłopcze, żyć nie będziesz dłużej.
Zgaśniesz cicho – twe usta nie jękną.
Rychły skon ci złoty łańcuch wróży
I lok włosów ściętych moją ręką.
Spójrz na nie – o poranku
Będziesz siwy, kochanku,
Lecz tam znowu odzyskasz ich piękno.

A ty spełnij obowiązek matki:
Stos żałobny przygotuj nam z drzewa,
Otwórz wieko mej małej chatki,
Rzuć w płomienie kochanków. Tak trzeba.
Gdy iskry fruną wokół,
Gdy się rozżarzy popiół,
Ulecimy w starych bogów nieba”.

przełożyła Wanda Markowska

Bram Stoker

Gość Drakuli

Kiedy wyruszaliśmy na naszą przejażdżkę, słońce świeciło jasno nad Monachium, a powietrze przepelniała radość wczesnego lata. Gdy już mieliśmy odjechać, Herr Delbrück (*maître d'hôtel* hotelu „Cztery Pory Roku”, w którym się zatrzymałem) zszedł na dół z gołą głową, zbliżył się do powozu i życząc mi miłego spaceru, zwrócił się do woźnicy, trzymając rękę na kłance drzwiczek powozu:

– Pamiętajcie, żeby wrócić przed zapadnięciem nocy. Niebo jest pogodne, ale w północnym wietrze czuje się chłodny powiew, co świadczy, że może nadejść nagła burza. Jestem jednak pewien, że się nie spóźnicie. – W tym momencie uśmiechnął się i dodał: – Chyba wiecie, jaka noc jest dzisiaj? Johann odpowiedział znacząco: – Ja, mein Herr – i przykładając rękę do kapelusza szybko odjechał. Kiedy miasto zostało za nami, zapytałem, dając mu uprzednio znak, żeby się zatrzymał:

– Powiedzcie mi, Johann, co ma być dzisiaj w nocy?

Przeżegnał się, udzielając mi lakonicznej odpowiedzi:

– Noc Walpurgi. – Po czym wyjął zegarek, wielki, staromodny, srebrny zegarek, ogromny jak rzepa, popatrzył nań marszcząc brwi i z lekkim zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. Uświadomiłem sobie, że w ten sposób pragnie z całym szacunkiem zaprotestować przeciwko niepotrzebnej zwłoce. Oparłem się o poduszki powozu i skinąłem, żeby jechał dalej. Ruszył gwałtownie, jakby chcąc nadrobić stracony czas. Konie często unosiły głowy i podejrzliwie wachały powietrze. Ja zaś rozglądałem się dokoła z niepokojem. Droga była dosyć ponura, gdyż przejeżdżaliśmy przez coś w rodzaju wysokiego, omiatanego wiatrem płaskowyżu.

Gdyśmy tak jechali, spostrzegłem drogę, która sprawiała wrażenie bardzo mało uczęszczanej i wydawała się przechodzić przez niewielką wietrzną dolinę. Wyglądała tak zachęcająco, iż narażając się nawet na ryzyko, że go dotknę, zawołałem do Johanna, by się zatrzymał. Kiedy stanął, oznajmiłem mu, że chciałbym zjechać na tę drogę. Zaczął się wymawiać na wszelkie sposoby, kreśląc na piersi znak krzyża. Pobudziło to nieco moją ciekawość i zasypałem go pytaniami. Cały czas odpowiadał wymijająco i wielokrotnie, na znak protestu, zerkał na zegarek. Wreszcie powiedziałem:

– No cóż, Johann, chcę zejść na tę drogę. Nie proszę was, byście mi towarzyszyli, jeśli nie macie ochoty, ale powiedzcie mi tylko, proszę, dlaczego nie chcecie tego zrobić, to wszystko, czego od was chcę.

W odpowiedzi tak szybko znalazł się na ziemi, iż można było sądzić, że spadł z kozła. Wyciągnął błagalnie ręce i zaczął mnie zaklinać, abym tam nie szedł. Mieszał akurat tyle słów angielskich z niemieckimi, żebym był w stanie zrozumieć, co mi chce powiedzieć. Wciąż miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a wyzna mi coś – właśnie to coś, co najwidoczniej wprawiało go w takie przerażenie – lecz za każdym razem milkł, po czym mówił żegnając się:

– Noc Walpurgi.

Próbowałem z nim dyskutować, ale nie jest łatwo dyskutować z człowiekiem, nie znając języka, którym się posługuje. Całą korzyść z takiego stanu rzeczy odnosił niewątpliwie on, gdyż mimo że zaczynał mówić po angielsku – bardzo prymitywnym i łamanym językiem – po chwili wpadał w podniecenie i przechodził na swój język ojczysty – i za każdym razem, kiedy to robił, patrzył na zegarek. Po chwili konie zaczęły się niepokoić i wachać powietrze. Na ten widok Johann zbladł jak ściana, rozejrzył się z przestachem, a potem nagle skoczył do przodu, chwycił konie za cugle i odprowadził je jakieś dwadzieścia stóp dalej. Szedłem za nim, pytając, czemu to robi. W odpowiedzi przeżegnał się, wskazując miejsce, któreśmy opuścili, i poprowadził powóz w kierunku drugiej drogi, wskazując krzyż i mówiąc najpierw po

niemiecku, a potem po angielsku:

– Pochowali go, sam się zabił.

Przypomniałem sobie o starym obyczaju, że samobójców chowa się na rozstajnych drogach.

– Och, rozumiem, samobójstwo. To ogromnie interesujące!

Lecz choćby mnie kto zabił, nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego konie były wystraszone.

Gdyśmy tak rozmawiali, usłyszeliśmy nagle jakiś dźwięk – ni to skowyt, ni to szczekanie. Głos ten dochodził ze sporej odległości, niemniej konie znowu się zaniepokoiły i Johann musiał je bez przerwy uspokajać. Był bardzo blady, kiedy powiedział:

– To brzmi jak głos wilka, ale teraz nie ma tu wilków.

– Nie? – zapytałem. – A czy dawno wilki podchodziły tak blisko do miasta?

– Dawno, dawno – odparł – na wiosnę i w lecie, ale kiedy są śniegi, podchodziły tu całkiem niedawno.

Podczas gdy głaskał konie i próbował je uspokoić, niebo raptem pokryły ciemne chmury. Słońce zniknęło i wydało mi się, że koło nas przemknęło tchnienie lodowatego wiatru. Było to jednakże zaledwie tchnienie, raczej coś w rodzaju ostrzeżenia niż fakt, jako że słońce zaświeciło. Johann spojrział na horyzont spod uniesionej dłoni mówiąc:

– Burza śnieżna, nadejdzie bardzo niedługo.

Potem znowu popatrzył na zegarek i natychmiast, mocno ściągając lejce – jako że konie wciąż grzebały niespokojnie ziemię kopytami i potrząsały łbami – wspiał się na kozioł, jakby nadszedł czas, abyśmy ruszyli w dalszą podróż.

Ale ja byłem uparty i nie od razu wsiadłem do powozu.

– Opowiedzcie mi – prosiłem – o tej miejscowości, do której prowadzi ta droga. – I pokazałem w dół.

Znowu się przeżegnał i wymamrotał modlitwę, zanim udzielił mi odpowiedzi:

– To jest diabelskie.

– Co jest diabelskie?

– Wieś.

– To tam jest wieś?

– Nie ma. Nikt tam nie mieszka od trzystu lat.

Moja ciekawość została pobudzona.

– Ale powiedzieliście przecież, że tam jest wieś.

– Była.

– A gdzie się podziała w tej chwili?

I w tym momencie wybuchnął, zaczął mi opowiadać długą historię po niemiecku i angielsku, tak mieszając słowa obu tych języków, że nie byłem w stanie niczego pojąć, rozumiałem tylko z grubsza, że dawno temu, paręset lat, powymierali tam ludzie i pochowano ich w grobach: po jakimś czasie z podziemi zaczęły rozlegać się głosy, a kiedy pootwierano groby, znaleziono w nich mężczyzn i kobiety z rumieńcami na twarzy i z ustami czerwonymi od krwi. Pośpiesznie, chcąc ratować życie (och, również i dusze! – i w tym momencie przeżegnał się), ci, którzy pozostali przy życiu, puciekali do innych miejscowości, gdzie zamieszkali, a zmarli pozostali zmarłymi i niezmarłymi – ani tak, ani siak. Widać było, że Johann jest wyraźnie przestraszony wypowiadając te ostatnie słowa. Kiedy dalej opowiadał, ogarniało go coraz większe podniecenie. Miałem wrażenie, że całkowicie dał się ponieść fantazji; zakończył swoje opowiadanie najklasyczniejszym atakiem strachu: zbladł, zaczął się pocić, trząść, rozglądać na wszystkie strony, jakby czekając, że czyjaś straszliwa obecność zaraz da znać o sobie, tu, w blasku słońca, na otwartej równinie. W końcu zawołał w zupełnej desperacji:

– Noc Walpurgi! – i wskazał na powóz, proponując mi, żebym wsiadł. Na ten widok

zawrzała we mnie angielska krew i cofając się powiedziałem do Johanna:

– Wy się boicie, Johann, boicie się! Jedźcie do domu, ja wrócę sam. Spacer dobrze mi zrobi. – Drzwiczki powozu były otwarte. Wziąłem z siedzenia moją dębową laskę, którą zawsze zabieram wybierając się na niedzielną wycieczkę, zamknąłem drzwiczki, gestem wskazałem leżące za nami Monachium i powiedziałem: – Jedźcie do domu, Johann, noc Walpurgi nie dotyczy Anglików.

Konie były w tej chwili bardziej znarowione niż dotychczas i Johann robił, co mógł, żeby je uspokoić, równocześnie w największym podnieceniu błagając mnie, żebym nie popełniał takiego głupstwa. Współczułem biednemu człowiekowi, który przemawiał do mnie z takim przejęciem, ale równocześnie trudno mi się było powstrzymać od śmiechu. Z jego angielszczyzny nie pozostało ani śladu. Ogarnięty trwogą zapomniał, że jedynym sposobem, abym go zrozumiał, jest przemawianie do mnie w moim języku ojczystym, podczas gdy on paplał po niemiecku. W końcu zaczęło mnie to wszystko nudzić. Wydawszy mu polecenie, że ma wracać do Monachium, zawróciłem przez skrzyżowanie dróg i udałem się w kierunku doliny.

Z gestem pełnym rozpaczy Johann nawrócił konie w kierunku miasta. Oparłem się na lasce i patrzyłem w ślad za nim. Przez jakiś czas jechał wolno drogą; po chwili na szczycie wzgórza pojawił się wysoki chudy człowiek. Tyle tylko mogłem dostrzec z tej odległości. Kiedy człowiek ów zbliżył się do koni, zaczęły stawać dęba, gryźć się nawzajem i kwiczeć z przerażenia. Johann nie był już w stanie ich utrzymać; pomknęły drogą, uciekając jak oszalałe. Obserwowałem je, dopóki nie zniknęły z mojego pola widzenia, po czym zacząłem się rozglądać za tym obcym człowiekiem, lecz okazało się, że zniknął również i on.

Z lekkim sercem ruszyłem boczną drogą przez coraz głębszą dolinę. Z tego, co widziałem, nie było najmniejszego powodu do zastrzeżeń, jakie żywił Johann; sądzę, że wędrowałem tak kilka godzin, nie zastanawiając się ani nad odległością, ani nad upływem czasu, nie napotykając po drodze ani jednego człowieka czy domu. Cała okolica była całkowicie opustoszała, ale nie zwracałem na to specjalnej uwagi do chwili, kiedy minąwszy zakręt drogi, wyszedłem na postrzępiony skraj lasu. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że zupełnie podświadomie pozostawałem pod wrażeniem opustoszenia całej okolicy, przez którą przechodziłem.

Usiadłem, chcąc choć trochę wypocząć, i zacząłem się rozglądać. Uderzyło mnie, że było znacznie chłodniej aniżeli w momencie, kiedy rozpoczynałem swój spacer – wydało mi się, że słyszę dokoła jakieś westchnienia, a od czasu do czasu, wysoko w górze, coś jakby przytłumiony ryk. Spoglądając w górę dojrzałem, że na dużej wysokości, z północy na południe szybko przesuwały się grube zwały ogromnych chmur. Były to zwiastuny nadciągającej burzy, występujące w górnych warstwach powietrza. Trochę zmarzłem, ale myśląc, iż jest to skutek siedzenia bez ruchu po marszu, ruszyłem dalej.

Okolice, przez którą teraz przechodziłem, była o wiele bardziej malownicza. Nigdzie nie zauważyłem żadnych obiektów, które by się mogły rzucać w oczy, ale wszystko, co mnie otaczało, było urokliwie piękne. Zupełnie nie zważałem na godzinę, i dopiero pogłębiający się zmierzch zmusił mnie do zastanowienia się, jak odnaleźć drogę do domu. Jasność dnia zniknęła. Powietrze było zimne i teraz mogłem wyraźnie zauważyć, jak wysoko nad głową przesuwały się masy chmur. Towarzyszył temu jakiś oddalony gwałtowny dźwięk i wydawało mi się, że od czasu do czasu poprzez ten odgłos dociera do mnie tajemniczy krzyk, który woźnica określił jako wycie wilka. Zawahałem się chwilę. Ale ponieważ postanowiłem sobie, że obejrzę opuszczoną wieś, ruszyłem dalej i wyszedłem na szeroko otwartą przestrzeń, zewsząd otoczoną wzgórzami. Ich stoki porastały drzewa, które schodziły w dół aż ku równinie i kępami rosły na łagodniejszych zboczach i w rozsianych tu i ówdzie kotlinach. Przebiegłem wzrokiem wzdłuż wijącej się drogi i ujrzałem, że tworzy ona zakręt w pobliżu jednej z najgęściejszych kęp, a potem znika za nią.

Kiedy się tak przyglądałem drodze, w powietrzu poczułem podmuch zimna i zaczął padać śnieg. Pomyślałem o tych wielu milach pustkowia, jakie pozostały za mną, i szybko ruszyłem dalej, aby się schronić wśród drzew widniejących przede mną. Niebo ciemniało coraz bardziej, śnieg padał szybciej, coraz gęściejszy, aż w końcu cała ziemia, i przede mną, i wszędzie dokoła, zmieniła się w migotliwy dywan, którego krańce rozpląwały się we mgle. Droga była tu kiepska i na płaskim terenie jej pobocza nie rysowały się tak wyraźnie, jak tam, gdzie przechodziła przez wzgórze; niebawem stwierdziłem, że musiałem z niej zbroczyć, jako że pod nogami nie czułem już twardej powierzchni i zacząłem się głębiej zapadać w trawę i mech. Wiatr przybrał na sile, dął coraz mocniej, aż w końcu byłem zmuszony biec, popychany przez niego. Powietrze zrobiło się lodowato zimne i pomimo że byłem wysportowany, zaczęło mi to doskwierać. Śnieg padał teraz tak gęsty i tak się kłębił dokoła mnie, że z trudem mogłem utrzymać otwarte oczy. Niebo co chwila rozdzierały gwałtowne błyskawice i w ich świetle dojrzałem przed sobą spore skupisko drzew, głównie cisów i cyprysów, pokrytych warstwą śniegu.

Niebawem znalazłem się pod osłoną drzew i tam, we względnej ciszy, słyszałem, jak wysoko nad moją głową wyje wiatr. W tej chwili czerń burzy zaczęła się zlewać z ciemnością nocy. Burza zaczęła się chyba powoli oddalać, teraz dawała o sobie znać jedynie gwałtownymi podmuchami i porywami wiatru. W takich chwilach zdawało mi się, że niesamowity dźwięk wydawany przez wilka powtarza wiele podobnych głosów dokoła mnie, naśladując go niby echo.

Co jakiś czas przez czarną masę sunących chmur przebijał blask księżyca, oświetlając całą okolicę, co pozwalało mi dostrzec, że znajduję się na skraju zwartego skupiska cyprysów i cisów. Ponieważ śnieg przestał padać, wyszedłem spod swojej osłony i zacząłem się rozglądać bardziej dokładnie. Wydało mi się, że wśród tylu starych fundamentów, obok których przechodziłem, ostał się jeszcze jakiś dom, który mimo iż zrujnowany, mógłby na jakiś czas zapewnić mi schronienie. Posuwając się skrajem zagajnika odkryłem, że otacza go niski murek, i idąc wzdłuż niego, wkrótce natrafiłem w nim na wejście. W tym miejscu cyprysy tworzyły aleję, która wiodła do sylwety jakiejś kwadratowej budowli. Ale akurat w tym momencie, kiedy ją dojrzałem, płynące chmury przesłoniły księżyc, tak że dalej posuwałem się aleją w zupełnej ciemności. Wiatr musiał teraz być jeszcze zimniejszy, ponieważ gdy szedłem, wstrząsnął mną dreszcz. Ale przyświecała mi nadzieja, że znajdę jakieś schronienie, szedłem więc po omacku dalej.

Zatrzymałem się, gdyż nagle zapanowała kompletna cisza. Burza minęła; prawdopodobnie solidaryzując się z ciszą, jaka ogarnęła naturę, odniosłem wrażenie, że zatrzymało się również moje serce. Ale trwało to krótką chwilę; nagle blask księżyca przebił się przez chmury i zobaczyłem, że znajduję się na cmentarzu i że kwadratowa budowla widniejąca przede mną jest wielkim masywnym grobowcem z marmuru, białego jak śnieg, który pokrywał grobowiec i wszystko dokoła. W chwili gdy zabłysnął księżyc, rozległo się gwałtowne westchnienie burzy, która zdawała się odzyskiwać siły, wydając długie, niskie wycie, jakby zawyło wiele psów czy wilków. Byłem przestraszony i wstrząśnięty, poczułem bardzo wyraźnie, że ogarnia mnie zimno, postępując aż do serca. A potem, kiedy blask księżyca nadal zalewał marmurowy grobowiec, burza dała następny dowód swojego powrotu – jakby wracała na swój dawny szlak. Jak zafascynowany podszedłem do grobowca, chcąc go obejrzyć i zrozumieć, dlaczego stoi samotnie w takim miejscu. Obszedłem go dokoła i ponad doryckimi drzwiami odczytałem napis w języku niemieckim:

Hrabina Dolinger z Grazu
Styria
poszukiwana i znaleziona martwa
1801

Na szczycie grobowca, na pozór przechodząc przez lity marmur – jako że grobowiec był zbudowany z kilku potężnych bloków kamienia – widniało wielkie żelazne ostrze czy stożek. Kiedy zaszedłem od tyłu, ujrzałem napis z wielkich liter wypisany cyrylicą:

Zmarły podróżuje szybko

W tym wszystkim było coś tak tajemniczego i niesamowitego, że musiałem zawrócić i poczułem, że robi mi się słabo. Po raz pierwszy pożałowałem, że nie usłuchałem rady Johanna. I w tym momencie przemknęła mi przez głowę myśl – a nastąpiło to w tak niezwykłych okolicznościach, że poczułem się wstrząśnięty – przecież to była noc Walpurgi!

Noc Walpurgi, kiedy zgodnie z wierzeniami milionów ludzi diabeł hasa po świecie, groby się otwierają, a zmarli wychodzą z nich i spacerują. Kiedy wszystkie złe moce na ziemi, w powietrzu i wodzie hasają. I właśnie tego miejsca woźnica wystrzegał się najbardziej, tej wyludnionej od wieków wsi. Właśnie tu pochowany był samobójca; i było to miejsce, w którym znalazłem się sam jak palec – nie uzbrojony, trzęsący się z zimna, w całunie śniegu, kiedy wściekła burza znowu się miała na mnie zwalić! Przywołałem na pomoc całą swoją filozofię, całą religię, jakiej mnie nauczono, całą odwagę, żeby się nie załamać w przystępie przerażenia.

Teraz zważyło się na mnie prawdziwe tornado. Ziemia dygotała, jakby z grzotem galopowało po niej tysiące koni; tym razem burza niosła na swoich lodowatych skrzydłach nie śnieg, ale ogromny grad, walący z taką siłą, jakby był wyrzucany ręką balearskich procarzy – grad, który ogołacał drzewa z liści i gałęzi, tak że cyprysy tworzyły teraz taką samą osłonę jak łodygi zboża. W pierwszym momencie podskoczyłem do najbliższego drzewa, ale po chwili musiałem wyjść stamtąd i poszukać jedyne miejsce, które wydawało się ofiarowywać schronienie – głębokiego doryckiego wejścia do marmurowego grobowca. Potem, kiedy już przycupnąłem koło masywnych drzwi z brązu, miałem niejaką osłonę przed tłukącym gradem, bo kulki lodu trafiały we mnie jedynie wówczas, kiedy odbijały się od ziemi albo od powierzchni marmuru.

Gdy oparłem się o drzwi, poruszyły się lekko i otworzyły się do wnętrza. W czasie tak okrutnej nawałnicy nawet możliwość schronienia się w grobowcu była pociągająca. Właśnie zamierzałem wejść do środka, kiedy rozbłysła rozwidlona błyskawica oświetlając całuteńkie niebo. I w tym momencie ja, żywy człowiek, zobaczyłem – jako że mój wzrok skierowany był w ciemną głąb grobowca – piękną kobietę, o zaokrąglonych policzkach i czerwonych wargach, która zdawała się spać na marach. Kiedy nad moją głowę zadudnił piorun, coś mnie schwytyło, niby ręka olbrzyma, i zostałem wyrzucony w burzę. Wszystko to stało się tak nagle, że zanim mogłem sobie zdać sprawę ze wstrząsu, zarówno fizycznego jak psychicznego, poczułem, że uderzają we mnie ziarna gradu. Równocześnie doznałem dziwnego, przemożnego wrażenia, że nie jestem sam. Spojrzałem w kierunku grobowca. Właśnie w tym momencie znowu rozbłysła oślepiająca błyskawica i wydało mi się, że piorun trafia w żelazny stożek wieńczący szczyt grobowca i spływa po nim na ziemię, niszcząc i krusząc marmur w wybuchu płomienia. Martwa kobieta uniosła się w chwili męki, gdy ogarnął ją ogień, i jej przejmujący okrzyk bólu zmieszał się z traskiem piorunu. I to była ostatnia rzecz, jaką usłyszałem, właśnie to połączenie przerażającego dźwięku, po czym znowu zostałem złapany jakimś potężnym chwytem i odrzucony w bok, a grad tłukł we mnie i całe powietrze dookoła zdawało się rozbrzmiewać wyciem wilków. A ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, była niewyraźna, biała, poruszająca się masa, jakby wszystkie grobowce w pobliżu powysyłały widma spoczywających w nich i spowitych w całuny nieboszczyków, którzy otaczali mnie wśród białej, rozkołysanej zasłony zacinającego gradu.

Stopniowo nadeszło coś niby mglisty początek świadomości. Potem ogarnęło mnie wręcz straszne uczucie zmęczenia. Przez jakiś czas nie mogłem sobie niczego przypomnieć, ale

powoli odzyskiwałem zmysły. Stopy bolały mnie jak poddawane torturom, mimo że nie byłem w stanie nimi poruszyć. Wydawały się zupełnie pozbawione czucia. Na kark i wzdłuż całego kręgosłupa jakby mi kto przyłożył kawałek lodu, a uszy, podobnie jak stopy, były martwe, chociaż potwornie mnie bolały; natomiast w piersi czułem ciepło, co w zestawieniu z tamtymi doznaniem było czymś wręcz cudownym. Wszystko razem przypominało koszmar – fizyczny koszmar, jeśli się można tak wyrazić, gdyż ciężar uciskający pierś sprawiał, że trudno mi było oddychać. Mam wrażenie, iż ten stan pozornego letargu utrzymywał się dość długo, a gdy minął, musiałem spać albo znajdować się w omdleniu. Potem zrobiło mi się niedobrze jak w pierwszym stadium choroby morskiej, a towarzyszyło temu wprost dzikie pragnienie, żeby od czegoś się uwolnić, ale nie miałem pojęcia od czego. Otaczała mnie ogromna cisza, jakby cały świat albo spał, albo był martwy – zakłócało ją jedynie powolne dyszenie, jakby tuż obok znajdowało się jakieś zwierzę. Poczulem na gardle ciepło i usłyszałem zgrzytanie. Zdałem sobie sprawę z przerażającej prawdy, która zmroziła mnie aż po samo serce, a przez mózg przetoczyła falę krwi. Leżało na mnie jakieś wielkie zwierzę i lizało mi gardło. Bałem się poruszyć. Instykt, nakazujący ostrożność, kazał mi leżeć spokojnie, ale to bydlę chyba zrozumiało, że nastąpiła we mnie jakaś przemiana, gdyż uniosło głowę. Przez rzęsy ujrzałem nad sobą dwoje wielkich płonących oczu gigantycznego wilka. Jego ostre białe kły połyskiwały w rozdziawionym czerwonym pysku i doskonale czułem na sobie gorący oddech, dziki i cierpki.

Przez następną chwilę nie pamiętałem nic. Potem dotarło do mnie niskie warknięcie, po którym nastąpił skowyt i powtórzył się jeszcze i jeszcze raz. A po chwili, prawdopodobnie z wielkiej odległości, usłyszałem „Halo!” „Halo!”, jakby wiele głosów wołało równocześnie. Ostrożnie uniosłem głowę i popatrzyłem w stronę, skąd dobiegały głosy, ale cmentarz przesłonił mi widok. Wilk dalej skowyczał w przedziwny sposób, w gaju cyprysowym zaczął się poruszać czerwony blask, jakby postępując za głosem. Kiedy głosy się zbliżyły, wilk zaskowyczał szybciej i głośniej. Bałem się nawet drgnąć czy wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Czerwona poświata zbliżyła się, przenikając biały całun rozciągający się dokoła w ciemność. Nagle spoza drzew wyjechał kłusem oddział jeźdźców z pochodniami w rękach. Wilk podniósł się z mojej piersi i odszedł na cmentarz. Zobaczyłem, jak jeden z jeźdźców (byli to żołnierze, sądząc po ich czapkach i długich wojskowych płaszczach) uniósł karabin i zamierzył się. Jego kolega podbił mu ramię i usłyszałem nad głową gwizd kuli. Nie ulegało wątpliwości, że wziął moje ciało za wilka. Inny wypatrzył zwierzę, które zmykało chyłkiem, i gruchnął strzał. Potem oddział galopem ruszył przed siebie, niektórzy żołnierze w moim kierunku, inni ścigając wilka znikającego wśród okrytych śniegiem cyprysów.

Kiedy podjechali bliżej, usiłowałem się poruszyć, ale nie miałem ani krzty siły, chociaż słyszałem i widziałem, co się wokół mnie dzieje. Dwóch czy trzech żołnierzy zeskoczyło z koni i ukłękło obok. Jeden z nich uniósł moją głowę i przyłożył mi rękę do piersi.

– Dobra jest, koledzy! – zawołał. – Serce jeszcze bije!

Po chwili wiano mi do gardła trochę brandy, dodało mi to wigoru i mogłem już zupełnie otworzyć oczy i rozejrzeć się. Wśród drzew poruszały się światła i cienie i słyszałem, jak ludzie nawołują się nawzajem. Zjechali się w gromadę, wydając pełne przerażenia okrzyki; rozbłysły światła, kiedy podjechali inni, wynurzając się spoza chaotycznie rozrzuconych grobów, jak jacyś opętańcy. Kiedy ci, co byli najdalej, podjechali do nas, otaczający mnie żołnierze zapytali skwapliwie:

– No i co, znaleźliście go?

Padła pośpieszna odpowiedź:

– Nie, nie! Odjeżdżajmy szybko! W takim miejscu nie należy się zatrzymywać, zwłaszcza w taką noc!

– Co to było? – zabrzmiało pytanie zadawane we wszystkich tonacjach. Odpowiedzi padały różne, wszystkie równie nieokreślone, jakby tymi ludźmi kierował jeden wspólny impuls, by mówić, a równocześnie powstrzymywał ich jeden wspólny lęk, żeby się nie zdradzić

z myślami.

– To TO, naprawdę! – powiedział bez zająknięcia jeden, którego koncept w tej chwili wyraźnie się wyczerpał.

– Wilk, a jednak nie wilk! – wtrącił drugi wzdrygając się.

– Nie ma co strzelać do niego, jak się nie ma poświęconej kuli – zauważył trzeci o wiele normalniejszym tonem.

– Dobrze się nam przysłużył, że wyszedł tej nocy! Rzetelnie zarobiliśmy nasze tysiąc marek! – zawołał czwarty.

– Na potrzaskanym marmurze jest krew – powiedział jeszcze inny po chwili milczenia – to nie może być od piorunu. A on, nic mu nie jest? Patrzcie na jego gardło! Koledzy, wilk leżał na nim i ogrzewał go.

Oficer spojrział na moje gardło i powiedział:

– Wszystko w porządku, skóra nie jest przebita. Co to wszystko znaczy? Nigdy byśmy go nie znaleźli, gdyby nie skowyt tego wilka.

– Co się z tym wilkiem stało? – zapytał żołnierz podtrzymujący mi głowę, który wydawał się najmniej spanikowany spośród całego grona; ręce miał pewne, wcale mu się nie trzęsły. Na jego rękawie widniały naszywki podoficera.

– Poszedł do domu – odpowiedział żołnierz o długiej bladej twarzy, który dygotał wciąż z przerażenia i rozglądał się na wszystkie strony. – Dostyc tu grobów, ma się gdzie położyć. Jedźmy, koledzy, jedźmy szybko! Zostawmy to przekłete miejsce!

Oficer postawił mnie na nogi, równocześnie wydając słowa komendy; po chwili kilku ludzi włądowało mnie na konia. Oficer wskoczył na siodło za mną, objął mnie ramionami i kazał ruszać. Odwracając twarze od cyprysów odjechaliśmy szybko w wojskowym ordynku.

Język wciąż odmawiał mi posłuszeństwa, więc z konieczności milczałem. Musiałem zapaść w sen, gdyż następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że stoję, z obu stron podtrzymywany przez żołnierzy. Był prawie jasny dzień, na północy, ponad pustą przestrzenią okrytą śniegiem, promieniało czerwone pasemko słonecznego światła jak krwawa ścieżka. Oficer tłumaczył swoim ludziom, żeby nie powtarzali, co widzieli, nic poza tym, że znaleźli jakiegoś Anglika, którego pilnował pies.

– Pies! To nie był pies! – wtrącił się żołnierz, który przejawiał tyle strachu. – Myślę, że poznałbym wilka, kiedy bym go zobaczył.

Młody oficer odparł spokojnie:

– Powiedziałem, że to był pies!

– Pies! – ironicznie powtórzył żołnierz. Widać było wyraźnie, że wraz z ukazaniem się słońca wraca mu odwaga; wskazując na mnie odezwał się: – Spójrzcie na jego gardło. Czy to robota psa?

Instynktownie uniosłem rękę do gardła i kiedy dotknąłem go, krzyknąłem z bólu. Otoczyli mnie żołnierze, żeby mi się przyjrzeć, niektórzy posiadali z siodeł. I znowu zabrzmiał łagodny głos młodego oficera:

– Powiedziałem: pies. Jeśli opowiedzielibyśmy co innego, tylko by nas wyśmiano.

Posadził mnie w siodle za kawalerzystą i wjechaliśmy na przedmieście Monachium. Tu napotkaliśmy jakiś przygodny powóz, wsadzono mnie do niego i ruszyliśmy do „Czterech Pór Roku” – młody oficer towarzyszył mi, jeden z kawalerzystów prowadził jego konia, a reszta żołnierzy pojechała do swoich baraków.

Kiedyśmy się tam zjawili, Herr Delbrück tak szybko zbiegł ze schodów na moje powitanie, że było jasne, iż obserwował z okna okolicę. Ująwszy mnie za obie ręce, troskliwie wprowadził do hotelu. Oficer zasalutował mi i już się odwracał, żeby się wycofać, ale kiedy zdałem sobie sprawę, co zamierza, zacząłem nalegać, by wszedł do moich pokoi.

Przy szklaneczce wina gorąco podziękowałem za ocalenie jemu i jego dzielnym towarzyszom. Odpowiedział prosto, że ogromnie się cieszy i że Herr Delbrück zaraz na wstępie

zadbał, by cały oddział, który mnie poszukiwał, był zadowolony. Słyszając tę zagadkową wypowiedź *maître d'hôtel* uśmiechnął się, a oficer powołał się na swoje obowiązki i wyszedł.

– Ale, Herr Delbrück – zapytałem – jak to się stało i dlaczego, że ci żołnierze zaczęli mnie szukać?

Wzruszył ramionami, jakby bagatelizując własny postępek, i odpowiedział:

– Miałem szczęście, że dowódca regimentu, w którym niegdyś służyłem, zgodził się na zwerbowanie ochotników.

– Ale skąd pan wiedział, że się zgubiłem? – zapytałem.

– Przyjechał woźnica ze szczątkami powozu, który się przewrócił, kiedy konie poniosły.

– Ale z pewnością nie był to jedyny powód, dla którego wysłał pan oddział żołnierzy na moje poszukiwanie?

– Och, nie! – odparł. – Jeszcze zanim wrócił woźnica, otrzymałem telegram od bojara, którego jest pan gościem. – I wyjął z kieszeni telegram, który mi wręczył. Przeczytałem:

Bystrzyca

Proszę mieć pieczę nad moim gościem – jego bezpieczeństwo jest dla mnie bardzo ważne. Gdyby cokolwiek mu się stało lub zaginął, proszę zrobić wszystko, aby go odnaleźć i zapewnić mu bezpieczeństwo. Jest Anglikiem, a zatem lubi ryzyko. W nocy często mogą zagrażać śnieg i wilki. Jeżeli powźmie pan podejrzenie, że może mu się przydarzyć coś złego, proszę nie tracić ani chwili. Pańską gorliwość sowicie wynagrodzę.

Drakula

Trzymałem telegram w ręce, a cały pokój zdawał się wirować, gdyby troskliwy *maître d'hôtel* mnie nie podtrzymał, myślę, że byłbym się przewrócił. W tym wszystkim było coś tak dziwnego, tak niesamowitego i nie dającego się zrozumieć, iż zrodziło się we mnie poczucie, że moja osoba stała się igraszką jakichś zwalczających się sił – był to zaledwie domysł, niemniej myśl ta zupełnie mnie sparaliżowała. Nie ulega kwestii, że znajdowałem się pod opieką jakiejś tajemnej siły. Z odległego kraju, dosłownie w ostatnim momencie nadeszła wiadomość, która wybawiła mnie od zamarznienia i paszczeni wilka.

przełożył Aleksander Bogdański

Mikołaj Gogol

Wij

Gdy tylko uderzał rankiem, w Kijowie, dość dźwięczny seminaryjny dzwon, wiszący przy wrotach Brackiego monasteru, zaraz z całego miasta pędziły tłumy uczniów i seminarzystów. Gramatycy, retorzy, studenci filozofii i teologii, z zeszytami pod pachą ciągnęli do klas. Gramatycy byli jeszcze bardzo mali; idąc, poszturchiwali jeden drugiego i kłócili się między sobą cieniuteńkim dyszkantem; prawie wszyscy mieli na grzbietach podarte albo wybrudzone ubrania, a ich kieszenie wiecznie pełne były wszelakiego śmiecia: kości do gry, piszczałek z ptasich piór, niedojedzonego placka, a czasami nawet maleńkich wróbelków, z których jeden, nagle ćwierknąwszy pośród nadzwyczajnej ciszy w klasie, dostarczał swojemu opiekunowi solidnego walenia linijką po rękach, a bywało, że i wiśniowych różeg. Retorzy szli stateczniej: szaty mieli często zupełnie całe, ale za to na twarzy prawie zawsze widniała jakaś ozdoba w kształcie retorycznego tropu: albo jedno oko uciekało pod samo czoło, albo zamiast wargi potężny bąbel, albo jakiś inny znak szczególny; ci rozmawiali i zaklinali się między sobą tenorem. Filozofowie brali całą oktawę niżej; w ich kieszeniach, oprócz mocnych tytoniowych korzonków, nie było nic. Nie robili żadnych zapasów i wszystko co im się trafiło, pożerali natychmiast; czuć było od nich fajkę i gorzałkę, nieraz tak mocno, że przechodzący obok rzemieślnik, zatrzymawszy się, długo jeszcze wciągał powietrze, niczym pies gończy.

Rynek, jak zwykle o tej porze, dopiero zaczynał się ożywiać i przekupki handlujące bublikami, bułkami, pestkami arbuźów i makowcami chwytają za poły tych, u których owe poły uszyte były z cieniutkiego sukna albo jakiejś bawełnianej tkaniny.

– Panowie ! Panowie! tutaj! Tutaj! – trajkotały ze wszystkich stron. – Bублиki, makowce, świeżutkie kołaczki! Przepyszne! Na miodzie! Sama piekłam!

Inna, podniósłszy coś długiego, skręconego z ciasta, krzyczała:

– Chałka, panowie, kupcie chałkę!

– Nie kupujcie od niej niczego: patrzcie, jaka wstrętna – i nos ma brzydki i ręce brudne..

Jednakowoż filozofów i teologów bały się zaczepiać, dlatego, że filozofowie i teologowie zawsze lubili brać tylko na próbę, a przy tym pełną garścią.

Po przyjsciu do seminarium cała gromada rozchodziła się po klasach, znajdujących się w dość niskich, lecz za to przestronnych salach, zaopatrzonych w niewielkie okna, szerokie drzwi i brudne ławki. Klasa napelniała się z nagłą wielogłosowym brzęczeniem: audytorzy wysłuchiwali swoich uczniów; dźwięczny dyszkant gramatyka nakładał się właśnie na brzęk szkła wstawionego w maleńkie okna i szkło odpowiadało niemal tym samym tonem; w kącie buczał retor, którego gęba i tłuste wargi powinny przynależeć co najmniej do filozofii. Buczał niskim głosem i tylko słycać było z oddali: bu, bu, bu... Audytorzy, słuchając lekcji, patrzyli jednym okiem pod ławę, gdzie z kieszeni potulnego seminarzysty wyglądała bułka, pieróg, bądź też pestki z dyni.

Jeśli cała ta uczona hałastrą zdążyła przyjść trochę wcześniej lub jeśli wiedzieli dobrze, że profesorowie pojawią się później niż zwykle, za powszechnym porozumieniem urządzano bój. W tym boju powinni byli uczestniczyć wszyscy, także cenzorzy, zobowiązani do pilnowania porządku i obyczajności całego uczącego się stanu. Dwaj teologowie zazwyczaj decydowali według jakiego planu ma toczyć się bitwa: czy każda klasa powinna walczyć osobno, czy wszyscy mają podzielić się na dwie połowy: bursę i seminarium. W każdym wypadku zaczynali gramatycy, a kiedy tylko wtrącali się retorzy, dawali drapaka, by zająć miejsca na podwyższeniach i stamtąd przyglądać się starciu. Potem wkraczała filozofia z długimi, czarnymi wąsami, a na koniec i teologia w okropnych szarawarach i z tłustymi szyjami. Zazwyczaj kończyło się tym, że teologia tłukła wszystkich, a filozofia, masując

obolałe boki, zostawała wyparta do klasy i tam odpoczywała, zajmując miejsca w ławkach. Profesor wchodzący do sali, sam niegdyś uczestniczący w podobnych potyczkach, w jednej chwili, po rozpalonych twarzach swoich słuchaczy, poznawał, że bój był setny, i w tym czasie, kiedy siekł różgami po palcach retorykę, w innej klasie, inny nauczyciel łoił drewnianą łopatką po rękach filozofię. Ze studentami teologii postępowano zupełnie innym sposobem: według powiedzenia profesora teologii, odsypywało się im po miarce grubego grochu, co oznaczało porządne skórzane baty.

W uroczystości i święta seminarzyści i bursacy rozchodzili się po domach z wertepami. Niekiedy odgrywali komedię i w takim wypadku zawsze wyróżniał się jakiś teolog, wzrostem niewiele mniejszy od kijowskiej dzwonnicy, przedstawiający Herodiadę albo Putyfarową, żonę egipskiego dworzanina. W nagrodę otrzymywali rąbek płótna, worek prosa, bądź też połówkę gotowanej gęsi i tym podobne rarytasy.

Całe to uczone bractwo, tak seminarium, jak i bursa, które odnosiło się do siebie z jakąś dziedziczną wrogością, było nadzwyczaj biedne jeśli idzie o środki utrzymania, a przy tym niesłychanie żarłoczne, tak, że policzenie ile klusek każdy z nich pałaszował podczas wieczerzy, byłoby sprawą absolutnie niemożliwą. Dlatego dobrowolne ofiary bogatych właścicieli nie mogły być wystarczające. W tej sytuacji senat, składający się z filozofów i teologów, wysyłał gramatyków i retorów pod przewodnictwem jednego filozofa, a bywało, że i sam się przyłączał – z workami na plecach, pustoszyć cudze ogrody. Wtedy w bursie pojawiała się kasza z dyni. Senatorowie tak bardzo objadali się arbuzami i dyniami, że na drugi dzień audytorzy słyszeli zamiast jednej – dwie lekcje: jedna rozlegała się z ust, druga burczała w senatorskim żołądku. Bursacy i seminarzyści nosili szaty podobne do długich surdutów, rozpościerających się "po wsze czasy": techniczne wyrażenie, oznaczające, że sięgały one poza pięty.

Najbardziej uroczystym dla seminarium wydarzeniem były wakacje, rozpoczynające się w lipcu, kiedy to bursa wedle zwyczaju rozchodziła się po domach. Wówczas cała główna droga wypełniała się gramatykami, filozofami i teologami. Kto nie posiadał własnego schronienia, szedł do któregoś z towarzyszy. Filozofowie i teologowie udawali się "na kondycję", to znaczy udzielali korepetycji dzieciom zamożnych obywateli i otrzymywali za to raz do roku nowe buty, a nieraz i na surdut. Cała ta czereda ciągnęła razem, pełnym taborem; warząc sobie strawę i nocując w polu. Każdy taszczył ze sobą worek, w którym znajdowała się jedna koszula i para onuc. Teologowie byli szczególnie oszczędni i gospodarni: żeby nie zedrzeć butów, zdejmowali je, wieszali na kijach i nieśli na plecach, zwłaszcza wtedy, gdy było błoto. Wówczas, podwinąwszy spodnie do kolan, nieustraszenie brodzili po kałużach. Kiedy tylko dostrzegali w pobliżu jakąś osadę, natychmiast zbaczali z głównej drogi, zbliżali się do najokazalszej chaty, stawali rzędem pod oknami i pełną piersią zaczęli śpiewać kantyk. Gospodarz chałupy, jakiś stary chłop – kozak, przysłuchiwał im się długo, podpartszy się obiema rękami, potem wzdychał gorzko i mówił do swojej żony: "Żonko! Pewnie, co rozumnie śpiewają; wynieś im słoniny i co tam jeszcze mamy!". I cała miska pierogów zniknęła we wnętrzu studenckiego worka. Porządny kawał słoniny, kilka pszenicznych bułek, a czasami i skrzepowana kura, zajmowały miejsca obok. Pokrzepiwszy się takim zapasem, gramatycy, retorzy, filozofowie i teologowie kontynuowali wędrówkę. Jednakże im dalej szli, tym bardziej przerzedzała się ich gromada. Wszyscy prawie porozchodzili się po domach, zostawiali tylko ci, których gniazda rodzinne leżały najdalej.

Pewnego razu, w czasie podobnej pielgrzymki, trzech seminarzyści zeszli z głównej drogi, z myślą, by w pierwszym napotkanym chutorze zaopatrzyć się w prowiant, worek bowiem już od dawna mieli pusty. Byli to: teolog Chalawa, filozof Choma Brutus i retor Tiberij Gorobiec.

Teolog był postawnym, barczystym mężczyzną i miał niezwykle dziwny zwyczaj: kradł wszystko, cokolwiek leżało w zasięgu jego wzroku. W przeciwnym razie charakter jego był wyjątkowo posępny i kiedy upijał się i chował w burzanie, całe seminarium musiało nieźle się

natrudzić, żeby go tam odnaleźć.

Filozof Choma Brutus był człowiekiem wesołego usposobienia. Bardzo lubił wylegiwać się i palić fajkę. Jeśli już pił, to niezawodnie najmował muzykantów i odtancowywał trepaka. Często kosztował grubego grochu, ale zawsze z filozoficznym nastawieniem, – mówiąc, że, co ma być, to będzie. Retor Tiberij Gorobiec nie miał jeszcze prawa do noszenia wąsów, picia gorzałki i palenia fajki. Posiadał tylko osełdec i dlatego charakter jego w tym czasie mało jeszcze był rozwinięty; sądząc jednak po ogromnych guzach na czole, z którymi często pojawiał się w klasie, można było wnosić, iż będzie z niego tęgi wojak. Teolog Chalawa i filozof Choma często targali go za czub na znak swojej protekcji i używali w charakterze posła.

Był już wieczór, kiedy skręcili z głównej drogi. Słońce dopiero co zaszło i ciepło dnia czuć było jeszcze w powietrzu. Teolog i filozof szli w milczeniu, paląc fajki; retor Tiberij Gorobiec strącał kijem główki chwastów, rosnących na skraju drogi. Droga wiodła między rozrzuconymi kępami dębów i leszczyny, pokrywającymi łąkę. Łagodne zbocza i niewielkie pagórki, zielone i okrągłe jak kopuły, niekiedy przecinały równinę. Prześwitujące w dwóch miejscach pole z dojrzewającym żytem dawało znać, że wkrótce powinna pojawić się jakaś wieś. Minęła jednak godzina od czasu, gdy zauważyli zbożowe łąny, a jeszcze nie widać było żadnych ludzkich siedzib. Zmierzch już całkiem poczerzył niebo i tylko na zachodzie gasły ostatki purpurowej zorzy.

– Co u licha? – odezwał się filozof Choma Brutus – wydawało się, że zaraz będzie chutor.

Teolog pomilczał, rozejrzał się po okolicy, wsadził w usta swoją fajeczkę i ruszył w dalszą drogę.

– Dalibóg! – powiedział, ponownie zatrzymawszy się, filozof. – Ani żywej duszy!

– A może trafi się dalej jakaś osada – powiedział teolog, nie wyjmując fajki.

Jednakowoż zapadła już noc i to noc dosyć ciemna. Niewielkie chmury zagaściły mrok i sądząc po wszystkich znakach, nie należało oczekiwać ani gwiazd, ani księżyca.

Seminarzyści spostrzegli, że zabłądzili i już od dłuższego czasu nie szli gościńcem. Filozof, poszperawszy po omacku nogami we wszystkie strony, na koniec powiedział ostro:

– A gdzie jest droga?

Teolog pomilczał i podumawszy chwilę dorzucił:

– Taaa... ciemna noc.

Retor odszedł na bok i starał się, czołgając po ziemi, wymacać trakt, lecz jego ręce trafiały tylko w lisie nory. Wszędzie wokół był jedynie step, po którym zdawało się, nikt nie jeździł. Wędrowcy zdobyli się jeszcze na wysiłek i poszli nieco do przodu, ale wszędzie wokół była taka sama dzicz.

Filozof spróbował nawoływać, jednak jego głos ucichł w oddali nie napotykając żadnej odpowiedzi. Po pewnym czasie tylko dały się słyszeć słabe jęki, przypominające wycie wilka.

– To ci dopiero, i co teraz? – powiedział filozof.

– Jak to co? Pozostaje nam nocować w polu! – odparł teolog i zaczął szukać po kieszeni krzesiwa, żeby ponownie zapalić swoją fajkę.

Jednak filozof nie mógł się pogodzić z takim stanem rzeczy. Miał bowiem zwyczaj łądować na noc półpudowy kawał chleba wraz z ćwiartką słoniny i odczuwał obecnie nieznośną pustkę w żołądku. Przy tym, pomimo swojego wesołego usposobienia, bał się jednak troszkę wilków.

– Nie, Chalawa, nie można. – powiedział. – Jakże tak, nie pokrzepiwszy się niczym, rozciągnąć się na ziemi, jak jakiś pies? Popróbujmy jeszcze; może natrafimy na ludzką siedzibę i choć czarkę gorzałki uda się na noc wypić.

Przy słowie "gorzałka" teolog splunął na bok i dorzucił:

– Jasne, nie ma co zostawać w polu.

Seminarzyści poszli naprzód i wkrótce, ku ogromnej ich radości, zdało im się, że w oddali słyszą szczekanie. Posłuchawszy, z której strony dobiega, żwawo ruszyli w drogę i przeszedłszy

jeszcze kawałek, zobaczyli malutkie światełko.

– Chutor! Dalibóg, chutor! – ucieszył się filozof.

Przezucie go nie omyliło: po krótkim czasie ujrzeni rzeczywiście niewielką osadę, złożoną z dwóch tylko chat, znajdujących się w jednej i tej samej zagrodzie. W oknach paliło się światło. Dziesięć śliw sterczało zza płotu. Zaglądnawszy przez szpary w drewnianej bramie, seminarzyści ujrzeni podwórze, zastawione czumackimi wozami. Gdzieś na niebie lśniły gwiazdy.

– Dalej braciszku, nie ociągajcie się! Co też by to nie było, trzeba nam zdobyć nocleg!

Trzej uczeni mężowie wspólnie zakołatali do wrót i krzyknęli:

– Otwórzcie!

Drzwi w jednej z chat zaskrzypiały i po minucie seminarzyści dostrzegli przed sobą staruchę przyodzianą w kozuch.

– Kto tam? – odkrzyknęła, kaszłąc głucho.

– Pozwólcie babciu przenocować. Zgubiliśmy drogę. A w polu tak paskudnie jak w pustym brzuchu.

– A co wy za jedni?

– My spokojni ludzie: teolog Chalawa, filozof Brutus i retor Gorobiec.

– Nie można. – zawarczała starucha – u mnie pełna zagroda ludzi i wszystkie kąty w chacie już zajęte. Gdzie ja was podzieję? A do tego jeszcze takie rośle i zdrowe chłopcy! Chałupa mi się rozwali jak takich wpuszczę. Znam ja tych filozofów i teologów. Jak zaczniesz takich pijaków przyjmować, to gospodarstwa niedługo nie będzie. Wynocha! Wynocha stąd. Nie ma tu dla was miejsca.

– Zmiłujcie się babciu! Jakże tak chrześcijańskie dusze przeganiać bez żadnej przyczyny? Pomieść nas gdzie chcesz. I jeśli cokolwiek nie tak zrobimy, to niech nam ręce pousychają i niech nas Bóg skarże!

Wydawało się, że starucha nieco zmiękła.

– Dobrze, – powiedziała, jakby zastanawiając się, – wpuszczę was; tylko położeń w różnych miejscach, bo nie zasnę spokojnie, jak będziecie leżeć razem.

– Jak sobie życzysz; nie będziemy się sprzeciwiać. – odrzekli seminarzyści.

Brama zaskrzypiała i weszli na podwórze.

– Ech babciu, – odezwał się filozof idąc za staruchą, – jeśli by tak, jak to mówią... dalibóg, w brzuchu jakby ktoś puste beczki toczył. Od samego rana nawet kęsa w ustach.

– Widzisz, czego to się zachciało! – burknęła starucha. – Nie ma u mnie, nie ma nic takiego i nawet w piecu dzisiaj nie paliłam.

– My byśmy już za to wszystko, – ciągnął filozof, – odpłacili jutro jak trzeba – gotówką. Akurat, – dopowiedział po cichu, – figę z makiem dostaniesz!

– Chodźcie, chodźcie! I cieszcie się z tego, co wam dają. Ot jakich delikatnych paniczów diabli przynieśli!

Filozof Choma usłyszawszy takie słowa popadł w zupełne przygnębienie. Nagle jednak jego nos poczuł zapach suszonej ryby. Spojrzał na szarawary idącego przy nim teologa i zauważył, że z kieszeni wystaje mu ogromny rybi ogon: teolog zdążył już zwędzić z wozu całego karasia. Nie żeby uczynił to dla jakiejś korzyści, lecz jedynie z przyzwyczajenia, i zapomniawszy zupełnie o swoim karasiu, już rozglądał się, co by tu jeszcze ściągnąć, nie mając zamiaru przepuścić nawet połamanej obręczy – w tym czasie Choma wsunął mu rękę do kieszeni, całkiem jak do swojej własnej, i wytaszczył karasia.

Starucha rozlokowała seminarzystów: retora położyła w chałupie, teologa zamknęła w pustej komorze a filozofowi przeznaczyła, także pusty, owczy chlew.

Filozof, zostawszy sam, w minutę pochłonął karasia, obejrzał plecione ściany chlewa, szturchnął nogą po ryju ciekawską świnię, wpychającą się z sąsiedniego pomieszczenia, i przewrócił się na drugi bok aby zasnąć jak kamień. Naraz niziutkie drzwi otworzyły się i

starucha, schylając się, weszła do środka.

– A cóż to babciu, co ci potrzeba? – zapytał filozof.

Lecz starucha laźła prosto na niego z rozpostartymi rękami.

"He, he, – pomyślał filozof. – Nie tak prędko gołąbeczko! Za staraś." Odsunął się trochę dalej, ale starucha, bez skrępowania, znowu do niego podeszła.

– Słuchaj no babciu! – powiedział filozof, – teraz jest post, a ja jestem takim człowiekiem, że nawet za tysiąc złotych nie złamię postu.

Jednak starucha rozczapierzyła ręce i usiłowała go złapać, nadal nie odzywając się ani słowem. Filozofowi zrobiło się nieswojo, szczególnie kiedy zauważył, że jej oczy zajarzyły się jakimś dziwnym blaskiem.

– Babciu! Co ty? Idź sobie, idź sobie z Bogiem! – krzyknął.

Lecz starucha nie wyrzekła ni słowa, tylko ciągle łowiła go ramionami. Skoczył na równe nogi, z zamiarem ucieczki, jednak babina stanęła w drzwiach, wlepiła w niego błyszczące ślepia i znowu zaczęła się do niego podkradać.

Filozof chciał odepchnąć ją rękami, ale ze zdziwieniem zauważył, że jego ręce nie mogły się unieść, nogi nie poruszały się; ze strachem poczuł, że także głos nie wydobywał mu się z ust: słowa bez dźwięku błędziły na wargach. Słyszał tylko jak biło mu serce; ujrzał jak starucha podeszła do niego, złożyła mu ręce, ugięła kark, ze zwinnością kotki wskoczyła na plecy, uderzyła go miotłą w bok a on, wierzgając jak koń, ponióśł ją na swoich barkach. To wszystko stało się tak szybko, że filozof ledwie zdążył się opamiętać i złapał obiema rękami za kolana, chcąc zatrzymać nogi; lecz one ku wielkiemu jego zdumieniu dźwigały się wbrew woli i wykonywały podskoki szybciej od czerkieskiego rumaka. Kiedy już minęli chutor i przed nimi otwarł się głęboki parów, a z boku rozciągnął się czarny jak węgiel las, wtedy tylko mruknął do siebie: "Aha, tak, to wiedźma–latawica".

Odrócony sierp księżycy świecił na niebie. Drżący, północny blask, jak przejrzysta zasłona, delikatnie opadał i ścielił się na ziemi. Lasy, łąki, niebo, doliny – wszystko to, zdawało się, jakby spało z otwartymi oczami. Żeby choć wiatr się zerwał gdziekolwiek. W chłodzie nocy unosiła się jakaś ciepła wilgoć. Cienie drzew i krzewów, jak komety, ostrymi klinami cięży łagodnie wznoszącą się równinę. Taka była noc, kiedy filozof Choma Brutus galopował z niesamowitym jeźdźcem na grzbiecie. Odczuwał jakieś męczące, nieprzyjemne a jednocześnie słodkie uczucie, ściskające jego serce. Opuścił głowę w dół i widział, że trawa, będąca tuż u jego stóp, zdawało się, rosła głęboko i daleko, i że ponad nią znajdowała się przejrzysta jak górskie źródło woda, a trawa wydawała się dnem jakiegoś świetlistego, przezroczystego do samej głębiny morza; przynajmniej widział wyraźnie, jak odbijał się w nim, razem z siedzącą na jego plecach staruchą. Widział, jak zamiast miesiąca świeciło tam jakieś słońce; słyszał, jak dźwięczały, skłaniając swoje główki, modre dzwonki. Zobaczył, jak zza kępy turzycy wypływała rusalka, mignęły mu jej plecy i noga, wyrazista, prężna, cała zbudowana z blasku i drżenia. Obróciła się ku niemu – i oto jej lico z oczami świetlistymi, olśniewającymi, przenikliwymi, ze śpiewem wdzierającym się w duszę, już przybliżało się ku niemu, już było na powierzchni, i zadrżawszy perlistym śmiechem, oddalało się, i oto, przewróciła się na plecy, a obłoczne jej piersi, matowe jak marmur nie pokryty glazurą, prześwitywały przed słońcem krawędziami swojej białej, elastycznodelikatnej okrągłości. Woda w postaci maleńkich pęcherzyków, jak koraliki, obsypała je. Cała drży i śmieje się w wodnej toni... Widzi to, czy nie widzi? Czy to jawa, czy może mu się śni? A tam co? Wiatr, czy muzyka: dzwoni, dzwoni i wpija się, i ścisła, i wraża się w duszę jakimś nieznośnym trelem...

"Cóż to jest?" – rozmyślał filozof Choma Brutus, spoglądając w dół, w szalonym pędzie. Pot lał się z niego strumieniami. Ogarniało go diabelsko słodkie uczucie, odczuwał jakąś przeszywającą na wskroś, jakąś dręcząco–straszliwą rozkosz. Często zdawało mu się jakoby nie miał już w ogóle serca i ze strachem chwycił się ręką za pierś.

Do reszty wyczerpany i zagubiony, zaczął przypominać sobie wszystkie, jakie tylko znał,

modlitwy. Odmawiał po kolei wszystkie zaklęcia przeciw duchom – i naraz poczuł orzeźwienie; poczuł, że zwolnił kroku, a wiedźma jakby trochę słabiej trzymała się na jego grzbiecie. Gęsta trawa dotykała go i już nie dostrzegał w niej niczego niezwykłego. Błyszczący sierp księżyca świecił na niebie.

„Dobrze!” – myśli w duszy filozof Choma i prawie na głos zaczyna wymawiać zaklęcia. Wreszcie z szybkością błyskawicy wymyka się spod wiedźmy i z kolei sam wskakuje jej na grzbiet. Stara drobniutkim gęstym kroczeniem pomknęła tak szybko, że jeździec ledwie mógł łapać oddech. Ziemia migała pod nim. Wszystko było widać w miesięcznym, acz niepełnym świetle. Doliny były puste; ale od tej chyżości nadmiernej wszystko wirowało mu i mąciło się w oczach. Chwycił polano leżące na drodze i jął nim okładać, co miał sił, staruchę. Poczęła wrzeszczeć wniebogłoso; wrzaski jej były początkowo złe i groźne; stopniowo stawały się słabsze, coraz przyjemniejsze i czystsze; wreszcie zadzwoniły lekko jak delikatne dzwoneczki srebrne, których dźwięk zapadał mu w duszę; mimowolnie błysnęła mu myśl: „Czy to naprawdę stara baba?”

– Och, już nie mogę! – jęknęła wyczerpana wiedźma i padła na ziemię.

Filozof stanął na równe nogi i spojrzał na nią, a świt już się zapalał i złote głowice cerkwi kijowskich błyszczały w dali: przed nim leżała krasawica z rzęsami długimi jak strzały, z przepysznym potarganym warkoczem. Bez czucia rozrzuciła swe białe ręce obnażone. Jęczała wznosząc ku niebu pełne łez oczy.

Choma zadygotał jak listek: ogarnęła go litość i jakieś wzruszenie, i nieśmiałość, której nigdy nie zaznawał. Począł zmykać co sił w nogach. Serce w nim biło młotem i w żaden sposób nie mógł sobie w drodze wytłumaczyć, co to za dziwne i nowe uczucie owładnęło nim. Nie chciało mu się szukać już żadnego futoru i pośpieszył do Kijowa, rozmyślając cały czas o tym niepojętym wydarzeniu.

Nikogo prawie z bursarzy nie było w mieście; porozłazili się po futorach, na kondycje lub zwyczajnie po okolicy, albowiem po futorach ukraińskich można zajadać hałuszki, ser, śmietanę i warenki wielkości kapelusza, nie płacąc za to ani grosza. Wielka, rozkraczona chałupa, w której mieściła się bursa, świeciła pustkami. Filozof myszkował po wszystkich kątach, wymacał wszystkie dziury i skrytki na poddaszu – i ani rusz nigdzie nie mógł znaleźć nawet kawałeczka słoniny lub choćby kromki czerstwego knysza, zazwyczaj odkładanego przez bursaków.

Poszedł jednak wnet po rozum do głowy: pogwizdując przespacerował się parę razy po rynku i wreszcie zrobił oko do młodej wdówki w żółtym czepeczku, sprzedającej wstążki, śrut i koła – tegoż dnia nakarmiony został pszennymi warenkami, kurą pieczoną... słowem, wyliczyć nie sposób, co miał przed sobą na stole, zastawionym w małej lepiance, wśród sadku wiśniowego. Tegoż wieczora widziano filozofa w karczmie: rozwalony na ławie kurzył zwyczajem swoim lulkę i wobec wszystkich rzucił Żydowi–karczmarzowi pół czerwieńca. Przed filozofem stał dzban. Filozof spoglądał na wchodzących i wychodzących gości wzrokiem obojętnym i zadowolonym i nie myślał już zupełnie o swej niezwykłej przygodzie.

A tymczasem rozeszły się wieści, że córka jednego z najbogatszych setników, którego futor leżał o pięćdziesiąt wiorst od Kijowa, powróciła pewnego dnia z przechadzki cała potłuczona, resztką sił dowlokła się do domu ojcowego, jest umierająca i w swej śmiertelnej godzinie wyraziła życzenie, żeby przez trzy dni po jej śmierci modlitwy za dusze zmarłych odmawiał przy jej trumnie pewien seminarzysta kijowski – Choma Brut. Filozof dowiedział się o tym od samego rektora, który umyślnie zawezwał go do siebie i oznajmił mu, żeby bez żadnej zwłoki udał się w drogę, bo sławetny setnik przysłał po niego swoich ludzi i wózek.

Filozof wzdrygnął się, zdjęty jakimś bezwiednym lękiem, którego sam nie umiał sobie wytłumaczyć. Mroczne przecucie mówiło mu, że czeka go coś złego. Nie wiedząc dobrze dlaczego, oświadczył wręcz, że nie pojedzie.

– Słuchaj, domine¹ Chomo – powiedział rektor, który w pewnych razach miał zwyczaj traktować bardzo grzecznie swych podwładnych. – Nikt ciebie, do diabła, nie pyta nawet o to, czy chcesz jechać, czy nie. Powiem ci tylko, że jeśli mi tu będziesz stroił fochy, a mędrkował, każę cię po grzbiecie i tam dalej tak wyparzyć różdżką brzożową, że już ci żadna łaźnia nie będzie potrzebna.

Filozof odszedł drapiąc się za uchem, nie rzekłszy ani słowa, mając zamiar przy pierwszej okazji wziąć nogi za pas. W zadumie schodził z krętych schodów, wiodących na dziedziniec wysadzany topolami, i przystanął na chwilę: dobiegł go wyraźny głos rektora, który wydawał rozkazy swemu klucznikowi i komuś jeszcze – zapewne jednemu z wysłańców setnika.

– Podziękuj panu za krupy i jaja – mówił rektor – i powiedz, że jak tylko będą gotowe książki, o których pisze, zaraz przyślę; dałem już je skrybie do przepisania. I nie zapomnij, mój gołąbku, nadmienić panu, że tam w waszym futorze, jak wiem, obfitość ryb, a zwłaszcza jesiotrów: niechby mi przy sposobności przysłał. Tu u nas na targu i marne, i drogie. Ale, ale...

– Daj, Jawtuch, ludziom po kubeczku gorzałki. A filozofa mi przywiązać, bo jak nic – czmychnie!

„Widzicie go, psubrata! – pomyślał filozof. – Przewąchał już wiun długonogi!”

Zszedł na dół i zobaczył wasąg, który w pierwszej chwili wziął za stodołę na kołach. W istocie był on tak głęboki jak piec cegielniany. Była to zwykła bryka krakowska, w jakiej półsetek Żydów wraz z towarami tłucze się po wszystkich jarmarkach, które zdoła zwietrzyć swym nosem. Na filozofa czekało sześciu tęgich i silnych Kozaków, już nie pierwszej młodości. Ich świtki z cienkiego sukna, z chwaścikami, znamionowały, że Kozacy należeli do dziedzica znacznego i zamożnego: drobne blizny na ich twarzach świadczyły, że nie obca im była wojaczka, a ponadto zaszczytana.

„Cóż robić? Co ma być, to będzie” – pomyślał filozof i zwracając się do Kozaków zawołał:

– Witajcie, bracia towarzystwo!

– Witajcie, panie filozofie – odpowiedziało kilku z nich.

– Mam tedy usiąść tu razem z wami? Bryka okazała! – ciągnął filozof gramoląc się.

– Tylko grajków wynająć i tańczyć w niej.

– Owszem, odpowiedzialna – rzekł jeden z Kozaków, włączając na kozioł samowtór z woźnicą, którego głowa obwiązana była szmatą – zamiast czapki przepitej w szynku. Pozostałych pięciu wraz z filozofem wpakowało się do środka i roztasowało na workach wypełnionych zakupami porobionymi w mieście.

– Ciekaw byłbym wiedzieć – zauważył filozof – gdyby na ten przykład brykę tę naładować towarem jakimś, solą, dajmy na to, albo żelastwem, ile by też trzeba wtedy do niej koni?

– Hm – powiedział po namyśle Kozak siedzący na kozle – potrzebna by była ilość odpowiednia.

Po tej zadowolającej odpowiedzi uznał, że ma prawo milczeć przez całą dalszą drogę.

Filozofa brała chęć wywiedzieć się gruntownie, kto to taki ów setnik, jakiego jest charakteru, co gadają o jego córce, która w tak niezwykłych okolicznościach powróciła do domu i leży konająca, a której historia splata się oto teraz z jego własną; jakie tam u nich w domu panują zwyczaje. Zwracał się z takimi pytaniami do Kozaków, ci jednak – pewnie tak samo filozofowie – milczeli w odpowiedzi i kurzyli lulki leżąc na workach. Jeden tylko z nich zwrócił się do woźnicy z krótkim poleceniem: – Bacz, Owerko, stary gawronie, jak będziemy podjeżdżać do karczmy na trakcie czuchrałowskim, żebyś nie zapomniał zatrzymać się i obudzić mnie i resztę towarzystwa, gdybyśmy zasnęli. – Po czym zasnął dość donośnie. Nawiasem mówiąc upomnienia jego były zgoła zbędne, zaledwie bowiem ogromniasta bryka

¹ Domine (łac.) – panie

zbliżyła się do karczmy na trakcie czuchrałowskim, wszyscy jednogłośnie krzyknęli: – Stój!

Ponadto konie Owerki były już tak przyuczone, że same się zatrzymywały przed każdym szynkiem. Mimo upalny dzień lipcowy wszyscy wyleźli z bryki i poszli do izby karczmejnej, niskiej i zapapanej, gdzie z oznakami radości począł ich podejmować, jako swych starych znajomych, Żyd–karczmarz. Przyniósł on w zanadrzu parę kielbas wieprzowych, wyłożył je na stół i odwrócił się natychmiast od tego smakołyku, zakazanego przez Talmud. Wszyscy rozsiedli się dokoła stołu; przed każdym stanął dzban gliniany.

Filozof Choma musiał wziąć udział w biesiadzie. Wobec tego zaś, że Ukraińcy, gdy sobie podchmielą, natychmiast zaczynają się całować albo płakać, wnet cała izba rozbrzmiewała busianiami: „Nuże, Spiryd, daj pyska!” – „Chodźże tu, Dorosz, niech cię obłapię!”

Jeden z Kozaków, starszy od innych, siwowąsy, podparłszy pięścią policzek, zaczął rzewnie szlochać nad tym, że nie ma ani ojca, ani matki, że jest samiuteńki jak palec na świecie. Drugi, mądrała wielki, pocieszał go bezustannie, powtarzając; – Nie płacz! Dalibóg, nie płacz! Co z tego? Pan Bóg najlepiej wie, co i jak. – Jeden, imieniem Dorosz, zrobił się niezmiernie ciekawy i zwróciwszy się do filozofa Chomy wypytywał go ustawicznie:

– Chciałbym też wiedzieć, czego was w tej bursie uczą; czy tego samego, co diak śpiewa w cerkwi, czy czegoś innego?

– Nie pytaj! – mówił przeciągle mądrała. – Niech już tak będzie, jak jest. Pan Bóg najlepiej wie, czego trzeba, Pan Bóg wszystko wie.

– Ale ja chcę wiedzieć – upierał się Dorosz – co tam też w tych książkach napisane... A może coś całkiem innego niż u diaka?

– O mój Boże, mój Boże! – martwił się jego mentor szanowny. – I po co takie rzeczy mówić? Na wszystko wola boska. Co Pan Bóg ustanowił, tego człowiek nie zmienia.

– A ja chcę wiedzieć wszystko, co jest napisane. Pójdę do bursy, dalibóg pójdę. Myślisz może, że się nie wyuczę? Wszystkiego się wyuczę, wszystkiego!

– O mój Boże, mój Boże! – powtarzał pocieszyciel i złożył swą głowę na stole, bo zupełnie już nie miał sił utrzymać jej na karku. Reszta Kozaków rozprawiała o panach i o tym, dlaczego na niebie świeci miesiąc.

Filozof Choma, widząc taki stan głów kozaczych, postanowił skorzystać z tego i drapnąć. Zwrócił się jednak naprzód z prośbą do siwowłosego Kozaka, tęskniącego za ojcem i matką.

– Cóżes to, dziadku, się rozplakał? – powiedział. Sam jestem sierota. Puśćcie mnie, przyjaciele, na wolność. Po co ja wam, na co?

– Puśćmy go na wolność – odezwali się niektórzy – sierota przecie! Niech sobie idzie, gdzie chce.

– O mój Boże, mój Boże! – wtrącił się pocieszyciel podnosząc głowę. – Puśćcie go! Niech sobie idzie.

I Kozacy sami już chcieli wyprowadzić filozofa na drogi rozstajne. Wszelako ów ciekawski powstrzymał ich mówiąc:

– Nie ruszajcie go. Chcę z nim pogadać o bursie... Sam pójdę do bursy...

Zresztą, wątpić należy, czy w ogóle udałaby się filozofowi ucieczka, zaledwie bowiem spróbował powstać od stołu, uczuł, że nogi ma jak drewniane, zamiast jednych drzwi ujrzał w izbie takie ich mnóstwo, że zapewne nie odszukałby prawdziwych.

Dopiero pod wieczór towarzystwo przypomniało sobie, że trzeba się udać w dalszą drogę. Wgramoliwszy się na brykę powlekli się popędzając konie i podśpiewując pieśń, której słów i treści nie podobna było uchwycić. Kołując pół nocy, gubiąc nieustannie drogę, którą znali jak własną kieszeń, spuścili się wreszcie ze stromej góry w dolinę – i filozof dostrzegł po obu stronach ciągnący się częstokół czy też opłotki, obsadzone niskimi drzewkami, spoza których wyzierały strzechy. Była to duża osada, stanowiąca własność setnika. Północ dawno już minęła, niebo ściemniało; gdzieniegdzie migotały gwiazdeczki. W żadnej chacie nie widać było światła. Przy wtórze ujadania psów wjechali na dziedziniec otoczony stodołami i

zabudowaniami krytymi słomą. Jedno z nich, stojące pośrodku podwórza naprzeciw wrót wjazdowych, większe od innych, wyglądało na domostwo setnika. Bryka zatrzymała się przed czymś w rodzaju wozowni. Podróżnicy nasi udali się na spoczynek. Ale filozof chciał się nieco przyjrzeć choć z zewnątrz dworkowi dziedzica; jednakże, acz wybałuszał ze wszystkich sił oczy, nic nie mógł odróżnić w kształtach należytych: zamiast domu majaczył mu się niedźwiedź, a z komina robił się rektor. Filozof machnął ręką i poszedł spać.

Kiedy się obudził, dworek cały był w ruchu: w nocy panienka umarła. Służba biegała na złamanie karku tam i nazad. Jakieś staruszki płakały. Ciżba ciekawych patrzyła przez parkan na podwórze dziedzicowe, jakby tam mogła coś wypatrzeć.

Filozof, nie mając nic do roboty, zaczął się przyglądać dworkowi, któremu na próżno usiłował się przyjrzeć w nocy. Dom setnika był to niewielki niski budynek, jakie dawnymi czasy stawiano zazwyczaj na Ukrainie. Strzechę miał słomianą. Jego ostry i wysoki szczyt z okienkiem, podobnym do oka wzniesionego w górę, cały był wymalowany w błękitne i żółte kwiaty i w czerwone półksiężycy; podtrzymywały go dwa słupki dębowe, do połowy okrągłe, u dołu sześciograniaste, z wymyślnym szlaczkiem u góry. Pod szczytem był nieduży ganeczek z ławami po obu stronach. Po bokach domu stały szopy, również na słupkach wzorzystych. Przed domem zieleniała wysoka grusza ze strzelistym wierzchołkiem, z listowiem szemrzącym. Kilka spichrzów i lamusów stało pośrodku podwórza w dwa rzędy, tworząc szeroką ulicę prowadzącą do dworku. Za spichrzami w pobliżu wrót widniały dwie trójścienne piwnice, ustawione naprzeciw siebie, również słomą kryte. Frontowa ścianka każdej z nich zaopatrzona była w niziutkie drzwi i wymalowana w różne figury. Na jednej wyobrazony był Kozak siedzący na beczce, z dzbanem w rękę i z napisem: „Wypiję wszystko!” Na drugiej – flaszka i gąsiorki, dokoła zaś, dla ozdoby, koń do góry nogami, faja, tołumbas², a nad tym napis: „Trunek – uciecha kozacza”. Ze strychu jednej ze stodół wyglądały przez wielki luft trąby mosiężne i bęben. U bramy stały dwie armatki. Wszystko wskazywało na to, że gospodarz domu lubił się zabawić, że dziedzinec często rozbrzmiewał okrzykami biesiadnymi. Za częstokołem stały dwa wiatraki. Na tyłach domu ciągnęły się sady; skroś wierzchołki ich drzew widać było tylko ciemne kapturki dymników na chatach, ukrytych w zielonym gąszczu. Całe sioło rozsiadło się na szerokim i równym zboczcu wzgórza. Od strony północnej osłaniało wszystko urwiste wzgórze, spływając swym podnóżem aż po sam dziedzinec. Gdy się patrzyło na nie z dołu, wydawało się jeszcze bardziej strome; na jego smukłym szczycie sterczały gdzieśgdzie koślawe łodygi wątłych burzanów, czerniejąc na jasnym niebie. Jego kształt ogołocony i gliniasty tchnął jakowymś smętkiem. Stoki wzgórza zbrudzone były wypłukami i zaciekami deszczów. Na spadzistej pochyłości w dwóch miejscach wystawały dwie chaty. Nad jedną z nich rozpostarła swe gałęzie rozłożysta jabłoń, podparta przy korzeniu kołkami przysypanymi ziemią. Strącane wiatrem jabłka staczały się aż na podwórze dziedzicowe. Od wierzchołka wzgórza wiła się po jego zboczach droga polna; opadłszy na dół, biegła wzdłuż dziedzianca ku osadzie. Kiedy filozof uzmysłowił sobie straszliwą spadzistość tej drogi i wspomniawszy podróż wczorajszą, doszedł do wniosku, że albo konie pańskie były bardzo mądre, albo też głowy kozackie bardzo mocne, skoro w tym odurzeniu pijackim nie wyrócili się do góry nogami razem z ogromniastą bryką i jej ładunkiem. Filozof stał w miejscu podwórza najbardziej wyniosłym; gdy się odwrócił i spojrzął w stronę przeciwną, odsłonił się przed nim widok zgoła odmienny. Osada po pochyłości wzgórza staczała się w równinę. Rozległe łąki ciągnęły się na dalekiej przestrzeni; ich jaskrawa zieloność ciemniała w miarę oddalenia; wsie szeregami siniały w dali, aczkolwiek odległość od nich przekraczała dwadzieścia wiorst. Z prawej strony tych łąk biegł łańcuch wzgórz i ledwie widoczna z dala gorzała i ciemniała smuga Dniepru.

„Ej, jakież to rajski zakątek! – pomyślał filozof. –

Dobrze by tu żyć, łapać ryby w Dnieprze i w stawach, zastawiać sidła na ptaszki albo z

² Tołumbas – bębenek z dzwonkami

dubeltówką polować i na strepety i słonki! Przypuszczam, że i dropi musi być niemało na tych łągach. Można tu ususzyć owoców co niemiara i sprzedawać je w mieście lub, lepiej jeszcze, pędzić z nich wódkę, bo z wódką owocową żadna siwucha w porównanie iść nie może. Ale nie wadzi też pomyśleć o tym, jakby stąd dać nura..."

Zauważył za opłotkami ścieżynkę, całkiem przysłoniętą wybująłym burzanem; odruchowo wstąpił na nią, chcąc się tylko przespacerować i dopiero potem machnął chyłkiem w pole między chatami. Raptem poczuł na ramieniu dłoń dosyć krzepką. Za nim stał ten stary Kozak, który wczoraj trapił się tak gorzko swoim sieroctwem i samotnością.

– Na próżno, panie filozofie, myślisz o tym, żeby czmychnąć z futuru! – powiedział Kozak. – Nie takie to miejsce, żeby stąd można było umknąć, a i droga dla piechura kiepska. Idź no lepiej do pana: czeka na ciebie dawno w świetlicy.

– Chodźmy! Cóż robić... Z przyjemnością – odrzekł filozof idąc za Kozakiem.

Setnik, podeszły już w latach, z siwym wąsem, z wyrazem posępnej troski na twarzy, siedział przy stole w świetlicy, podparłszy pięściami głowę. Mógł mieć około pięćdziesiątki; ale głębokie strapienie na twarzy i jej kolor, jakby spłowiały, świadczyły, że dusza w nim została zmiażdżona i zabita w jednej chwili, że wszystka jego dawna wesołość i hulaszczność zginęły na zawsze. Gdy Choma wszedł ze starym Kozakiem, setnik odjął od twarzy jedną rękę i na niski ich ukłon skinął z lekka głową. Z uszanowaniem zatrzymali się przy drzwiach.

– Ktoś ty i skąd, i jakiegoś stanu, człowiecze poczciwy? – zapytał setnik głosem ani łaskawym, ani surowym.

– Filozof Brut. Bursarzem jestem...

– Co zacy był twój ojciec?

– Nie wiem, wielmożny panie.

– A matka twoja?

– Matki nie znam również. Biorąc na rozum, musiała być i matka, ale co za jedna i skąd, i kiedy żyła – dalibóg, nie wiem, dobrodzieju mój.

Starzec milczał przez chwilę; zdał się rozmyślać.

– Jakżeś się poznał z moją córką?

– Nie znałem się zgoła, wielmożny panie, Bóg mi świadkiem, że nie znałem! Żadnych spraw jeszcze z panienkami nie miałem, póki żyję. – Jechał je sęk, żeby nie wyrzec czegoś nieprzystojnego.

– Dlaczego więc moja córka wybrała ciebie, a nie kogoś innego, do odmawiania modłów? Filozof wzruszył ramionami.

– Bóg raczy wiedzieć, jak to wytłumaczyć. Wiadoma rzecz, że panów nachodzą czasem takie zachcianki, że i najuczeńszy człowiek w nich się nie połapie. Ale kusa rada. Przysłowie mówi: „Jak pan każe, tak ja gram”.

– A nie łiesz ty przypadkiem, panie filozofie?

– Niech mnie jasny piorun na tym miejscu strzeli, Jeżeli łzę.

– Gdyby choć chwilę dłużej pożyła – powiedział ze smutkiem setnik – dowiedziałbym się pewnie wszystkiego. „Niechaj nikt, tatulu, za mnie litanij nie odmawia, tylko bursak kijowski Choma Brut; pošlij zaruteńko po niego i niech się trzy noce modli za moją grzeszną duszę. On wie...” A co takiego wie, już nie usłyszałem. Gołąbeczka moja nie zdołała dopowiedzieć i umarła. Człowiek pewnie jesteś poczciwy, znany ze swego życia świątobliwego i uczynków bogobożnych... Może się nasłuchała o tobie.

– Ja? – wyrzekł bursak cofając się w zdumieniu. – Ja i życie świątobliwe? – powtórzył patrząc wprost w oczy setnikowi. – Co też mówicie, panie? Bóg z wami! Ja przecie, choć to i nieprzystojnie wyznać, w wigilię postu nocowałem u piekarki.

– Ha, trudno. Tak już snadź sądzone. Dziś jeszcze musisz przystąpić do swych obowiązków.

– Powiedziałbym na to waszej miłości... zapewne, każdy człowiek z Pismem świętym

obznajmiony potrafi wedle możebności... wszelako godziłoby się zawezwać tu diakona lub co najmniej diaka. Naród to rozgarnięty, wie, co i jak należy... Ale co do mnie, głosu nawet nie mam takiego i sam jestem... diabli wiedzą co. Żadnego wyglądu nie mam.

– Mów sobie, co chcesz, ale ja wypełnię wszystko tak, jak mi gołabczka moja przykazała; nic dla niej nie pożałuję. Przemodlisz trzy noce jak trzeba – nagrodzę cię. Jeśli nie – niech sam szatan gniewu się mego lęka.

Słowa ostatnie wypowiedział setnik z taką mocą, iż filozof zrozumiał od razu, że to nie przelewki.

– Chodź ze mną! – rozkazał setnik.

Wyszli do sieni. Setnik otworzył drzwi do drugiej świetlicy, położonej naprzeciwko pierwszej. Filozof przystanął na chwilę w sieni, żeby się wysmarkać, po czym w łęku bezwiednym przestąpił próg. Cała podłoga wysłana była czerwoną kitajką. W rogu pod obrazami świętymi leżała nieboszczka na wysokim stole przykrytym zasłoną z granatowego aksamitu, zdobną w złociste frędzle i chwasty. Strzeliste gromnice, oplecione kaliną, stały w jej nogach i u wezłowia, sącząc światło mętne, rozpraszające się w blasku dnia. Oblicze zmarłej przysłonił ojciec niepokieszony, który siedział teraz przy niej, zwrócony tyłem do drzwi. Filozofa przeraziły słowa, które usłyszał w progu:

– Nie nad tym biadam, córo moja najmilejsza, żeś nie dożyła lat sędziwych i w kwiecie wieku, na moją boleść i utrapienie, ten padół opuściła. Biadam nad tym, gołabczko moja, że nie wiem, który to mój wróg okrutny był przyczyną śmierci twojej. I gdybym wiedział, kto się ośmielił skrzywdzić tak ciebie, kto by się nawet ważył rzec ci jakie słowo przykre, przysięgam na Boga, nie ujrzałby on już dzieci swoich, jeśli jest tak stary, jak ja, ani ojca swego i matki, jeżeli we wczesnym jest wieku, i ciało jego rzucone by już było na pożarcie drapieżnym ptakom i zwierzom stepowym! Ale biada mi, nagietko moja polna, przepióreczko moja, jasnotko moja! Przeżyję resztę dni swoich bez pociechy, rękawem ocierając łzy rzęsiste, co płyną ze starych oczu moich – wówczas gdy wróg mój weselić się będzie i naśmiewać w duszy ze starca niedołęznego...

Setnik urwał. A przyczyną tego była rozdzierająca go boleść, która się wylała w całym potopie łez.

Filozof wzruszył się tym żalem nieutulonym; zakaszłał i zakrzekał głucho, chcąc oczyścić swój głos.

Starzec odwrócił się i wskazał mu jego miejsce u wezłowia zmarłej przy niewielkim pulpicie, na którym leżały księgi święte.

„Trzy noce jakoś odbębnię – pomyślał filozof – a za to pan wypcha mi obydwie kieszenie szczerymi czerwieniami”.

Stanął przy pulpicie, odkaszlnął raz jeszcze i zaczął czytanie, nie oglądając się na strony i nie mając odwagi spojrzeć w twarz zmarłej. Zaległa głęboka cisza. Setnik wyszedł. Wówczas filozof z wolna odwrócił głowę, żeby spojrzeć na nieboszczkę – i...

Dreszcz przeszedł go od stóp do głów: przed nim leżała krasawica, jakiej świat nie widział. Nigdy, zda się, jeszcze żadne rysy twarzy nie były rzeźbione tak wyraziście, a zarazem tak przedziwnie harmonijnie. Leżała jak żywa. Jej czoło przepiękne i delikatne – jak śnieg, jak srebro, zdawało się myśleć; brwi – noc istna w pełni dnia słonecznego, wąskie, równe wznosiły się dumnie nad zamkniętymi powiekami; rzęsy padały strzeliście na policzki, płonące żarem tajemnych pożądań; wargi – korale gotowe były rozkwitnąć uśmiechem rozkoszy i szczęścia... Ale w rysach tych filozof dostrzegł coś przerażająco groźnego. Uczuł, jak serce w nim boleśnie jęknęło, jak gdyby ktoś raptem w wirze zabawy i tańczącego tłumu zaśpiewał pieśń o niedoli ludu. Korale jej warg zdały się jak krew, która mu nabiegła do serca. Nagle twarz jej przybrała straszny i znajomy wyraz.

– Wiedźma! – krzyknął filozof nieswoim głosem, zbladł cały, odwrócił się i zaczął odmawiać modlitwę. Była to właśnie owa wiedźma, którą zabił.

O zachodzie słońca zwłoki zaniesiono do cerkwi. Filozof podtrzymywał ramieniem czarną trumnę żałobną i czuł na ramieniu swoim coś zimnego jak lód. Setnik szedł przodem, niosąc wieko ciasnej domowiny nieboszczki. Drewniana cerkiew, poczerniała ze starości, omszona, o trzech kopułach stożkowatych, stała posępnie prawie na skraju osady. Widać było, że dawno nie odprawiano w niej żadnego nabożeństwa. Przed każdym obrazem płonęły zapalone świece. Trumnę ustawiono pośrodku, naprzeciwko ołtarza. Stary setnik padł krzyżem, potem ucałował zmarłą i wyszedł razem z innymi, wydawszy polecenie, by nakarmiono dobrze filozofa i po wieczery odprowadzono go do cerkwi. Po przyjściu do kuchni ci, którzy nieśli trumnę, zaczęli przykładać ręce do pieca, co zwykli czynić Ukraińcy, gdy zobaczą nieboszczyka.

Głód, który zaczął doskwierać filozofowi, kazał mu na czas niejaki zapomnieć całkiem o zmarłej. Wnet wszystka czeladź jęła się powoli gromadzić w kuchni. Kuchnia w domu setnika była czymś w rodzaju klubu, do którego schodziło się wszystko, co żyło we dworze, wliczając w to i psy, zbiegające się tu po kości i pomyje. Każdy, kogo posyłano gdziekolwiek po coś, zachodził naprzód do kuchni, żeby chwileczkę odpocząć na ławie i wykurzyć lulkę. Bezzenni słudzy mieszkający we dworze, leżeli tu w swych pięknych świtkach kozackich niemal dzień cały na ławach, pod ławami, na zapiecku – słowem, wszędzie, gdzie się dało znaleźć wygodniejsze miejsce. Każdy przy tym wiecznie zapominał w kuchni to czapki, to bata na cudze psy lub czegoś podobnego. Ale najliczniejsze zgromadzenie odbywało się podczas wieczery, kiedy przychodził i tabuniarz, który zapędził już swoje konie na wygon, i poganiacz krów, gdy je odprowadził już do udoju, i wszyscy ci, których nie widziało się w ciągu dnia. Podczas wieczery pogawędka rozwiązywała języki nawet najbardziej nierozmowne. Mówiono o wszystkim: i o tym, kto sobie sprawił nowe szarawary, i o tym, co się znajduje w środku ziemi, i o wilku, którego ktoś widział. Wielu słyszałeś tu dowcipnisiów, których nie brak wśród ludu ukraińskiego.

Filozof zasiadł wraz z innymi w kole, na świeżym powietrzu przed progiem. Zaraz z drzwi kuchennych wyszła baba w czerwonym czepcu, niosąc oburącz gorącą misę z hałuszkami, którą postawiła w pośrodku wieczierzających. Każdy wyjął z kieszeni drewnianą łyżkę; niektórzy, nie mając jej, wydobywali drewniane szpikulce. A kiedy gęby poczęły już się ruszać wolniej, kiedy wilczy głód całego zgromadzenia został już nieco zaspokojony, zaczęły się rozmowy, które, rzecz zrozumiała, skierowały się na osobę zmarłej.

– Czy to prawda – zapytał pewien młody owczarz, który swoją skórzaną przepaskę do fajki ozdobił taką ilością blaszek i guzików, że stała się podobna do straganu przekupki.

– Czy to prawda, że nasza panienka, na psa urok, wdawała się w konszachty ze złym duchem?

– Panienka? – powiedział znajomy już filozofowi Dorosz. – Ależ to była najprawdziwsza wiedźma! Gotów jestem zaprzysiąc!

– Nie pleć, nie pleć, Dorosz! – powiedział ten, który podczas podróży mentorował wciąż i pocieszał. – Nie nasza to rzecz. Bóg z nią. Nie ma co gadać po próżnicy.

Ale Dorosz nie był zgoła usposobiony do milczenia.

Właśnie przed wieczera odwiedził wraz z klucznikiem w jakiejś ważnej sprawie piwnicę, nachylił się ku paru beczkom i wyszedł stamtąd na wesoło, gotów pytlować bez przerwy.

– Czego ty chcesz ode mnie? – powiedział. – Mam milczeć? Ja? Przecie ona na mnie samym jeździła! Dalibóg, jeździła!

– A powiedz, ojcze – zapytał młody owczarz z guzikami – po jakich znakach można poznać wiedźmę?

– Nie można poznać – odrzekł Dorosz – nijak nie poznasz, choćbyś wszystkie psalterze na pamięć umiał, nie poznasz.

– Można, można, Dorosz. Nie gadaj – wtrącił się pocieszyciel. – Nie na próżno Pan Bóg

każdego po swojemu oznaczył. Ludzie, co znają nauki, mówią, że wiedźmy mają maluśki ogonek.

– Która baba stara, to i wiedźma – oświadczył obojętnie siwy Kozak.

– Chłopy też nie lepsze! – podchwyciła baba dokładająca w owej chwili świeżych hałuszek do opróżnionej miski. – Prawdziwe wieprze tłuste!

Stary Kozak, imieniem Jawtuch, przezwiskiem Kołtun, wywołał na swych wargach uśmiech zadowolenia widząc, że słowa jego dotknęły babę do żywego; poganiacz bydła zaś wybuchnął takim grubym śmiechem, jak gdyby dwa byki, stanąwszy naprzeciw siebie, zaryczały jednocześnie.

Zaczęta rozmowa obudziła w filozofie nieprzepartą chęć i ciekawość, by się czegoś dokładniej dowiedzieć o zmarłej córce setnika; toteż pragnąc sprowadzić rozmowę na temat poprzedni, zagabnął sąsiada:

– Chciałbym zapytać, dlaczego całe to towarzystwo, co siedzi przy wieczerzy, uważa panienkę za wiedźmę? Czy wyrządziła komu co złego, czy zgławęczyła kogokolwiek?

– Różnie bywało – odezwał się jeden z wieczerzających, człowiek o twarzy płaskiej, podobnej niezmiernie do łopaty.

– Któż nie pamięta psiarza Mykity albo i tego...

– Cóż takiego było z psiarzem Mykitą? – zaciekawiał się filozof.

– Czekaście! Opowiem o Mykicie – powiedział Dorosz.

– Ja wam opowiem – wtrącił się tabuniarz – bo to był mój kum.

– Lepiej ja! – oświadczył Spiryd.

– Dobra! Niechaj Spiryd gada! – zawołano w tłumie.

I Spiryd zaczął w te słowa:

– Ty, panie filozof, nie znałeś Mykity. O, rzadki to był człowiek! Każdego psa to ci tak znał jak ojca rodzonego. Teraźniejszy psiarz, Mykoła, ten co siedzi trzeci ode mnie – gdzie mu tam do Mykity, ani się do niego umywa! Choć także rzecz swoją rozumie, ale naprzeciw Mykity – łajno!

– Dobrze mówi, dobrze – przytaknął Dorosz kiwając z uznaniem głową.

Spiryd mówił dalej:

– A zająca to ci wypatrzył, zanim sobie zdążyłeś nosa z tabaki utrzeć. Gwizdnie tylko: „Wyczha, Rozbój! Wyczha, Bystra!” I już pędzi co koń wyskoczy, że i powiedzieć nie sposób, kto kogo wyprzedzi: on psa czy pies jego. Siwuchy kwartę golnie na raz jak nic! Setny był psiarz! Jakoś tylko ostatnimi czasy zapatrzył się na panienkę. Czy on się tak w nią wklepał, czy też ona go uroczyła – dość, że zginął człowiek z kretesem, zbabiał całkiem; zrobiło się z niego – tfu! – wstyd powiedzieć co.

– Dobrze mówi – powtórzył Dorosz.

– Niech tylko panienka, bywało, spojrzy na niego, już mu cugle z rąk wylatują.

Rozboja nazywa Kruczkiem, chodzi jak błędny – nie wiadomo co. Raz przyszła panienka do stajni, gdzie on czyścił konia. „Daj, powiada, Mykito, postawię na tobie swą nóżkę”. A ten. kiep i rad temu: „Nie tylko nóżkę, mówi, całkiem siadaj na mnie”. Panienka podniosła nóżkę – i jak Mykita zobaczył tę gołą, okrągłą, białą nóżkę, tak – powiadał potem – czar go wraz opętał. Ugiął durny pleców, wziął ją na kark, objął rękami jej gołe nóżki poszedł w skoki, jak koń, po calusieńkim polu. I gdzie tak popędzili, nic potem już nie wiedział; wrócił wieczorem ledwie żywy i od tamtej pory wysechł cały jak szczapa; a kiedy raz przyszli po niego do stajni, zamiast Mykity leżała kupa popiołu i stało puste wiadro: zgorzał tak do cna, sam w sobie zgorzał. A taki był psiarz, że drugiego takiego na świecie nie znaleźć.

Kiedy Spiryd skończył swoje opowiadanie, zaczęto rozprawiać o zaletach dawnego psiarza.

– A może słyszałeś o Szeptunowej? – zapytał Dorosz filozofa Chomeę.

– Nie słyszałem.

– Ho, ho... Widzę, że niewiele was w tej bursie uczą. Posłuchaj tedy... mamy tu we wsi Kozaka nazwiskiem Szeptun – zacny Kozak! Lubi czasem ukraść i zełgać bez potrzeby, ale – Kozak prawy. Chata jego stąd niedaleko. O takiej porze jakby teraz, jak my tu wieczoramy, położył się Szeptun z żoną po wieczery spać. A że czas był piękny, Szeptunowa legła na podwórzu, a Szeptun w chacie na ławie: czy też nie... Szeptunowa w chacie na ławie, a Szeptun na podwórzu...

– Wcale nie na ławie, tylko na klepisku położyła się Szeptunowa – poprawiła baba, która stała na progu, podpierając twarz ręką.

Dorosz spojrział na nią, potem w ziemię, potem znów na nią i po chwili milczenia rzekł:

– Jak ci przy wszystkich kieckę zadre, nieładnie będzie.

Ostrzeżenie miało skutek: baba umilkła i już ani razu nie przerwała Doroszowi, który ciągnął dalej:

– W kolebeczce, wiszącej pośrodku chaty, spał roczny dzieciak, nie wiem – chłopiec czy dziewczynka. Leży Szeptunowa i raptem słyszy, że za drzwiami pies skrobie i wyje tak, że uszy zatyka. Wystraszyła się baba, bo te baby, to taki naród bojący, że jak jej wieczorem pokażesz zza drzwi język, to już jej dusza w pięty ucieka. Myśli jednak sobie: „Jak zdzielię tego Przeklętnika, to przestanie wyć”. Wzięła kociubę, otwiera drzwi. Ledwie je troszkę uchyliła, a pies smyk jej między nogami i do dziecka. Widzi Szeptunowa, że to nie pies, tylko panienka. Gdybyż to była panienka w takiej postaci, jak ją znała – no, to jeszcze pół biedy; ale rzecz w tym, że cała była sina, a oczy jej żarzyły się jak węgle. Złapała dzieciaka, przegryzła mu gardło i dalejże krew wysysać. Szeptunowa tyle tylko, że zdążyła krzyknąć: „Zgiń, przepadnij!” – i w nogi. Ale widzi, że w sieni drzwi zaparte, więc na strych. Siedzi tak i drży głupia baba. A potem widzi, że panienka do niej idzie na strych; rzuciła się na nią i zaczęła gryźć. Z rana Szeptun wyciągnął stamtąd żonę, całą pokąsaną i zsiniałą. Na drugi dzień umarła głupia baba. Oto, jakie przypadki i poduszczenia bywają. Choć to i pański pomiot, ale co wiedźma – to wiedźma.

Po tej opowieści Dorosz rozejrzał się zadowolony z siebie i wetknął palec w fajkę, żeby ją przygotować do nabicia tytoniem. Temat o wiedźmach stał się niewyczerpany. Każdy po kolei śpieszył z jakimś wspomnieniem. Do jednego wiedźma podjechała aż pod drzwi chaty, przedzierzgnąwszy się w stóg siana, innemu ukradła czapkę czy też fajkę; wielu dziewczętom we wsi poobcinała warkocz; z innych wyssała po kilka kubłów krwi.

Wreszcie towarzystwo się opamiętało; spostrzegło, że się zagadało, a na dworze już była noc zupełna. Zaczęto się rozchodzić na nocleg – do kuchni, do stodół lub po prostu na podwórze.

– Ano, panie Chomo, i na nas pora do nieboszczki – powiedział siwy Kozak zwracając się do filozofa. I wszyscy czterej, w tej liczbie Spiryd i Dorosz, udali się do cerkwi, odpędzając batami psy, których na wsi była mnogość wielka, a które ze złości gryzły ich za biczyska.

Filozof, aczkolwiek zdążył się być pokrzepić niezgorszym kubkiem gorzałki, czuł jednak w duszy wzbierający lęk, w miarę jak się zbliżali do oświetlonej cerkwi. Dziwne przypadki opowieści, jakich wysłuchał, rozkołysały mu jeszcze bardziej wyobraźnię. Mrok pod płotami i drzewami jał rzednąć: miejsce stawało się otwarte. Weszli wreszcie za zmurszałe ogrodzenie, na nieduży cmentarzyk cerkiewny, poza którym nie było już żadnego drzewka i rozpościerało się tylko puste pole i łąki spowite mrokiem nocnym. Kozacy weszli po stromych stopniach na ganek cerkiewny i otworzyli drzwi do cerkwi, gdzie też pozostawili filozofa życząc mu, by szczęśliwie dopełnił swego obowiązku. Po czym, zgodnie z rozkazem setnika, zamknęli za nim drzwi.

Filozof został sam. Ziewnął, przeciągnął się, chuchnął w dłonie, wreszcie rozejrzał się po cerkwi. Pośrodku stała czarna trumna; pod ciemnymi obrazami tłały świece; płomyki ich oświetlały zaledwie ołtarz i z lekka środek cerkwi; dalsze zakątki nawy utulone były pomroką. Wysoki starożytny ołtarz ukazywał swą zgrzybiałość: jego koronkowa rzeźba złocona błyskała tylko tu i ówdzie. Pozłota bowiem miejscami poodpadała, miejscami szerniała; wizerunki

świętych, całkiem pociemniałe, wyglądały posępnie. Filozof rozejrzał się raz jeszcze.

– Nic strasznego – powiedział do siebie. – Człowiek przyjsć tu nie może, a na umarłaków i powrotników z tamtego świata znam takie modlitwy, że jak je odmówię, włos mi z głowy nie spadnie. Co tam! – dodał machnąwszy ręką – zabierajmy się do roboty.

Podszedł do kratki; zobaczył tu parę wiązek świec.

„Doskonale – pomyślał – trzeba oświetlić całą cerkiew, żeby było widno jak w dzień. Co za szkoda, że w świątyni Pańskiej nie można lulki wykurzyć”.

Zaczął przylepiać gęsto woskowe świece do wszystkich gzymsów, klęczników i obrazów i wnet światło wypełniło cerkiew. W górze tylko pomrok uczynił się jak gdyby gęstszy i czarne obrazy patrzyły jeszcze bardziej posępnie ze swych starożytnych rzeźbionych ram, tu i ówdzie połyskujących złoceniami. Filozof zbliżył się do trumny i lekliwie spojrzął w twarz zmarłej; zadrżał lekko i musiał przymrużyć oczy: taka straszliwa piękność biła od niej!

Odwrócił się i chciał odejść; ale powodowany dziwną ciekawością, dziwną przekorą uczuć, właściwą człowiekowi, zwłaszcza w chwilach strachu, nie mógł się powstrzymać, żeby raz jeszcze nie spojrzeć na nią; spojrzął, zdjęty tym samym niepokojem, i musiał spojrzeć po raz trzeci. Zaiste – niezwykła piękność nieboszczki wydawała się straszna. Gdyby zmarła była brzydsza, być może nie przerażałaby tak okropnie. Ale w rysach jej nie było nic przyćmionego, zmętniałego, martwego. Twarz jej była jak żywa i filozofowi zdawało się, że patrzy na niego zamkniętymi oczyma. Przywidziało mu się nawet, że spod rzęs prawego oka stoczyła się łza, a gdy się zatrzymała na policzku, dostrzegł wyraźnie, że była to kropla krwi.

Szybko zawrócił do klęcznika, otworzył księgę i żeby dodać sobie odwagi zaczął czytać głosem najbardziej gromkim. Głos ten uderzył o drewniane ściany cerkiewne, ogłuchłe od dawna i milczące. Samotnie, bez echa rozpraszał się niskim basem w niezamąconej ciszy grobowej i wydał się jakiś dziki samemu lektorowi.

„Czego się mam bać? – myślał filozof wśród czytania. – Nie wstanie przecie z trumny lękając się słowa bożego. A niech sobie leży. A cóż to za Kozak ze mnie, żeby się wystraszyć? Wypiłem żdziebko za wiele, to mi się tak przywiduje. Tabaczki by zażyć! Hę, dobra tabaka! Luba tabaka! Zaczna tabaka!” Mimo to, odwracając każdą kartę, spoglądał z ukosa na trumnę i coś w nim bezwiednie szeptało: „Zaraz wyjrzy z trumny, podniesie się, wstanie!...”

Lecz cisza była grobowa. Trumna stała nieruchomo. Ze świec lała się powódź światła. Straszna jest w nocy cerkiew oświetlona, w której nie ma żywej duszy, tylko trup pośrodku!

Podnosząc głos filozof zaczął śpiewać w różnych tonacjach, chcąc zagłuszyć bojaźń, lecz co chwila zwracał oczy na trumnę, jakby zadając sobie mimo woli pytanie: „A jeśli się podniesie, jeśli wstanie?”

Ale trumna ani się poruszyła. Gdybyż jakiś szmer, jakieś żywe stworzenie, niechby choć świerszcz odezwał się gdzie w kącie. Niekiedy tylko rozlegało się lekkie skwierczenie jakiejś dalekiej świecy lub słabe, ledwie słyszalne kapnięcie kropli woskowej, spadającej na podłogę.

„A jeżeli wstanie?...”

Uniosła głowę...

Filozof spojrzął dzikim wzrokiem i przetarł oczy. Przebóg! Nie leży już, lecz siedzi w trumnie. Odwrócił wzrok i znów w przerażeniu skierował go na trumnę. Wstała... idzie przez cerkiew z zamkniętymi oczami, rozpościerając ręce, jakby chciała schwytać kogoś. Idzie wprost do niego. Przerażony zakreślił dokoła siebie krąg. Z wysiłkiem jął modlić się i wymawiać zaklęcia, jakich go nauczył pewien mnich, który przez całe swe życie widział wiedźmy i duchy nieczyste.

Stała prawie na samej kresie; widać było, że nie miała siły przestąpić jej – i zsiniała cała jak człowiek od kilku dni umarły. Chomie zabrakło mocy, by spojrzeć na nią. Straszna była. Zaszczekała zębami i otworzyła oczy umarłe. Ale nic nie widząc, ze wściekłością widoczną na jej drgającej twarzy, zwróciła się w inną stronę i rozcapierzonymi rękami łapała każdy słup i węgiel, chcąc chwycić Chomę. Na koniec stanęła, pogroziła palcem i położyła się

z powrotem do trumny.

Filozof nie mógł przyjąć do siebie i ze strachem spoglądał na ciasną domowinę wiedźmy. Nagle trumna zerwała się z miejsca i ze świstem jęła latać po całej cerkwi, przecinając na wszystkie strony powietrze. Filozof widział ją niemal nad swoją głową, ale jednocześnie spostrzegł, że nie mogła przekroczyć koła, które zakreślił. Wzmocnił więc swoje zaklęcia. Trumna runęła na środku cerkwi i znieruchomiła. Trup znów się z niej podniósł siny, zzieleniał. Ale w tejże chwili dało się słyszeć dalekie pianie kogutów. Trup opadł w trumnie i wieko się zatrasnęło.

Serce waliło w filozofie i pot lał się ciurkiem. Ale pianie kogutów dodało mu otuchy, doczytał szybko karty, które miał do przeczytania. O brzasku przyszedł zastąpić go diak i siwy Jawtuch, który pełnił tym razem obowiązki zakrystiana.

Filozof udał się na nocleg, długo jednak nie mógł zasnąć. W końcu zmogło go zmęczenie i przespał do obiadu. Gdy się obudził, wszystkie wypadki nocne wydały mu się marą senną. Dano mu dla pokrzepienia kwartę gorzałki. Przy obiedzie rozruszał się nawet, poczynił jakieś uwagi i sam zjadł prawie całego, dość okazałego prosiaka; wszelako wiedziony jakimś bezwiednym przecuciem nie chciał nic mówić o swej przygodzie w cerkwi i na pytania ciekawych odpowiadał: – Owszem, różne się tam cuda działy. – Filozof należał do tego rodzaju ludzi, w których, jeśli ich się smacznie nakarmi, budzą się uczucia dobrotliwe. Toteż, leżąc z fajką w zębach, spoglądał na wszystkich niezwykle słodkimi oczami i bez przerwy spluwał na stronę.

Po obiedzie odzyskał już zupełnie humor. Zdążył obejść całą osadę, pozawierać ze wszystkimi znajomości; z dwóch chat nawet go wypędzono; pewna hoża młódka zdzieliła go porządnie łopata po grzbiecie, gdy zdjęła go ciekawość pomacać, z jakiego materiału ma koszulę i kieckę. Ale im bliżej wieczora, tym bardziej zadumany stawał się filozof. Na godzinę przed wieczorą cała prawie czeladź zebrała się na podwórzu, żeby zagrać w kaszę, czyli rodzaj kręgli, w której to grze zamiast kul używa się długich pałek, a wygrywający ma prawo przejechać się wierzchem na przegrany. Była to gra bardzo zajmująca dla widzów; częstokroć poganiacz bydła, szeroki jak blin, włożył na świniopasa, który był chuderlawy, malutki, cały składający się ze zmarszczek. Innym razem poganiacz musiał nadstawić grzbietu Doroszowi, który dosiadał go i mówił: – Tęgi byk! – Na przyzbie kuchennej siedzieli ludzie stateczniejsi, kurząc lulki; z twarzy ich nie schodziła powaga nawet wówczas, gdy młodzież śmiała się do rozpuku z jakiegoś dowcipu poganiacza czy Spirya.

Choma bezskutecznie starał się przystąpić do gry: jakaś czarna myśl utkwiała mu jak gwóźdź w głowie. Podczas wieczery usiłował rozerwać się na wszelki sposób – jednakże strach rozpałał się w nim jednocześnie z mrokiem ogarniającym niebo.

– Czas na nas, panie bursak! – odezwał się doń siwy Kozak powstając z miejsca razem z Doroszem. – Chodźmy do roboty.

I Chomę w ten sposób co wczoraj odprowadzono do cerkwi, znowu pozostawiono samego i zamknięto. Zaledwie został sam, lęk znowu zaczął się wpijać w jego serce. Znowu zobaczył ściemniałe obrazy, połyskujące ramy i czarną trumnę, nieruchomo stojącą w groźnej ciszy pośrodku cerkwi.

– Co tam! – szepnął. – Teraz to mi nie nowina. Tylko na pierwszy raz straszno... Tak, tak... tylko na pierwszy raz trochę straszno, a potem już niestraszne, wcale niestraszno,

Stanął skwapliwie przy kłęczniku, zakreślił dokoła siebie krąg, wymówił kilka zaklęć i zaczął czytać głośno, postanawiając nie odrywać oczu od księgi i nie zwracać na nic uwagi. Czytał już prawie godzinę; zaczął odczuwać zmęczenie i pokaszliwać. Dobył z kieszeni różka z tabaką – i przed zażyciem jej spojrzął lękliwie na trumnę. Serce mu zlodowaciało.

Trup stał już przed nim na samiuteńkiej kresce i wlepił w niego swe martwe, zzieleniałe oczy. Bursak zadygotał i mróz dojmująco przeszedł go do szpiku kości. Wraziwszy oczy w księgę jął filozof odmawiać coraz głośniejsze modlitwy i zaklęcia i usłyszał, jak trup znowu

zakłapał zębami i rozstawił ręce chcąc go złapać. Zerknąwszy jednym okiem zobaczył, że trup łapał go nie tam, gdzie on stał, że nie mógł go widocznie wypatrzeć. Zamamrotała wiedźma głucho i poczęła z trupich ust wyrzucać jakieś słowa straszliwe, które bulgotały chrapliwie, niczym smoła kipiąca. Treści ich nie mógł filozof uchwycić; zrozumiał jednak, że zawierały w sobie coś straszliwego, że wiedźma czyniła zaklęcia.

Od tych słów wiatr wionął przez cerkiew i dał się słyszeć łopot jak gdyby mnóstwa lecących skrzydeł. Filozof słyszał, jak skrzydła biły w szyby cerkiewnych okien i w ramy żelazne, jak szpony drapały ze zgrzytem w żelazo, jak nieprzebrana moc piekielna waliła w drzwi i chciała się włamać. Serce w nim zamierało; zamknął oczy i cały czas odmawiał modlitwy i zaklęcia. Wreszcie z dala coś zaświstało: było to pianie kurów. Wyczerpany filozof przestał się modlić i poczuł ulgę na duszy.

Ci, co przyszedli go zwolnić, znaleźli go ledwie żywego: oparty plecami o ścianę, z oczami wytrzeszczonymi, patrzył osłupiałym wzrokiem na poszturchujących go Kozaków. Wyniesiono go niemal i musiano podtrzymywać przez całą drogę. Przyszedłszy do dworu setnika otrząsnął się i kazał dać sobie kwartę gorzałki. Wypił, przygładził włosy i rzekł;

– Dużo jest na świecie plugastwa wszelkiego... A jakie strachy bywają – och... – i machnął ręką.

Zebrani wokół niego ludzie spuścili głowy, słysząc takie słowa. Nawet nieduży chłopczyzna, do którego cała czeladź rościła sobie prawa, gdy chodziło o zastępstwo w sprzątaniu stajni czy noszeniu wody – nawet ten biedaczyna rozdziawił gębę.

W tej samej chwili przechodziła obok niestara jeszcze kobiecinka w obcisłym staniku uwydatniającym jej kształtną i jędrną kibić; była to pomocnica starej kucharki, strasznie zalotna: zawsze musiała coś przyszpilić do swego czepka – kawałek wstążki, kwiatusek albo nawet papierek, jeśli nie miała nic innego pod ręką.

– Jak się masz, Choma! – zawołała widząc filozofa. – Ojej! A co to się z tobą stało? – wykrzyknęła plasnawszy w dłonie.

– Jak to co? Widzieliście głupią!

– Boże kochany! Przecieżeś osiwiiał caluśki.

– Hm, hm... Prawdę mówi – ozwał się Spiryd wpatrując się badawczo w filozofa. – Osiwiałeś, panie filozofie, niczym nasz stary Jawtuch.

Usłyszawszy to filozof popędził na osłep do kuchni, gdzie stanął przed trójkątnym odłamkiem lusterka przylepionym do ściany, popstrzonym przez muchy, ozdobionym zawsze niezapominajkami, barwinkiem lub nawet wiankiem nagietek, które to kwiatki podkreślały rolę, jaką lusterko odgrywało w toalecie strojnisi i bałamutki. Z przerażeniem stwierdził prawdę jej słów; włosy jego rzeczywiście zbieleły w połowie.

Zwiesił głowę Choma Brut i pogrążył się w rozmyślaniach.

– Pójdę do pana setnika – rzekł na koniec do siebie – opowiem mu wszystko i wytłumaczę, że dłużej już nie mogę czuwać przy zmarłej. Niech natychmiast odeśle mnie do Kijowa.

Z tymi zamiarami skierował swe kroki ku dworkowi setnika.

Setnik w tym samym otępieniu siedział w swojej świetlicy; na twarzy jego malowała się też sama beznadziejna rozpacz, jaką zauważył Choma po swoim; przybyciu. Policzki zapadły mu jeszcze głębiej. Widać było, że mało przyjmuje posiłków, a może nawet nie tyka ich wcale. Niezwykła błądź przydawała jego twarzy wyrazu jakiejś kamiennej martwoty.

– Witaj mi, nieboraku – wyrzekł widząc Chomę, który z czapką w ręku stanął przy drzwiach. – Jakże tam u ciebie? Wszystko szczęśliwie?

– Szczęśliwie jak szczęśliwie... Takie nawiedzenie szatańskie, że tylko łachy pod pachy i zmykaj, gdzie oczy poniosą.

– Cóż takiego?

– Córka wasza, wielmożny panie... Na zdrowy rozum, choć to, ani słowa, dziecię krwi

pańskiej, ale z przeproszeniem mówiąc... Panie, świeć nad jej duszą...

– No, cóż tam córka?

– Z czartem musiała się kumać. Takiego strachu napędza, że czytać nie sposób...

– Czytaj, przyjacielu, czytaj! Nie darmo kazała cię zawezwać. Troskała się, gołąbeczka, o zbawienie duszy swojej i chciała złe modlitwą zażegnać.

– Wola wasza, panie setniku, ale, dalibóg, niemocen jestem...

– Czytaj! – rzekł tym samym nakazującym głosem setnik. – Jedna ci noc została. Uczynek miłosierdzia chrześcijańskiego spełnisz. Nagrodzę cię.

– Co tu mówić o nagrodzie... Jak tam sobie chcesz, panie setniku, a ja czytać nie będę! – powiedział Choina stanowczo.

– Słuchaj no, filozofie! – rzekł setnik, a głos jego stał się twardy i groźny. – Nie lubię takich wybryków. Wolno ci się tak dziwaczyć w swojej bursie, ale u mnie inne porządki: już jak ja cię wyłożę, to nie to, co rektor. Wąchałeś kiedy dobrych kańczugów rzemiennych?

– Zdarzało się – odparł filozof zniżając głos. – Wiadomo, co to takiego: w większej ilości rzecz nie do zniesienia.

– No, widzisz. Ale nie wiesz jeszcze, jak moi chłopcy potrafią prażyć! – powiedział groźnie setnik podnosząc się, a twarz jego przybrała wyraz rozkazujący i srogi, który ujawnił od razu jego niepohamowany charakter, uspiiony tylko na krótko przez boleść. – U mnie najpierw się praży, potem skropi gorzałką, a potem znowu! Marsz do swojej roboty. Jak nie zrobisz, to nie wstaniesz! A jak zrobisz – tysiąc czerwieńców.

„Ho, ho, ależ to chwat! – pomyślał filozof odchodząc. – Z takim nie ma co żartować. Ale zaczekaj, bratku. Takiego dam drapaką, że z całą swą psiarnią mnie nie dogonisz”.

I Choma postanowił bezzwłocznie uciekać. Czekał tylko godziny poobiedniej, kiedy wszystka czeladź miała zwyczaj zakopywać się w sianie pod stodołami i otwarłszy gęby ciąć takiego chrapackiego, że podwórze setnikowe czyniło się podobne do tartaku. Nadeszła wreszcie ta pora. Nawet Jawtuch zamknął oczy rozciągnąwszy się na słońcu. Drżący filozof, pełen obawy przekradł się chyłkiem do sadu, skąd, jak mu się zdawało, łatwiej i bezpieczniej było przedostać się na pole. Sad, jak to zwyczajnie, był strasznie zapuszczony, co sprzyjało niewątpliwie sekretnemu przedsięwzięciu. Z wyjątkiem jednej ścieżki, wydeptanej na potrzeby gospodarskie, wszystko tu było gęsto zadrzewione i zarośnięte chabziną i łopianem, który piął wysoko swoje łodygi osypane kolczastymi, różowymi rzepiami. Chmiel jak siecią pokrywał tę pstrokatą gęstwę drzew i krzewów i tworzył jakby dach nad nimi, opierając się o płot i wijąc po nim wężowo wraz z dzikim powojem polnym. Za płotem, stanowiącym granicę sadu, rozciągał się istny las burzanu, do którego nikt, zda się, nie był ciekaw zajrzeć: kosa rozleciałaby się na druzgi, gdyby żelazcem swym spróbowała dotknąć jego łodyg, grubych i zdrewniałych.

Kiedy filozof przełaził przez płot, zęby mu dzwoniły, a serce tak waliło, że aż sam się tego wystraszył. Poły jego kaftana czepiały się płotu, jakby je ktoś przybijał gwoździami. Zdawało mu się, że jakiś świst ogłuszający przeszywa mu uszy: „Dokąd to, dokąd?” Filozof nurknął w burzany i puścił się pędem, potykając się nieustannie o stare korzenie i tratując kretowiska. Przypuszczał, że gdy się wydostanie z burzanów i przebiegnie pole, za którym czernił się gęsty tarniak, będzie już tam bezpieczny, a gdy się wydobędzie z tarniny, wyjdzie na drogę wiodącą wprost do Kijowa. Pole przebiegł szybko i znalazł się w chaszczach tarniaka. Przebrnął je zostawiając jako myto na każdym cierniu strzępki swego kaftana. Wszedł do niewielkiego parowu. Płaczące wierzby chyliły się tu gałązkami prawie do ziemi. Czysta krynica świeciła się jak srebro. Pierwsza rzecz, filozof położył się na ziemi i napił, czuł bowiem nieznośne pragnienie.

– Dobra woda – powiedział ocierając usta – można by tu troszkę odpocząć.

– Lepiej dymać dalej, bo może być pogoń! Słowa powyższe zabrzmiały mu wprost nad uchem. Obejrzał się: przed nim stał Jawtuch.

„Diabelski Jawtuch – pomyślał rozwścieczony filozof – chwyciłbym cię za nogi i... I ten twój pysk obmierzły, i wszystkie gnaty twoje przeliczyłbym palicą dębową”.

– Na próżno nadłożyłeś szmat drogi – mówił Jawtuch – trzeba ci było iść tak jak ja: wprost, mimo stajni. Szkoda przy tym kaftana. Sukno przednie. Coś płacił za łokieć? No, ale dość. Pospacerowali my i czas do domu.

Drapiąc się w głowę szedł filozof za Jawtuchem. „Da mi teraz bobu wiedźma zapowietrzona! – myślał. – Ale cóż to ja, u licha? Czego się boję? Czylim nie Kozak?”

Odczytałem dwie noce, z pomocą boską wytrwam i trzecią. Przeklęta wiedźma wiele snadź nabroiła, że ta siła nieczysta tak obstaje za nią”.

Tak rozmyślając wkroczył na podwórze setnikowe. Dodawszy sobie w ten sposób otuchy, uprosił Dorosza, który za pośrednictwem klucznika miewał dostęp do piwnicy pańskiej, żeby wyciągnął gąsior siwuchy, i obaj przyjaciele, siadłszy pod stodołą, wytrąbili z pół wiadra – że aż filozof zerwał się na równe nogi i zakrzyknął: – Grajków! Dawać tu grajków! – I nie doczekawszy się grajków puścił się w tany na podwórzu, wywijając hopaka. Tańczył aż do południa, dopóki wreszcie czeladź, która, jak to bywa w takich razach, obstała go dokoła, nie splunęła i nie rozeszła się mówiąc: – Ależ może człowiek tańczyć! – W końcu zwałił się i zasnął na miejscu, i dopiero dobry ceber zimnej wody zbudził go do wieczery. Przy wieczery gadał o tym, co to takiego Kozak, i że Kozak nie powinien się bać niczego na świecie. – Pora – odezwał się Jawtuch – chodźmy!

„Bodaj ci język kołem stanął, wieprzu plugawy!” – pobłogosławił go w duszy filozof i rzekł powstając:

– Chodźmy!

W drodze filozof ciągle się rozglądał na strony i zagadywał do swych przewodników. Ale Jawtuch milczał; nawet Dorosz nie był rozmowny. Noc była piekielna: wilki całym stadem wyły w oddali i nawet ujadanie psów wydawało się straszne.

– Widzi mi się, że to nie wilki wyją; jakby coś innego – bąknął Dorosz.

Jawtuch milczał. Filozof nie znalazł odpowiedzi.

Zbliżyli się do cerkwi i weszli pod jej zmurszały strop drewniany, świadczący o tym, jak mało dbał o Boga i o duszę swoją właściciel majątku. Jawtuch i Dorosz odeszli jak pierwiej i filozof został sam.

Wszystko było jak przedtem, wszystko wyglądało tak samo groźnie. Pośrodku tak samo nieruchomo stała trumna straszliwej wiedźmy, – Nie ulęknę się, na Boga, nie ulęknę! – powiedział filozof, zakreślił po dawnemu krąg dokoła siebie i zaczął mówić zaklęcia.

Cisza była przerażająca. Świece migotały oblewane światłem całą cerkiew. Filozof odwrócił jedną kartel potem drugą i spostrzegł, że odmawia zgoła nie to, co było w księdze. Przeżegnał się w strachu i począł śpiewać. To mu dodało ducha: czytanie poszło łatwiej i karty migotały jedna za drugą. Nagle... wśród ciszy... z łoskotem trzasnęło wieko trumny i podniosła się martwica. Była jeszcze straszniejsza niż pierwiej. Jej zęby kłapały raz wraz, wargi drgały kurczowo. Z dzikim skowytym jęła wyrzucać zaklęcia. Wicher zerwał się w cerkwi, pospadały na ziemię obrazy, posypały się z góry na dół szyby rozbite. Drzwi wyrwało z zawiasów – i nieprzejrzana chmara straszyleł poczwarnych wpadła do świątyni Pańskiej. Przeróżliwy szum ich skrzydeł i chrobotanie pazurów wypełniły cerkiew. Wszystko to unosiło się i latało, szukając filozofa. Resztką chmielu wyparowała Chomie z głowy. Żegnał się tylko i odmawiał byle jak modlitwy. I słyszał, jak siła nieczysta miotała się dokoła niego, omal nie zawadzając o niego końcami skrzydeł i ogonów obrzydliwych. Nie miał mocy, żeby się im przyjrzeć; widział tylko, że stał jakiś potwór olbrzymi na całą ścianę o kudłach splątanych i gęstych jak las; skroś gąszcz tych kudłów przezierało dwoje oczu spod brwi wzniesionych. Nad filozofem zwiślało coś niby pęcherz ogromny, wysuwający ze swego wnętrza tysiące kleszczów i żądeł skorpionowych, oblepionych grudkami czarnej ziemi. Wszystkie szkarady wypatrywały Chome, szukały go i nie mogły dojrzeć, jako że był otoczony kręgiem tajemnym.

– Gdzie jest Wij, przyprowadźcie Wija! – rozległy się słowa martwicy.

I zrobiła się raptem cisza w cerkwi; z dala doleciało wycie wilka; po chwili dały się słyszeć w cerkwi ciężkie stapania. Filozof spojrział spod oka i zobaczył, że prowadzą jakiegoś grubego niziołka kosonogiego, utyłanego w czarnej ziemi. Jego ręce i nogi, obmazane ziemią, podobne były do twardych, żyłowatych korzeni. Stapał ciężko, co chwila się potykając. Jego długie powieki spadały do samej ziemi. Choma zauważył w przerażeniu, że twarz ma żelazną. Prowadzono go pod ręce i postawiono wprost przed Chomą.

– Podnieście mi powieki. Nie widzę – ozwał się głosem jak spod ziemi Wij – i cała hurma rzuciła się, by mu podnosić powieki.

„Nie patrz” – szepnął ostrzegawczo głos wewnętrzny filozofowi. Ale filozof nie wytrzymał – i spojrział.

– Oto on! – krzyknął Wij wskazując na Chomę swym żelaznym palcem.

I wszystkie poczwary, ile ich było, rzuciły się na filozofa. Struchlały runął na ziemię i ze strachu wyzionął natychmiast ducha. Rozległo się pianie kogutów: były to już drugie kury – pierwszych nie dosłyszały straszydła. Spłoszone poczęły się cisnąć jedno przez drugie do okien i drzwi, żeby jak najprędzej wylecieć. Ale już było poniewczasie: zostały tak, uwiązły w drzwiach i oknach.

Kapłan, który nadszedł, stanął w zgrozie na widok takiego zbezczeszczenia świątyni Pańskiej i nie odważył się odprawić żałobnego nabożeństwa. Tak też na wieki pozostała cerkiew, z uwikłanymi w drzwiach i oknach dziwotworami, zarosła lasem, burzanem, chaszczami, tarniną – i nikt już teraz nie znajdzie do niej drogi.

Gdy wieści o tym doszły w końcu do Kijowa i teolog Chalawa dowiedział się, jaki los spotkał filozofa Chomę, pogrążył się na całą godzinę w rozmyślaniach. W życiu jego przez ten czas zaszły wielkie zmiany. Szczęście mu się uśmiechnęło: po ukończeniu nauk został dzwonnikiem najwyższej w mieście dzwonnica i prawie zawsze chodził z nosem potłuczonym, a to dlatego, że drewniane schody dzwonnicy były zrobione całkiem na patatajkę.

– Słyszałeś, co się stało z Chomą? – zapyta spotkawszy go Tyberiusz Horobeć, który już był w tym czasie filozofem i nosił młodzieńczy wąsik.

– Dopust boży – odparł dzwonnik Chalawa. Chodźmy do szynku wspomnieć przyjaciela.

Świeżo upieczony filozof, który z zapalem żarliwie korzystał tak dalece ze swych nowych uprawnień, że i hajdawery, i kaftan, i nawet czapka jego trąciła spirytusem i tytoniem – natychmiast oświadczył swą gotowość.

– Setny to był chłop, ten Choma! – powiedział dzwonnik, kiedy kuternoga-szynkarz stawiał przed nim trzeci kubek. – Porządny człowiek! A zginął marnie.

– A ja wiem, dlaczego zginął. Bo się wystraszył. Gdyby się nie bał, nic by mu wiedźma nie zrobiła. Trzeba się tylko przeżegnać i plunąć jej wprost na ogon: cała jej moc wtedy na nic. Znam się dobrze na tym. U nas przecie w Kijowie wszystkie baby, co siedzą na rynku, wszystkie co do jednej – to wiedźmy.

Dzwonnik skinął potakująco głową. Czując jednak, że już mu język kołowacieje, wstał ostrożnie od stołu i zataczając się poszedł, żeby się schować w najgęstszych burzanach; nie zapomniał jednak przy tym, zgodnie ze swoim dawnym nałogiem, ściągnąć starej podeszwy, która się walała na ławie.

Przełożył Jerzy Wyszomirski

Aleksy K. Tolstoj

Rodzina wilkołaka.

Nie wydany fragment z dziennika nieznanego

(?)

Aleksy K. Tolstoj

Upiór

(?)

Aleksander Dumas (ojciec)

Biesiada widm (fragmenty)

(?)

Joseph Sheridan Le Fanu

Carmilla

Mimo że rodzina moja nie należy do znacznych, posiadamy w Styrii zamek, czy też – jak tu mówią – *Schloss*. W tych stronach niewielki nawet dochód znaczy bardzo wiele, a niespełna tysiąc funtów rocznie wydaje się ogromną sumą. W kraju dochód taki nie pozwoliłby nam zaliczać się do ludzi zamożnych. Ojciec mój jest Anglikiem, więc i ja noszę angielskie nazwisko, choć nigdy nie widziałam Anglii. Tu jednak, w tej odludnej i dzikiej okolicy, gdzie wszystko jest tak bajecznie tanie, nawet znacznie większe dochody nie mogłyby czegokolwiek dodać do dostatku, a nawet zbytku, w którym żyliśmy.

Ojciec mój był w służbie austriackiej; dzięki emeryturze i ojcowiznie nabył za bezcen tę feudalną rezydencję i otaczające ją niewielkie dobra.

Trudno wprost wyobrazić sobie coś bardziej malowniczego i odludnego. Zamek stoi na niewielkim wzniesieniu w lesie. Prowadząca doń stara, wąska droga mija most zwodzony, którego za mojej pamięci nigdy nie podnoszono, i ciągnie się nad fosą pełną okoni, po której w gęstwinie białych lilii wodnych pływają łabędzie. Ponad tym wszystkim wznosi się fasada zamku z licznymi oknami, jego wieżycę i gotycka kaplica.

Przed bramą las otwiera się na niezwykle malowniczą polanę o nieregularnym kształcie. Po jej prawej stronie stromo sklepiony gotycki most przenosi drogę nad wijącym się w gęstym mroku leśnym strumieniem.

Wspomniałam już, że jest to miejscowość niezwykle odludna. Zresztą osądźcie sami: las, w którym stoi nasz zamek, ciągnie się – kiedy patrzymy od głównego wejścia ku drodze – w prawo przez piętnaście, a w lewo przez dwanaście mil. Najbliższa zamieszkała osada znajduje się o siedem mil angielskich. Najbliższy zamieszkały zamek o historycznym znaczeniu to siedziba generała Spielsdorfa, leżąca nieomal o dwadzieścia mil na prawo.

Powiedziałam: „najbliższa z a m i e s z k a ł a osada”, bowiem zaledwie o trzy mile na zachód, w kierunku zamku generała, leżą ruiny wsi z osobliwym małym kościółkiem, dziś już bez dachu; w jego nawie niszczą groby dumnego ongiś, dziś wygasłego rodu Karnsteinów, których zamek, równie opuszczony, spogląda z gęstwiny lasu na nieme ruiny miasteczka.

Przyczynę opuszczenia owego szczególnego, ponurego miejsca tłumaczy pewna legenda, którą przytoczę w dalszej części opowieści.

Muszę jeszcze powiedzieć, jak niewielu domowników zamieszkuje nasz zamek. (Nie wspominam tu o służbie ani o mieszkańcach budynków przylegających do zamku).

Proszę posłuchać: mój ojciec, najlepszy człowiek pod słońcem, ale w podeszłym wieku, i ja, w czasie gdy rozgrywają się opisane tu wydarzenia – przed ośmiu laty – licząca zaledwie dziewiętnaście wiosen. Ojciec i ja stanowiliśmy całą rodzinę. Matka moja, styryjska dama, umarła w czasie, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Miałam wszakże łagodnego usposobienia opiekunkę, będącą u nas, rzec mogę, nieomal od czasów mego niemowlęctwa. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę nad sobą jej poczciwą, pulchną twarz. Madame Perrodon pochodziła z Berna; jej troskliwość i dobroć w części przynajmniej wynagradzały mi brak matki, której nawet nie przypominam sobie, tak wcześniej ją straciłam. Była to więc trzecia osoba zasiadająca przy naszym stole. Czwartą była mademoiselle de Lafontaine, dama, którą można określić jako guwernantkę.

Mademoiselle władała językiem francuskim i niemieckim, madame Perrodon francuskim i łamaną angielszczyzną; my zaś z ojcem na co dzień rozmawialiśmy po angielsku, po części, aby tego języka nie zapomnieć, po części z pobudek patriotycznych. Powstawała z tego wieża Babel, przedmiot śmiechu obcych, której jednak nie będę próbowała tu oddać. Ponadto odwiedzały mnie niekiedy na dłużej lub krócej dwie czy trzy przyjaciółki; czasem też i ja

składałam im wizyty.

Taki był nasz zwykły krąg towarzyski. Oczywiście zdarzały się przypadkowe wizyty „sąsiadów” mieszkających – zaledwie – o pięć czy sześć mil od nas. Mogę wszakże zapewnić, że prowadziłam życie dość samotne. Guwernantki ograniczały moją swobodę na tyle tylko, na ile rozsądne osoby mogły to robić wobec mocno rozpuszczonej dziewczyny, której jedyny spośród rodziców, ojciec, pozwalał nieomal na wszystko.

Opowiem teraz o pierwszym wydarzeniu w moim życiu, które w duszy mojej pozostawiło przerażające, nigdy właściwie nie zatarte piętno. Zdarzenie to miało miejsce tak dawno, że stanowi jedno z najwcześniejszych wspomnień, jakie zachowałam w pamięci. Ktoś mógłby uznać je za tak blahe, że niewarte wzmianki, z czasem jednak wyjaśni się, dlaczego wspominam tu o nim. Wielki pokój dziecinny, który zajmowałam sama, mieścił się na najwyższym piętrze zamku, pod wysokim dębowym stropem. Mogłam mieć wówczas nie więcej niż sześć lat. Pewnej nocy obudziłam się, a rozglądając wokół, nie dostrzegłam dziewczyny służącej. Nie było również niani. Uświadomiłam sobie, że jestem sama. Nie przestraszyłam się, należałam bowiem do tych szczęśliwych dzieci, którym rozmyślnie oszczędza się opowieści o duchach, bajek i tego wszystkiego, co sprawia, że gdy nagle zaskrzypią drzwi czy gasnąca świeca zamigoce, rzucając cień baldachimu łoża na ścianę, tuż przy twarzy, natychmiast chowamy głowę pod kołdrę. Byłam zła i obrażona widząc, że tak mnie zaniedbano, i zaczęłam pochlipywać, by za chwilę wybuchnąć głośnym płaczem. Nagle, ku swemu zdumieniu, tuż przy sobie ujrzałam spoglądającą ku mnie poważną, lecz piękną twarz. Przy mym posłaniu klęczała młoda kobieta z dłońmi ukrytymi pod kołdrą. Patrzyłam na nią z uczuciem miłego zaskoczenia i przestałam popłakiwać. Dama pogłaskała mię, po czym ułożyła się obok na łożu i uśmiechając się przyciągnęła mnie ku sobie. Natychmiast ogarnęło mnie błogie ukojenie i ponownie zapadłam w sen. Obudziło mnie uczucie, jak gdyby w pierś wbijały mi się dwie igły. Krzyknęłam głośno. Dama zerwała się i z utkwionym we mnie wzrokiem osunęła się na podłogę i – jak mi się wydawało – skryła pod łożem.

Teraz dopiero ogarnęło mnie przerażenie. Zaczęłam krzyczeć z całych sił. Dziewczyna służąca, niania, ochmistrzyni – wszystkie naraz wbiegły do pokoju. Usłyszawszy moją opowieść, starały się ją zbagatelizować, uspokajając mnie zarazem, jak tylko mogły. Jednakowoż, choć byłam jeszcze dzieckiem, dostrzegłam malujący się na ich pobladłych twarzach głęboki niepokój, którego nie potrafiły ukryć. Widziałam, jak zaglądnę pod łoża i stoły, przeszukują cały pokój, otwierają szafy, a ochmistrzyni szepnęła do niani: – Dotknij tego zagłębienia na posłaniu: ktoś tu leżał jak amen w pacierzu, to miejsce jest jeszcze ciepłe.

Pamiętam, że dziewczyna służąca pieściła mnie, a wszystkie trzy oglądały miejsce na piersi, gdzie, jak im powiedziałam, poczułam ukłucie. Orzekły wszystkie, iż nie mogą dostrzec niczego, co mogłoby potwierdzić prawdziwość mojej opowieści.

Ochmistrzyni i obie służące mające na pieczy dziecinny pokój zostały ze mną przez całą noc. Od owej chwili aż do czternastego roku życia w pokoju dziecinnym każdej nocy czuwała służąca.

Po wydarzeniu tym przez długi czas nie mogłam dojść do siebie. Zawezwano doktora. Był to blady, starszy pan. Doskonale pamiętam jego pociągłą, smutną twarz z widocznymi śladami ospy i rudawą perukę. Przez długi czas pojawiał się on co drugi dzień i dawał mi lekarstwo, którego, rzecz jasna, nie znosiłam.

Pierwszego ranka po ujrzaniu owej zjawy byłam tak przerażona, że mimo białego dnia ani przez moment nie mogłam znieść samotności.

Przyszędł ojciec, stanął przy łożu i wesoło ze mną rozmawiał. Wypytywał też nianię; pamiętam, jak wesoło się roześmiał, słysząc którąś z jej odpowiedzi. Przypominam sobie, że poklepał mnie po ramieniu i pocałował mówiąc, żebym się nie bała, że był to tylko sen i że nic złego się nie stało.

Nie uspokoiło mnie to jednak. Wiedziałam z całą pewnością, że odwiedziny dziwnej

kobiety nie były snem i wciąż przeraźliwie się bałam.

Uspokoiły mnie nieco zapewnienia dziewczyny służącej, że to ona weszła do pokoju i położyła się koło mnie, ja zaś, w półśnie, nie poznałam jej. Ale opowieść ta, choć potwierdzona przez nianię, nie usunęła w pełni mego niepokoju.

Pamiętam, że tego samego dnia wraz z nianią i z ochmistrzynią wszedł do pokoju dostojny starzec w czarnej sutannie. Porozmawiał krótko z nami, a potem bardzo serdecznie ze mną; miał łagodną i miłą twarz. Powiedział, że będziemy się modlić, złożył mi ręce i kazał powtarzać: „Boże, usłysz nasze modlitwy, przez Chrystusa, Pana naszego.” Wydaje mi się, że tak właśnie brzmiały te słowa, później bowiem często je powtarzałam. Również niania przez wiele lat kazała mi odmawiać je w czasie pacierza.

Do dziś pamiętam zamyśloną, łagodną twarz starca w czarnej sutannie. Stoi w ponurym, wysokim, brązowym pokoju, wśród ciężkich mebli o kształtach modnych przed trzystu laty, w półcieniu, słabo tylko rozświetlonym skąpym światłem wpadającym przez małą, kolorową szybę. Potem klęka wraz z trzema kobietami i przez długą – jak mi się wówczas wydawało – chwilę żarliwie odmawia modlitwy donośnym, drżącym głosem.

Nie pamiętam niczego, co miało miejsce w moim życiu przed tym wydarzeniem, a także przez pewien czas po nim. Tylko opisane tu sceny stoją mi w pamięci jak żywe. Oderwane obrazy – niczym fantasmagoria w otaczającej je ciemności.

Pragnę teraz opowiedzieć coś tak osobliwego, że aby dać wiarę mej relacji, potrzebne będzie wielkie zaufanie do mojej prawdomówności. A jednak opowiadam tu o wydarzeniach nie tylko prawdziwych, lecz takich, których byłam naocznym świadkiem.

Pewnego łagodnego letniego wieczoru ojciec poprosił mnie, jak się to czasem zdarzało, bym towarzyszyła mu w przechadzce po owej pięknej leśnej polanie rozciągającej się przed naszym zamkiem.

– Generał Spielsdorf nie przybędzie do nas tak szybko, jak się spodziewałem – odezwał się po pewnej chwili ojciec.

Generał miał nam złożyć parotygodniową wizytę. Spodziewaliśmy się jego przybycia nazajutrz. Miał ze sobą przywieźć swą siostrzenicę i podopieczną, pannę Rheinfeldt. Nie miałam dotąd sposobności jej poznać, słyszałam jednak, że jest czarująca, i wiele sobie obiecywałam po dniach, które spędzić miałam w jej towarzystwie. Odczułam zawód, którego młoda dziewczyna mieszkająca w mieście, przyzwyczajona do liczego towarzystwa, nie zdoła sobie nawet wyobrazić. O wizycie tej bowiem i o nowej znajomości marzyłam od wielu tygodni.

– A kiedy będzie mógł przyjechać? – zapytałam.

– Nie wcześniej niż jesienią. I sądzę, że nie na dwa miesiące – odparł ojciec. – Cieszę się bardzo, kochanie, że nie zdążyłaś poznać panny Rheinfeldt.

– Dlaczegoż to? – zapytałam zdumiona.

– Ponieważ biedactwo nie żyje – odparł. – Zupełnie zapomniałem, że nie mówiłem ci o tym, ale nie było cię w pokoju dziś wieczór, gdy otrzymałem list generała.

Byłam wstrząśnięta. W poprzednim liście sprzed sześciu czy siedmiu tygodni generał Spielsdorf wspominał, że jego siostrzenica nie czuje się tak, jak mógłby sobie tego życzyć, nic jednak nie nasuwało najłżejszego podejrzenia o niebezpieczeństwie.

– Oto list – rzekł ojciec, wręczając mi zapisany arkusz papieru. – Obawiam się, że generał doznał poważnego wstrząsu. List zdaje się być pisany w całkowitej rozterce.

Usiedliśmy na prostej ławeczce w cieniu majestatycznych lip. Słońce w całej swej owianej smutkiem wspaniałości zachodziło za horyzont zarysowany linią lasu, a strumień płynący koło domu i pod stromo sklepionym starym mostem, wijący się wśród kęp sędziwych drzew, niemal tuż u naszych stóp, iskrzył się, odbijając w swych falach gasnący szkarłat nieba. List generała Spielsdorfa był tak niezwykle, gwałtowny, miejscami tak pełen sprzeczności, że

przebrałam go dwa razy – drugi raz głośno memu ojcu – ale wciąż nie mogłam go pojąć. Najwyraźniej nieszczęście odebrało autorowi pełnię władz umysłowych.

List brzmiał tak:

„Straciłem me najdroższe dziecko! Kochałem ją wszak jak córkę. W ciągu ostatnich kilku dni jej choroby nie byłem w stanie pisać do pana. Wcześniej nie miałem pojęcia o grożącym jej niebezpieczeństwie. Straciłem ją. Teraz zrozumiałem wszystko – zbyt późno. Odeszła w pokoju, niewinna, ufna w blask wieczystej chwały. Wszystko to sprawił zły duch, który nadużył naszej ślepej gościnności. Myślałem, że przyjmuję do domu niewinność, młodość, czarującą towarzyszkę dla mej utraconej Berty. Wielkie nieba! Jakimże byłem głupcem! Dziękuję Bogu, że dziecko me umarło, nie podejrzewając źródła swych cierpień Odeszła, nie domyślając się nawet przyczyny choroby i przeklętej namiętności rządzącej osobą, która stała się źródłem całej niedoli. Wszystkie dni życia, jakie mi jeszcze pozostały, poświęcę na odszukanie i zniszczenie potwora. Powiedziano mi, że mogę mieć nadzieję na osiągnięcie sprawiedliwego i godnego celu. Na razie widzę przed sobą zaledwie nikły promień światła. Przeklinam moje zarozumiałe niedowiarstwo, godne pogardy urojenie wyższości, zaślepienie, upór – ale to wszystko za późno! W obecnym stanie trudno mi mówić czy pisać logicznie. Odchodzę od zmysłów, gdy tylko przyjdę nieco do siebie, chcę oddać się poszukiwaniom, które mogą doprowadzić mnie aż do Wiednia. Któregoś dnia jesienią, a więc za dwa miesiące albo nawet wcześniej – jeśli dożyję – odwiedzę was, o ile tylko pan pozwoli. Opowiem wówczas to wszystko, czego dziś nie potrafię przelać na papier. Bądź zdrow i módl się za mnie, drogi przyjacielu”.

Takimi słowy kończył się ów dziwny list. Choć nigdy nie widziałam Berty Rheinfeldt, te zaskakujące wiadomości wycisnęły mi łzy z oczu. Byłam wstrząśnięta, a równocześnie głęboko zawiedziona.

Słońce zaszło. Gdy oddawałam ojcu list generała, zapadł już zmrok.

Wieczór był przejrzysty i łagodny. Wracaliśmy z wolna, zastanawiając się, co też mogą znaczyć porywcze, chaotyczne zdania, które dopiero co odczytywałam.

Do biegnącej przed zamkiem drogi mieliśmy nieomal milę. Nim doszliśmy, na niebie rozbłysnął olśniewająco jasny księżyc. Przy zwodzonym moście spotkaliśmy madame Perrodon i mademoiselle de Lafontaine, które bez nakryć głowy wyszły rozkoszować się księżycową nocą.

Zbliżając się słyszeliśmy ich ożywione głosy. Na moście podeszliśmy do obu pań i zatrzymaliśmy się, by wraz z nimi podziwiać przepiękną scenerię.

Przed nami rozciągała się polana, którą dopiero co opuściliśmy. Wąska droga wiła się na lewo między kępami majestatycznych drzew, by zniknąć w gęstwinie lasu, na prawo zaś wspinała się na malowniczy mostek, przy którym widniały ruiny strzegącej go niegdyś wieży. Za mostkiem wznosiło się stromo zarośnięte drzewami wzgórze z majaczącymi na nim szarymi, pokrytymi bluszczem skałami. Nad równiną i łąkami snuły się, niczym dym, delikatne mgły, znacząc odległość przejrzystym welonem; tu i ówdzie można było dojrzeć przebłyskujący w blasku księżycyca strumień.

Trudno wręcz wyobrazić sobie piękniejszy, łagodniejszy krajobraz. Nowiny, które postyszałam, nasycaly go melancholią, nic jednak nie było w stanie zburzyć głębokiego spokoju, zakłętego piękna i poczucia nierzeczywistości tego obrazu.

Ojciec mój, czuły na piękno pejzażu, i ja w milczeniu podziwialiśmy rozciągający się u naszych stóp krajobraz. Obie pocziwe guwernantki, stojące nieco z tyłu, rozwodziły się nad scenerią, a zwłaszcza księżycem.

Madame Perrodon, w średnim wieku, pulchna i romantyczna, przemawiała górnolotnie, nie szczędząc westchnień. Mademoiselle de Lafontaine może po ojcu, Niemcu, odziedziczyła skłonność do metafizyki i psychologii z przymieszką mistycyzmu. Oznajmiła teraz, że jest rzeczą wiadomą, iż tak intensywny blask księżycyca oznacza szczególne ożywienie sił spirytualnych. Działanie pełni o tak jasnym blasku jest wielorakie. Oddziałuje na sny, mąci

zmysły, działa na ludzi nerwowych, ma przedziwny wpływ na życie. Mademoiselle przytoczyła historię swego kuzyna, marynarza, który pewnej nocy zasnął na pokładzie statku handlowego z twarzą wystawioną do księżycowego światła. Śniło mu się, że stara kobieta chwyta go paznokciami za policzki; obudził się z przerażająco wykrzywioną twarzą, która nie odzyskała już nigdy dawnego wyglądu.

– Taki księżyc jak dzisiaj – ciągnęła dalej mademoiselle – ma silne działanie idylliczne i magnetyczne. Spójrzcie zresztą za siebie. Patrzcie! Widzicie, jak wszystkie okna zamku rozblaskują i migoczą srebrnym blaskiem, jak gdyby niewidzialne dłonie zapaliły światło w pokojach na przyjęcie zaklętych gości?

Bywają takie stany ducha, gdy nie mamy ochoty na rozmowę, z przyjemnością jednak odbieramy dobiegające nas strzępy rozmów cudzych; stałam zapatrzona, a dochodzące mnie odgłosy rozmowy obu pań mile brzmiały mi w uszach.

– Znow ogarnia mnie przygnębienie – odezwał się mój ojciec, przerywając milczenie cytatem z Szekspira, którego zwykł był głośno czytywać, by pielęgnować naszą angielszczyznę. Zadeklamował:

*Prawdziwie nie wiem, dlaczego tak smutny
I siebie, i was, jak mówicie, nudzę;
Ale jak na mnie spadła ta tęsknota,
Z czego się składa, jak się wywodziła,
Sam nie wiem dotąd*.*

– Zapomniałem, jak dalej. Mam jednak takie uczucie, jakby zawisło nad nami jakieś wielkie nieszczęście. Przypuszczam, że sprawił to ów pełen udręki list biednego generała.

W tym momencie uwagę naszą przykuł nieoczekiwany turkot kół powozu i tętent wielu podków na drodze.

Najwidoczniej ktoś nadjeżdżał od strony wzniesienia górującego nad mostkiem. Rzeczywiście, wkrótce na szczycie wzgórza ukazała się kawalkada. Najpierw przez most przejechali dwaj jeźdźcy, potem zaprzężona w czwórkę koni kareta, na koniec znowu dwaj konni.

Orszak taki należeć musiał do jakiejś znacznej osobistości, toteż niecodzienne widowisko przykuło naszą uwagę. Za moment stało się jeszcze bardziej zajmujące; gdy tylko bowiem powóz minął szczyt stromo sklepionego mostu, jeden z cugantów spłoszył się, co udzieliło się pozostałej trójce i po paru szarpnięciach cały zaprzęg ruszył dzikim galopem, wpadł między dwóch jadących przodem konnych i z prędkością huraganu popędził drogą w naszym kierunku.

Podniecenie spowodowane tą sceną pogłębiały jeszcze dobiegające z okna karety ostre, przeciągłe krzyki kobiece.

Przerażeni i zaciekawieni, podeszliśmy bliżej; ojciec w milczeniu, my trzy z okrzykami przestraszenia.

Napięcie nasze nie trwało długo. Tuż przed zwodzonym mostem, przy drodze, którą zbliżała się kareta, rośnie ogromna lipa, naprzeciw zaś niej stoi stary kamienny krzyż, na którego widok konie, mknące teraz przerażającym doprawdy pędem, skoczyły nagle w bok, kierując koło karety na wystające z ziemi korzenie drzewa.

Wiedziałam, co musi nastąpić. Nie mogąc patrzeć, zakryłam oczy i odwróciłam głowę; w tym samym momencie usłyszałam krzyk naszych dam, które tymczasem podeszły jeszcze nieco dalej.

Ciekawość zmusiła mnie do otwarcia oczu. To, co ujrzałam, przedstawiało obraz skrajnego zamętu i chaosu. Dwa konie leżały na ziemi, kareta była przewrócona na bok, z

* tłum. Leon Urlich

dwoma kołami w powietrzu. Służba krzątała się, zdejmując uprząż. Władczo wyglądająca dama, która wydostała się z powozu, stała z boku zaciskając dłonie i raz po raz podnosząc do oczu chusteczkę. W tym momencie przez drzwiczki przewróconego powozu wydobyła młodą dziewczynę, która nie zdradzała oznak życia. Mój kochany stary ojciec z kapeluszem w dłoni był już obok, zapewne oferując swą pomoc i gościnę w zamku. Dama jednak zdawała się go nie słyszeć, pochłonięta całkowicie widokiem szczupłej panienki, którą ułożono tymczasem na brzegu strumienia.

Podeszłam do niej. Była najwyraźniej nieprzytomna, z pewnością jednak żyła. Ojciec mój, który szczylił się niejaką znajomością wiedzy medycznej, trzymał już w palcach przegub jej ręki i zapewniał starszą damę – która oznajmiła, że jest matką panienki – iż puls, choć słaby i nieregularny, daje się jednak wyraźnie wyczuć. Dama klasnęła w dłonie i podniosła wzrok w jakby przez mgnienie oka trwającym geście wdzięczności, natychmiast jednak znów wybuchnęła scenicznym płaczem, który wszakże u pewnych ludzi jest – jak sądzę – całkiem naturalny.

Dama była kobietą jak na swoje lata przystojną; musiała być kiedyś bardzo piękna. Wysoka i postawna, ubrana w czarny aksamit, twarz miała bladą, o rysach dumnych i władczych, choć obecnie malowało się na niej dziwne poruszenie.

– Czyż zawsze prześladować mnie musi nieszczęście? – usłyszałam jej głos; podchodząc zobaczyłam, że dłonie ma zaciśnięte. – Oto jestem w podróży, od której zawisło życie lub śmierć. Strata jednej godziny oznaczać może utratę wszystkiego. Tymczasem dziecko moje jest w takim stanie, że nie sposób jej wziąć w dalszą drogę, która potrwać może nie wiadomo jak długo. Muszę ją pozostawić; nie mogę, nie wolno mi zwlekać. Jak daleko stąd, panie, jest najbliższa osada? Muszę ją tam zostawić. Nie ujrzę mego biedactwa, nie usłyszę o niej nawet aż do czasu powrotu, a więc przez całe trzy miesiące.

Chwyciłam ojca za poły surduta, szepcząc mu żarliwie do ucha: – Och, ojczy, błagam! Poproś ją, niech zostawi córkę u nas – to byłoby cudowne, błagam cię, tato!

– Gdyby zechciała pani, madame, powierzyć swe dziecko trosce mojej córki i jej poczciwej guwernantki, pani Perrodon, i pozwoliła, aby panienka ta jako nasz gość pozostała pod moją opieką do czasu powrotu pani, stanowiłoby to dla nas zaszczytny obowiązek. Będziemy się do niej odnosić z całym oddaniem i troskliwością, na jaką tak drogocenny skarb zasługuje.

– Nie mogę tego uczynić. Zbyt bezwzględnie nadużyłam pańskiej uprzejmości i pomocy – odezwała się dama roztargnionym głosem.

– Ależ wprost przeciwnie, stanowiłoby to dla nas ogromną radość, i to w chwili, gdy najbardziej jej potrzebujemy. Moją córkę spotkało właśnie bolesne rozczarowanie, oczekiwała bowiem wizyty, po której od dawna wiele sobie obiecywała. Jeśli powierzyłaby pani tę młodą damę naszej opiece, byłaby to dla naszego dziecka najwspanialsza pociecha. Najbliższa wioska na pani drodze jest daleko i nie ma w niej zajazdu, w którym mogłaby pani pozostawić swą córkę. W jej obecnym stanie nie można wszak narażać jej na niebezpieczeństwo dłuższej podróży. Jeśli – jak słyszę – przerwaniu podróży jest niepodobieństwem, to dziś w nocy musisz się, pani, z córką rozstać, a nigdzie nie mogłabyś być pewniejsza opieki i względów, jakimi dziecko jej będzie otoczone niż tutaj.

W postawie nieznanym damy, w całej jej postaci było coś, co nakazywało szacunek, a sposób bycia miała tak ujmujący, że niezależnie od wspaniałości ekwipażu na każdym wywrzeć musiała wrażenie osoby wielkiego znaczenia i pozycji.

W tym czasie powóz był znów postawiony na koła, a konie, już posłuszne, zaprzęzone.

Dama rzuciła swej córce spojrzenie, w którym dojrzałam mniej tkliwości, niżby można było sądzić z tego, co rozegrało się wcześniej; następnie skinęła nieznacznie na mego ojca i odeszła z nim dwa czy trzy kroki, tak że nie słyszeliśmy ich rozmowy. Przemawiała ostro i zdecydowanie, w sposób zupełnie odmienny niż dotychczas.

Byłam niepomniecznie zdziwiona, że ojciec mój zdawał się nie dostrzegać zmiany, a także nad wyraz ciekawa, o czym to mówiła mu, niemal wprost do ucha, tak porywczo i z taką powagą.

Poświęciła temu nie więcej niż dwie, trzy minuty i zawróciwszy, podeszła spieszenie do miejsca, gdzie spoczywała jej córka podtrzymywana przez madame Perrodon. Przyklękła obok, szepnęła jej coś do ucha – zdaniem madame Perrodon było to błogosławieństwo – i pospiesznie ucałował ją, wsiadła do karety. Zatrzaśnięto drzwiczki, lokaje w okazałych liberiach skoczyli na schodki z tyłu, poprzedzający powóz jeźdźcy spięli konie, woźnice strzelili z batów i zaprzęg ruszył szaleńczym cwałem, który po chwili przeszedł w galop. Powóz odjechał pędem, a za nim z równą prędkością pomknęli dwaj jeźdźcy zamykający orszak.

Odprowadzaliśmy podróżnych wzrokiem, lecz rychło zniknęli nam z oczu w gęstwinie lasu; wkrótce też ucichł tętent kopyt i turkot kół.

Mozna by sądzić, że ulegliśmy halucynacji, gdyby nie młoda dziewczyna, która w tym właśnie momencie otworzyła oczy. Twarzy jej nie widziałam, gdyż siedziała tyłem do mnie, dostrzegłam jednak, jak podniosła głowę, najwidoczniej rozglądając się wokół, i usłyszałam, jak dźwięcznym głosem, z nutą skargi zapytała:

– Gdzie mama?

Pocziwa madame Perrodon zwróciła się do niej, czule ją uspokajając.

I znów usłyszałam głos nieznajomej:

– Gdzie jestem? Co to za okolica? – A po chwili: – Nie widzę powozu. Gdzie wszyscy odjechali?

Madame starała się jej odpowiadać na tyle, na ile potrafiła, i stopniowo młoda dama przypomniała sobie, jak doszło do wypadku. Ucieszyła się też wyraźnie na wiadomość, że prócz niej nikt z pasażerów powozu ani ze służby nie ucierpiał; lecz gdy dowiedziała się, że matka pozostawiła ją tu do czasu swego powrotu za trzy miesiące, wybuchnęła płaczem.

Chciałam i ja dołączyć kilka słów pociechy do tego, co mówiła madame Perrodon, ale mademoiselle de Lafontaine położyła mi dłoń na ramieniu mówiąc:

– Nie podchodź do niej, jeden rozmówca to dla niej aż nadto w jej obecnym stanie. Wszelkie wzruszenie mogłoby ją znów zbić z nóg.

„Gdy tylko spocznie bezpiecznie w łóżu – pomyślałam – pobiegnę złożyć jej wizytę”.

Tymczasem ojciec pchnął konnego sługę po lekarza, zamieszkałego o dwie mile; zarządził również, by przygotowano gościowi pokój.

Nieznajoma wstała i wsparta o ramię madame z wolna ruszyła przez zwodzony most ku bramie zamku. W hallu czekała służba i gościa zaprowadzono do jej pokoju.

Komnata, która zazwyczaj służyła nam jako salon, to podłużne pomieszczenie o czterech oknach wychodzących na łąkę, na most zwodzony i leśny pejzaż, który już opisywałam.

Na urządzenie jej składają się stare, w dębie rzeźbione meble, olbrzymie komody, krzesła obite szkarłatnym aksamitem z Utrechtu; ściany zdobią ujęte w wielkie złożone ramy gobeliny przedstawiające naturalnej wielkości postacie w dziwnych strojach z dawnych epok, w scenach polowań czy innych rozrywek. W tej to komnacie, urządzonej nie na tyle majestatycznie, by zatraciła ciepło i przytulność, siadywaliśmy przy herbacie, gdyż ojciec z właściwym sobie patriotyzmem nalegał, by obok kawy i czekolady pojawiał się na naszym stole także i ten narodowy napój.

Tu też zasiedliśmy przy świecach, rozmawiając o wydarzeniu, którego byliśmy świadkami.

Madame Perrodon i mademoiselle de Lafontaine były z nami. Młoda dziewczyna, gdy tylko znalazła się w łóżku, głęboko zasnęła, toteż zostawiły ją pod opieką służby i zeszły na dół.

– Jak podoba się pani nasz gość? – spytałam madame, gdy tylko weszła. – Proszę mi

wszystko o niej opowiedzieć.

– Spodobała mi się bardzo – odparła. – Wydaje mi się, że to najładniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałam. W tym wieku co panienka, i jaka miła, jaka subtelna!

– Jest prześliczna – dorzuciła mademoiselle, której na moment udało się zajrzeć do pokoju nieznanym.

– A jaki miły ma głos – dodała madame Perrodon.

– Czy zauważyłyście kobietę, która wychyliła się z powozu, gdy już stał na kołach, ale nie wysiadła, patrzyła tylko przez okno? – spytała mademoiselle.

– Nie, nie widziałyśmy jej.

Opisała więc wstrętną Murzynkę w czymś, co przypominało kolorowy turban, która cały czas wyglądała oknem, przypatrując się obu damom z szyderczym uśmiechem, błyskając białkami oczu i szczerząc zęby jak gdyby w grymasie wściekłości.

– A przyjrzałyście się ich służbie, która wyglądała na bandę zbirów? – spytała madame.

– O, tak – odparł ojciec, który właśnie wszedł do pokoju. – Paskudne, zakazane gęby, jakich w życiu nie widziałem. Mam nadzieję, że nie obrabują owej damy gdzieś w lesie. Ale swoją drogą chytre to były pacholki. Naprawili wszystko w mig!

– Wydaje mi się, że byli zmęczeni długą podróżą – odezwała się madame. – Prawda, że wyglądali na zbójów, a nadto mieli twarze dziwnie ciemne, zapadnięte i ponure. Muszę przyznać, że dręczy mnie ciekawość, ale mam nadzieję, że młoda pani sama nam wszystko opowie jutro rano, gdy tylko poczuje się lepiej.

– Nie sądzę – odezwał się ojciec z zagadkowym uśmiechem i pokręcił głową, jak gdyby wiedział dużo więcej, niż chce zdradzić. Tym bardziej zapragnęłam dowiedzieć się, co też zaszło między nim a damą w czerni w czasie owej krótkiej, ale pełnej napięcia wymiany zdań tuż przed jej odjazdem.

Ledwie znaleźliśmy się sami, zaczęłam usilnie nalegać, by mi wszystko opowiedział. Nie musiałam prosić długo.

– Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie miałbym ci tego powiedzieć. Nieznajoma dama wzbraniała się obarczać nas troską o córkę powiadając, że jest ona nerwowa i słabego zdrowia, jakkolwiek – co stwierdziła wyraźnie – nie ulega żadnym atakom ani halucynacjom i jest zupełnie zdrowa na umyśle.

– Jakież to dziwne mówić takie rzeczy – wtrąciłam – przecież to zupełnie niepotrzebne.

– A jednak tak właśnie powiedziała – zaśmiał się ojciec. – A jeśli już chcesz wiedzieć wszystko, a jest tego doprawdy niewiele, powtórzę ci dosłownie. Powiedziała mianowicie: „Wyruszam w długą podróż w sprawach najwyższej wagi – wyraźnie podkreśliła to słowo – w podróż pilną a tajemną. Za trzy miesiące wrócę po córkę. Przez ten czas ona nie zdradzi, kim jesteśmy, skąd przybывamy i dokąd podróżujemy”. I to wszystko. Mówiła płynną francuszczyzną. Gdy wypowiedziała słowo „tajemny”, zamilkła na kilka sekund, wpatrując się we mnie z napięciem. Wydaje się, że bardzo zależy jej na tajemnicy. Widziałas zresztą, jak szybko odjechała. Mam nadzieję, że nie popełniłem jakiegoś głupstwa, podejmując się opieki nad tą dziewczyną.

Co do mnie, byłam uszczęśliwiona. Tęskniłam do chwili, w której ją zobaczę; czekałam tylko na zezwolenie doktora. Wy, mieszkańcy miast, nie macie pojęcia, jak wielkim wydarzeniem jest pojawienie się nowej, nieznanego osoby na takim pustkowiu.

Doktor przyjechał dopiero o pierwszej w nocy, ale udać się na spoczynek byłoby mi doprawdy równie trudno, jak prześcignąć powóz, którym odjechała dama w czerni.

Lekarz wszedł wreszcie do salonu, przynosząc pocieszające wiadomości o stanie pacjentki. Mogła już usiąść, puls miała regularny i wydawała się zupełnie zdrowa. Nie odniosła żadnych obrażeń, a niewielki szok nerwowy minął bez śladu; nic nie stoi na przeszkodzie, bym złożyła jej wizytę, jeśli tylko obydwie mamy na to ochotę. Mając takie zezwolenie, niezwłocznie poszłam na górę z zapytaniem, czy nieznajoma zgadza się, bym na krótko

przyszła do jej pokoju.

Służąca wróciła zaraz, oznajmiając, że młoda dama pragnie tego z całego serca.

Nie muszę dodawać, że natychmiast z zaproszenia tego skorzystałam.

Nieznajoma leżała w komnacie należącej do najpiękniejszych w zamku, choć może nazbyt majestatycznej. Naprzeciw nóg łoża wisiał mroczny gobelin przedstawiający Kleopatrę ze żmiją na łonie; nie mniej poważne klasyczne sceny dojrzeć było można na splewiałych tkaninach rozwieszonych na pozostałych ścianach. Ale złocenia i żywe kolory innych ozdób aż nadto wynagradzały ponury nastrój starych gobelinów.

Przy łożu stały świece. Dziewczyna siedziała wyprostowana, jej szczupłe, piękne ciało otulał miękki, jedwabny strój nocny haftowany w kwiaty, lamowany grubym, pikowanym atłasem, którym matka okryła jej stopy, gdy leżała na ziemi.

Ale cóż to takiego zaparło mi oddech w piersi i kazało cofnąć się o krok czy dwa, zaledwie podeszłam do łóżka i wymówiłam pierwsze słowa powitania? Zaraz opowiem.

Otóż ujrzałam tę samą twarz, która nawiedziła mnie nocą w dzieciństwie i która tak utkwiała mi w pamięci, iż często samo jej wspomnienie obezwładniało mnie grozą, kiedy nikt nie podejrzewał nawet, o czym myślę.

Twarz ta była ładna, nawet piękna; gdy ujrzałam ją po raz pierwszy, malował się na niej ten sam wyraz smutku. Niemal natychmiast jednak rozjaśnił ją dziwny, pełen napięcia uśmiech mówiący, że nieznajoma poznaje mnie.

Całą minutę trwała cisza, którą wreszcie przerwała ona; ja nie byłabym w stanie.

– Ależ to cudowne! Przed dwunastu laty widziałam pani twarz we śnie i to wspomnienie prześladowało mnie od tego czasu bezustannie.

– W rzeczy samej cudowne! – powtórzyłam, z wysiłkiem przezwyciężając przerażenie, które przed chwilą dławiło mi głos. – I ja z całą pewnością widziałam panią, we śnie lub na jawie, dwanaście lat temu. Nie mogłam zapomnieć pani twarzy, do dziś mam ją w oczach.

Uśmiech jej złagodniał. To, co wydawało mi się w nim dziwne, zniknęło, pozostał jedynie wdzięk i wyraz inteligencji, a na policzkach ukazały się dołeczki.

Uspokoiliłam się więc i pośpieszyłam ze słowami powitania, jakie nakazywała gościnność. Opowiedziałam jej też, jaką radość sprawiło nam wszystkim jej przypadkowe zjawienie się i jak bardzo ja sama z niego się cieszę. Wśród rozmowy ujęłam ją za rękę; jak wszyscy ludzie samotni, byłam trochę nieśmiała, sytuacja natchnęła mnie jednak niezwykłą pewnością siebie. Odpowiedziała mi uściskiem i przykryła moją dłoń swoją, a oczy jej zabłyśły, gdy rzucając mi pospieszne spojrzenie, uśmiechnęła się znów i splonęła rumieńcem.

Bardzo wytwornie odpowiedziała na me powitanie, a gdy ja, wciąż jeszcze nieco oszołomiona, siadłam obok niej, zaczęła mówić:

– Opowiem ci mój sen o sobie. Jakież to niezwykle, że obie śniłyśmy się sobie tak wyraźnie, że obydwie, ty mnie, a ja ciebie, widziałyśmy takimi, jakimi jesteśmy dziś, choć przecież byłyśmy wtedy małymi dziećmi. Ja miałam wówczas sześć lat. Obudziłam się z niespokojnego, dręczącego snu w komnacie niczym nie przypominającej mego dzieciennego pokoju. Ściany były wyłożone ciemną boazerią, stały tam szafy, łóżka, krzesła i ławy. Wszystkie łoża zdawały się być puste, a w pokoju nie było oprócz mnie nikogo. Przez chwilę rozglądałam się, podziwiając zwłaszcza żelazny dwuramienny świecznik, który bez wątpienia poznałabym i dziś, po czym wśliznęłam się pod jedno z łóżek, chcąc się przedostać do okna. Ale wydostając się spod łoża usłyszałam czyjś płacz i, wciąż jeszcze na klęczkach, podniósłszy wzrok, ujrzałam ciebie – niewątpliwie ciebie – tak, jak widzę cię teraz: piękną młodą dziewczynę o złotych włosach i dużych niebieskich oczach, i ustach takich właśnie jak twoje. Spodobałaś mi się niezwykle. Wspięłam się na łóżko i zarzuciłam ci ramiona na szyję, a potem, jak mi się zdaje, obie zasnęłyśmy. Obudził mnie krzyk. Siedziałaś na łóżku, płacząc. Przestraszyłam się, zsunęłam na ziemię i chyba straciłam na chwilę przytomność. Gdy ją odzyskałam, byłam znów w mym dzieciennym pokoju. Twoją twarz zapamiętałam na zawsze.

To nie może być tylko podobieństwo; jesteś niewątpliwie tą samą dziewczyną, którą wówczas ujrzałam.

Teraz z kolei ja opowiedziałam swoje widzenie, ku niekłamanemu zdumieniu mej nowej znajomej.

– Nie wiem, która z nas powinna bardziej obawiać się drugiej – odezwała się z uśmiechem, gdy tylko skończyłam. – Co do mnie, przypuszczam, że gdybyś nie była tak piękna, bałabym się ciebie. Lecz skoro jesteś taka, jaka jesteś, skoro obie jesteśmy tak młode, wolę po prostu wierzyć, że poznałam się już przed dwunastu laty i stąd mam prawo do twej przyjaźni. Tak czy inaczej wydaje się, iż to przeznaczenie chce, byśmy się zaprzyjaźniły. Chciałabym bardzo wiedzieć, czy i ty czujesz tę osobliwą moc, która mnie tak ku tobie przyciąga? Nie miałam nigdy przyjaciółki. Czyżbym ją teraz znalazła?

Westchnęła, a jej czarne, piękne oczy wpiły się we mnie. By rzec prawdę, i ja czułam niepojęty pociąg ku pięknej nieznajomej. Odczuwałam działanie owej „osobliwej mocy”, ale jednocześnie coś mnie od niej odpychało. Jednak w tym chaosie uczuć pociąg zdecydowanie przeważał. Nieznajoma zaciekała mnie i podbiła; była tak piękna, tak nieopisanie ujmująca!

W tym jednak momencie ujrzałam, że ogarnia ją dziwna apatia i wyczerpanie, pożegnałam się więc pośpiesznie.

– Lekarz uważa – dodałam – że ktoś powinien zostać przy tobie na noc. Jedna ze służących już czeka; przekonasz się, że jest spokojna i bardzo użyteczna.

– Jestem wam wielce zobowiązana, jednakże nie mogłabym zasnąć; nigdy nie potrafiłam spać, gdy ktoś był ze mną w pokoju. Nie będę potrzebowała żadnych usług. Co więcej, przyznam ci się, że straszliwie lękam się bandytów. Nasz dom obrabowano kiedyś, mordując dwoje służby; od tego czasu zawsze zamykam drzwi na klucz. Weszło mi to w nawyk; jesteś tak miła, że na pewno mi to wybaczysz. Nawet widzę, że klucz jest w zamku.

Ujęła mnie mocno w swe kształtne ramiona, przyciągnęła ku sobie i szepnęła do ucha: – Dobranoc, najmilsza, tak trudno się z tobą rozstać, ale dobranoc. Jutro rano, choć nie nazbyt wcześnie, ujrzę cię znów.

Z westchnieniem opadła na poduszki, odprowadzając mnie do drzwi wzrokiem pełnym czułości i smutku; szepnęła przy tym: – Dobranoc, dobranoc, moja droga przyjaciółko.

U młodych ludzi sympatia, a nawet miłość pojawia się nagle. Wyraźne, choć jak dotąd nie zasłużone uczucie okazywane mi przez nieznajomą schlebiało mi. Cieszyło mię zainteresowanie, jakim darzyła mnie od pierwszej chwili. Postanowiła już, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Nadszedł następny dzień i spotkałyśmy się znowu. Byłam nową towarzyszką zachwycona – w każdym razie pod wieloma względami.

Uroda jej nie straciła nic w świetle dnia. Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam, a niemiłe wspomnienie twarzy ujranej w dzieciennym śnie straciło znaczenie od chwili pierwszego niespodziewanego rozpoznania.

I ona wyznała, że zobaczywszy mnie przeżyła podobny wstrząs oraz lekką niechęć, zbliżoną do tej, która i u mnie splotła się z uczuciem gorącej ku niej sympatii. Teraz obydwie śmiałyśmy się z naszego minionego przerażenia.

Wspomniałam już, że u mej nowej przyjaciółki zachwycało mnie prawie wszystko.

Powiedziałam: „prawie wszystko”. Spróbuję to wyjaśnić. Zacznę od opisu.

Jak na kobietę była ona wzrostu więcej niż średniego. Była smukła i pełna wdzięku; z wyjątkiem pewnej powolności, zaiste niezwyklej powolności ruchów, nic w jej wyglądzie nie wskazywało, by była chora. Twarz o żywych kolorach, rysy drobne i kształtne, wielkie, czarne, błyszczące oczy i doprawdy wspaniałe włosy. Nigdy nie widziałam włosów tak gęstych i długich, kiedy rozpuszczała je na ramiona. Często unosiłam je w dłoniach i śmiejąc się podziwiałam ich ciężar. Były skończenie piękne, miękkie, w kolorze nasyconego, ciemnego

brązu ze złotym połyskiem. Lubiłam rozpuszczać je, patrząc, jak spadają na ramiona, splatać je i rozplatać, kiedy siadywałyśmy w jej pokoju: ona ułożona na fotelu, przemawiająca swym niskim, pełnym słodczy głosem, i ja przy niej, bawiąca się jej włosami. Boże! Gdybym wówczas wiedziała!

Wspomniałam, że nie wszystko w niej mi się podobało. Mówiłam, że ufność, jaką mi okazała pierwszego wieczora, podbiła mnie, wkrótce jednak zauważyłam, że w tym wszystkim, co dotyczy jej samej, matki, przeszłości, słowem we wszystkim, co miało jakikolwiek związek z jej życiem, planami czy bliskimi jej osobami, zachowywała zawsze czujną rezerwę.

Zapewne byłam nierozsądna, być może postępowałam źle. Może powinnam była respektować dyskrecję, jaką dama w czerni wymogła na mym ojcu, lecz ciekawość to nie dająca się okiełznać, pozbawiona skrupułów namiętność; żadna dziewczyna nie zniesie cierpliwie, by wystawiano ją na taką próbę. Komuż mogłoby zaszkodzić, gdybym dowiedziała się tego, co tak bardzo chciałam wiedzieć? Czyżby ona wątpiła w mój rozsądek i nie dowierzała memu słowu? Czemuż nie ufała mi, gdy zapewniałam ją, jakże uroczyście, że ani słowa z tego, co mi powie, nie zdradzę żadnej śmiertelnej istocie?

W smutnym uśmiechu, z którym niezmiennie odmawiała mi choćby najmniejszego promyka światła, był chłód nie licujący z jej młodzieńczym wiekiem.

Trudno powiedzieć, byśmy kłóciły się o to – wszakże ona w ogóle nie umiała się kłócić. Oczywiście ja ze swej strony byłam doprawdy nielojalna, wręcz źle wychowana, naciskając ją do tego stopnia, ale doprawdy nie umiałam się opanować, choć z równym skutkiem mogłabym zaprzestać tych prób.

Wszystko, co mi powiedziała, było wobec mej zachłannej ciekawości niczym.

Sprowadzało się to do trzech niejasno sprecyzowanych wyznań: po pierwsze: na imię miała Carmilla; po drugie: pochodziła z wielkiego i starożytnego rodu; po trzecie – dom jej znajdował się gdzieś na Zachodzie. Nie zdradziła mi jednak ani nazwiska rodowego, ani herbu, ani nazwy swego zamku, ani nawet kraju, z jakiego pochodziła.

Nie znaczy to oczywiście, bym nieustannie dręczyła ją pytaniami. Przeciwnie, czekałam sposobności i raczej czyniłam aluzje, niż zadawałam pytania. Raz tylko czy dwa zapytałam ją wprost. Bez względu jednak na przyjętą taktykę rezultatem była niezmiennie całkowita klęska. Daremne były zarówno pieszczoty, jak słowa wyrzutu. Dodam wszakże, że odmowa pełna była zawsze takiego smutku, towarzyszyło jej tyle próśb o wybaczenie, tak namiętne zapewnienia o jej sympatii ku mnie, o zaufaniu, jakie pokłada w mym honorze, tyle obietnic, że i tak wszystkiego kiedyś się dowiem, że nie potrafiłam być długo urażona.

Zwykła była zarzucać mi swe śliczne ramiona na szyję, przyciągać ku sobie i dotykając swym policzkiem mego, szeptać do ucha: – Wiem, najdroższa, że ranię twe serduszko, ale nie uważaj mnie za okrutną dlatego, że posłuszna jestem nieodpartemu prawu, jakie dyktują mi ma siła i ma słabość. Jeśli twe serduszko jest zranione, moje złe serce krwawi wraz z nim. W upojeniu i niezmiernym poniżeniu żyję w tobie, twym gorącym życiem, a ty umrzesz, słodko umrzesz we mnie. Nie mogę temu zapobiec. Ja przyciągnę cię ku sobie, ty przyciągać będziesz innych; wtedy poznasz upojenie okrucieństwem, które jest niczym innym jak miłością. Nie próbuj więc na razie wiedzieć więcej o mnie i mych sprawach, lecz zaufaj mi całym swym kochającym sercem.

Wygłosiwszy te wzniosłe słowa, przytuliła mnie silnej w drżącym uścisku, gorącymi pocałunkami delikatnie muskając mą twarz.

Jej wzruszenia i sensu słów nie byłam w stanie pojąć. Z takich dziwnych uścisków, które, muszę przyznać, nie zdarzały się zbyt często, usiłowałam się wyswobodzić, ale w momentach tych wydawało mi się, że opuszczają mnie siły. Wygłaszane szeptem słowa brzmiały mi w uszach jak kołysanka, opór przemieniał się w trans, z którego otrząsnąć się mogłam dopiero wtedy, gdy odsuwała się ode mnie.

W owych tajemniczych chwilach nie lubiłam jej. Odczuwałam wówczas dziwne, pełne

niepokojem podniecenie, niewątpliwie przyjemne, łączące się jednak zawsze i niezmiennie z uczuciem strachu i odrazy. W czasie takich scen nie potrafiłam myśleć o niej wyraziście, byłam jednak świadoma uczucia miłości przeradzającego się w uwielbienie i nienawiści zarazem. Wiem, że to paradoks, nie potrafię jednak inaczej tego wyjaśnić.

Słowa te piszę po dziesięciu latach, drżącą ręką, mając w pamięci niepojęte i przerażające wypadki, których byłam nieświadomym uczestnikiem; jakże żywo zachowałam mimo to w pamięci główny nurt wydarzeń! Sądzę, iż w życiu każdego człowieka pełne napięcia stany, w których dochodzą do głosu nasze najgłębsze i najdziksze namiętności, we wspomnieniach pozostawiają ślad mało czytelny.

Zdarzało się nieraz, że po okresach apatii moja osobliwa i piękna towarzyszka ujmowała mą dłoń, ściskając ją przyjaźnie raz po raz; twarz jej nabierała kolorów, wpatrywała się we mnie błyszczącymi, pełnymi tęsknoty oczyma, jej pierś falowała szybkim, urywanym oddechem. Było w tym coś z namiętności kochanka. Onieśmielało mnie to i budziło niechęć, było jednak zniewalające. Wówczas przyciągała mię ku sobie i wodziła gorącymi wargami po mych policzkach, szepcząc niemal ze szlochem: – Jesteś moja, będziesz moja, ty i ja należymy do siebie na wieki. – Po czym nagle osuwała się na fotel, drobną dłonią zakrywała oczy, pozostawiając mię całą drżącą.

– Czyżbyśmy byli spokrewnione? – pytałam. – Co to wszystko znaczy? Czy przypominam ci kogoś, kogo kochałaś? Ale, błagam, nie bądź taka, nie mogę tego znieść. Nie pojmuję cię, nie pojmuję nawet samej siebie, gdy tak mówisz i w ten sposób patrzysz na mnie.

Widząc me wzburzenie, odwracała się z głębokim westchnieniem, puszczała mą dłoń.

Na próżno starałam się zrozumieć, co znaczyć może to niezwykle zachowanie. W żaden sposób nie mogłam kłaść go na karb pozy czy też uważać za mistyfikację. Były to bez wątpienia wybuchy tłumionych instynktów i namiętności. Czyżby więc – wbrew samorzutnym zaprzeczeniom matki – moja nowa znajoma doznawała jednak ataków obłądzenia? A może jest to maskarada, za którą kryje się jakaś romantyczna historia? Czytałam o takich rzeczach w starych książkach. Możliwe wszak, że zakochany młodzieniec z pomocą starej, sprytniej intrygantki dostał się w przebraniu do domu, by tu dalej prowadzić swą grę? Jednak, choć hipoteza taka nad wyraz schlebiała mej próżności, przemawiało przeciw niej zbyt wiele.

Nie mogłam poszczycić się najmniejszymi dowodami kurtuazji, tak chętnie świadczonej kobietom przez mężczyzn. Nadto wybuchy namiętności oddzielone były długimi okresami codziennych radości czy smutków, kiedy to, gdyby nie jej żarliwe, smutne, utkwione we mnie oczy, można by pomyśleć, że znały dla niej tyle co nic. Poza krótkimi chwilami tajemniczego podniecenia jej sposób bycia był pełen dziewczęcego wdzięku, a ponadto cechowała ją pewna powolność ruchów, trudna do pogodzenia z właściwą mężczyznom energią.

Pod pewnymi względami zwyczaj jej były osobliwe. Może wy, mieszkańcy miast, nie dostrzeżlibyście w nich niczego dziwnego, taka jednak była opinia wśród nas, ludzi ze wsi. Na dół schodziła zwykle bardzo późno, na ogół nie wcześniej niż o pierwszej po południu. Wypijała wówczas jedynie filiżankę czekolady i wychodziłyśmy na spacer, krótką przechadzkę za ledwie, przy czym ona nużyła się niemal natychmiast i bądź powracała do zamku, bądź też siadała na którejś z ławek ustawionych tu i ówdzie pomiędzy drzewami. Było to osłabienie czysto fizyczne, w którym umysł jej nie brał udziału – mówiła z ożywieniem i bardzo inteligentnie.

Bywało, iż napomknęła o swym domu, wspomniła jakiś miniony wypadek bądź sytuację, opisując osobliwych ludzi i całkowicie nieznane nam obyczaje. Z tych przypadkowych uwag wywnioskowałam, że pochodzi z kraju znacznie dalszego, niż początkowo sądziłam.

Gdy siedziałyśmy tak pewnego popołudnia w cieniu drzew, obok nas przeciągał kondukt żałobny. Chowano młodą, urodziwą dziewczynę, którą znałam z widzenia, córkę jednego z

gajowych. Nieszczęsny ojciec szedł za trumną ukochanej jedynaczki; zdawało się, że serce ma zupełnie złamane. Za nim szli wieśniacy, parami, śpiewając żałobne pieśni.

Gdy mijali nas, wstałam i na znak szacunku dołączyłam swój głos do pieśni, którą tak pięknie śpiewali.

Moja towarzyszka szarpnęła mnie gwałtownie. Obejrzałam się zdumiona.

– Czyż nie słyszysz, jak oni fałszują? – powiedziała ostro.

– Bynajmniej, uważam, że śpiewają bardzo pięknie – odparłam zirytowana, że mi przerwano, a także niespokojna, że ludzie tworzący skromny orszak zauważą, co się stało, i poczują się dotknięci.

Podjęłam więc znów pieśń, lecz Carmilla przerwała mi po raz drugi.

– Uszy mnie bołą – rzekła niemal ze złością, zatykając je palcami. – Poza tym skąd wiesz, czy wyznajemy tę samą religię? Twoje zachowanie uraża mnie; nienawidzę pogrzebów. Tyle hałasu o nic! Przecież i ty musisz umrzeć, każdy musi umrzeć; wówczas dopiero jesteśmy naprawdę szczęśliwi. Chodź do domu!

– Mój ojciec miał być przecież na cmentarzu. Myślałam, że wiedziałaś, że ona umarła i że dziś będzie jej pogrzeb – odparłam.

– Ona? Nie wiem, kto to jest. Nie zwracam sobie głowy jakimiś chłopami – odezwała się Carmilla z płonąącym wzrokiem.

– To ta biedna dziewczyna, która przed kilkunastoma dniami zobaczyła podobno zjawę i od tego czasu powoli konała, by wczoraj wyzionąć ducha.

– Nie mów mi o żadnych duchach, bo nie będę mogła w nocy zasnąć.

– Mam nadzieję, że nie nadciąga zaraza, choć wszystko na to wskazuje – ciągnęłam dalej.

– Młoda żona pasterza do świń umarła ledwo przed tygodniem, a zdawało się jej, że w nocy coś ją schwyciło za gardło i niemal udusiło. Tatuś powiada, że tak straszliwe majaki towarzyszą niekiedy zarazie. Poprzedniego dnia czuła się całkiem dobrze, nazajutrz zachorowała, a po tygodniu już nie żyła.

– No, to przynajmniej jej pogrzeb mamy już za sobą; pieśni odśpiewano, oszczędziwszy tortury naszym uszom. Nie znoszę tych fałszów i chłopskiej gwary. Zdenerwowałam się. Siądź tutaj, koło mnie, blisko, bliżej. Weź moją rękę, uściśnij, mocno...

Stałyśmy koło ławki nie opodal domu. Carmilla usiadła. Nagle zmieniła się do tego stopnia, że przez chwilę byłam niespokojna, a nawet przerażona. Twarz jej pociemniała i zsiniała; kurczowo zacisnęła dłonie, zagryzła wargi i drżąc jak w febrze utkwiała wzrok w ziemi, jakby skupiając wszystkie siły dla opanowania ataku, z którym zmagająca się z całej mocy. Po chwili wydała stłumiony, bezwiedny jęk cierpienia; atak powoli mijał.

– Widzisz! Takie są skutki prześladowania ludzi żałobnymi pieśniami – odezwała się na koniec. – Potrzyj mnie, potrzyj mocno, to mija.

Atak rzeczywiście minął, a Carmilla, być może chcąc zatrzeć smutne wrażenie, jakie scena ta na mnie wywarła, stała się wyjątkowo rozmowna i ożywiona. Wróciłyśmy do domu.

Tego dnia po raz pierwszy dostrzegłam wyraźnie symptomy owej słabości zdrowia, o której wspominała jej matka. Po raz pierwszy też ujrzałam u niej przejawy czegoś, co można by nazwać „humorami”.

Wszystko to jednak minęło, jak letnie obłoki na pogodnym niebie, i nigdy już więcej nie byłam świadkiem oznak jej gniewu – z jednym wyjątkiem. Opowiem, jak do tego doszło.

Wyglądałyśmy właśnie przez jedno z wysokich okien salonu, kiedy na dziedzińcu, od strony zwodzonego mostu, ukazała się dobrze znana mi postać wędrownego sztukmistrza, który odwiedzał nas dwa razy do roku. Był to garbus o ostrych rysach twarzy, często towarzyszących temu kalectwu. Nosił szpiczastą czarną bródkę, a śmiejąc się od ucha do ucha, ukazywał białe kły. Odziany był w czarno-czerwone łachy, spod których przeświecała goła skóra. Na jego piersi krzyżowało się takie mnóstwo rzemyków i pasków, że nie mogłam się ich nigdy doliczyć, a z każdego z nich zwisały jakieś dziwne przedmioty. Na plecach nosił magiczną latarnię i dwie

dobrze nam znane skrzynki – w jednej miał salamandrę, w drugiej mandragorę. Prowokowały one zawsze mego ojca do śmiechu, były to bowiem zlepki z różnych części ciała małp, jeźwów, papug, wiewiórek, ryb, wysuszonych i starannie ze sobą połączonych. Dziwolągi te wywierały ogromne wrażenie. Miał on nadto skrzypce, magiczną skrzynkę, parę floretów i maski zatknięte za pas, a także kilka innych tajemniczych pudełek. W ręku dzierzył laskę z miedzianymi okuciami. Towarzyszył mu nieokreślonej rasy pies, który teraz szedł tuż za nim, na moście jednak podejrzliwie zatrzymał się i po chwili pośepnie zawył.

Garbus tymczasem, stanąwszy pośrodku dziedzińca, uniósł śmieszny kapelusik i nadzwyczaj ceremonialnie skłonił się, prawiąc nam z wielką swadą komplementy w kuchennej francuszczyźnie i niewiele lepszej niemczyźnie, po czym schwycił skrzypce i dobywając z nich skoczne nuty, jał śpiewać, zabawnie fałszując, i z zapałem tańczyć. Wszystko to rozśmieszyło mnie serdecznie, mimo nieustannego wycia psa.

Skończywszy, wśród uśmiechów i ukłonów podszedł do okna, gdzie z kapeluszem w dłoni i skrzypcami pod pachą, płynnie, nie nabierając niemal powietrza w płuca, wygłosił obszerną pochwałę swych talentów oraz przeróżnych sztuczek i osobliwości, jakimi – jeśli tylko wyrazimy na to ochotę – może nas zabawić.

– Może jaśnie panienci zechcą kupić ode mnie amulet skuteczny przeciw upiorowi, który podobno niczym wilk grasuje w tych lasach – rzekł na koniec, zamiatając kapeluszem ziemię.
– Na prawo i lewo ludzie giną za jego sprawą, a ja tymczasem mam tu amulet, który nigdy nie zawodzi. Wystarczy przypiąć to do poduszki i można śmiać mu się w twarz.

Amulet ów był to cienki pasek pergaminu pokryty kabalistycznymi znakami i cyframi.

Carmilla natychmiast kupiła jeden, a ja drugi. Garbus spoglądał ku nam z dołu, a my patrzyłyśmy nań ze śmiechem, rozbawione; w każdym razie ja na pewno. Gdy patrzył tak na nas, coś na moment przykuło uwagę jego czarnych przenikliwych oczu.

W jednej chwili wyciągnął skórzaną torbę pełną dziwnych stalowych narzędzi.

– Spójrz tylko, panienko! – rzekł do mnie, wskazując na nie. – Wśród wielu mniej pożytecznych rzemiosł, którymi się param, jestem też biegły w sztuce dentystycznej. Zaraza na tego psa! – przerwał. – Cicho, bestio! Wyje tak, że jaśnie panienci nie słyszą ani słowa. Wasza szlachetna przyjaciółka, dama stojąca po waszej prawej ręce, ma bardzo ostry ząb: długi, cienki, szpiczasty jak szydło. Cha, cha! Bystry mam wzrok i patrząc z dołu, dostrzegłem to wyraźnie. Jeśli więc przeszkadza on młodej paniencie, a jak mi się zdaje, musi przeszkadzać, jestem do usług; oto moje narzędzia – szczypce, pilnik i dłutka. Jeśli panienka pozwoli, ząbek będzie zaraz zaokrąglony i przytępiony, jak przystało tak młodej i ślicznej osobie. Cóż to? Panienka się gniewa? Czyżbym był zbyt śmiały? Czyżbym ją obraził?

Panienka rzeczywiście wyglądała na wściekłą, kiedy cofnęła się od okna.

– Jak ten garbus śmie tak nas obrażać! Gdzie twój ojciec? Zażądam, żeby dał mu nauczki. Mój ojciec kazałby go przywiązać do pompy, wychłostać bykowcem i napiętnować rozpalonym żelazem!

Cofnęła się od okna krok czy dwa, usiadła i zaledwie straciła z oczu winowajcę, gniew jej minął równie szybko, jak wybuchnął. Po chwili odzyskała równowagę i zdawało się, że nie pamięta już małego garbuska i głupstw, jakie wygadywał.

Tegoż wieczora ojciec, wytrącony z równowagi, opowiedział nam, że znów zdarzył się wypadek podobny do tych dwóch, które ostatnio zakończyły się tak tragicznie. Siostra młodego wieśniaka z jego dóbr, mieszkająca zaledwie o milę, ciężko zachorowała, zaatakowana – jak twierdzi – niemal w ten sam sposób, i teraz powoli kona.

– Wszystko to – stwierdził jednak – da się wytłumaczyć w zupełnie naturalny sposób. Biedni ci ludzie zarażają się nawzajem przesądami. Wyobraźnia ich tworzy te same przerażające wizje, które nawiedzały ich sąsiadów.

– Ale już to samo napawa grozą – odezwała się Carmilla.

– Jak to? – zapytał ojciec.

– Sama myśl o tym, że takie wizje mogłyby mnie nawiedzić, przeraża mnie śmiertelnie.
– Wszystko jest w ręku Boga, nic nie może zdarzyć się bez Jego przyzwolenia i nic złego nie spotka tych, co Go miłują. On nas stworzył, On powołał do życia, pod Jego opieką jesteśmy bezpieczni!

– Stwórca! N a t u r a! – zawołała Carmilla. – Wszak choroba nękająca kraj także w naturze ma swoje źródła. Wszystko ma swój początek w naturze, nieprawdaż? Wszystkie stworzenia w niebie, na ziemi i pod ziemią żyją i działają zgodnie z jej prawami. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał ojciec: – Doktor powiedział, że przyjedzie tu dzisiaj. Chciałbym wiedzieć, co on o tym wszystkim sądzi i co jego zdaniem powinniśmy zrobić.

– Nigdy dotychczas lekarze nie pomogli mi – powiedziała Carmilla.

– Byłaś więc kiedyś chora? – zapytałam.

– Ciężej niż ktokolwiek – odparła.

– Dawno temu?

– Tak, bardzo dawno. Cierpiałam na tę właśnie chorobę. Zapomniałam już wszystko prócz bólu i słabości, lżejszych zresztą niż cierpienia, których doświadczałam w innych chorobach.

– Musiałaś być wtedy bardzo młoda?

– Owszem. Ale nie mówmy już o tym. Nie chcesz przecież sprawić bólu przyjaciółce? – Spojrzała mi czule w oczy, objęła ramieniem i wyprowadziła z pokoju. Ojciec przeglądał jakieś papiery pod oknem.

– Czemu twój ojciec tak nas nastraszył? – spytała Carmilla. z westchnieniem i lekkim dreszczem.

– Ależ Carmillo! To ostatnia rzecz, którą chciałby zrobić!

– Czy boisz się, najdroższa? – spytała.

– Bałabym się bardzo, gdybym przypuszczała, że może mi grozić to, co spotkało tych biednych ludzi.

– Bałabyś się umrzeć?

– Oczywiście, każdy się boi.

– Lecz umrzeć tak, jak kochankowie – umrzeć razem, by potem razem żyć? Życie dziewczyny na tym świecie to żywot gąsienicy, co z nadejściem lata zmieni się w motyla. Lecz zanim się to stanie, skrępowana swymi potrzebami, przyzwyczajeniami, swą naturą, jest tylko poczwarką, larwą. Czyż tego nie widzisz? Tak zresztą twierdzi monsieur Buffon w owej wielkiej księdze w sąsiednim pokoju.

Wieczorem przyjechał doktor i na jakiś czas zamknął się sam na sam z ojcem. Był to biegły w swym fachu, sześćdziesięcioletni człowiek w peruce, z twarzą wygoloną gładko jak dynia. Z pokoju wyszli razem. Tatuś śmiał się; słyszałam, jak mówił:

– No cóż, dziwię się panu, człowiekowi tak mądemu. A cóż pan powie o wilkołakach czy smokach?

Doktor uśmiechnął się i odrzekł, kręcąc głową:

– A jednak życie i śmierć to stany tajemnicze. Jakże mało o nich wiemy!

Rozmawiając tak, przeszli dalej i nie posłyszałam już nic więcej. Wówczas nie rozumiałam, o czym doktor mówił. Dziś wydaje mi się, że wiem.

Tegoż wieczora przyjechał do nas z Grazu jednokonnym wózkiem, załadowanym dwiema wielkimi skrzyniami pełnymi malowideł, syn odnawiacza obrazów, poważny młody człowiek o ciemnej twarzy. Była to dziesięciomilowa podróż i zawsze, gdy ktoś przyjeżdżał z naszej lokalnej stolicy, zbieraliśmy się wszyscy w hallu, wypytując o nowiny.

Odwiedziny te w naszym zamkniętym małym świątku stanowiły nie lada sensację. Skrzynie zostały w hallu, posłańcem zajęła się służba, biorąc go na kolację. Następnie wraz z

pomocnikami, uzbrojony w młotek, dłuto i śrubokręt, pojawił się znów w hallu, gdzie zebraliśmy się wszyscy, by być świadkami otwierania skrzyń.

Carmilla siedziała apatyczna, gdy odnowione stare obrazy, przeważnie portrety, jeden po drugim ukazywały się, wyciągane ze skrzyń. Matka moja pochodziła ze starej węgierskiej rodziny i większość obrazów, które obecnie miały wrócić na swoje miejsce, trafiła do zamku za jej sprawą.

Ojciec miał w ręku spis, z którego wyczytywał kolejne numery, a artysta odszukiwał w skrzyniach odpowiadające im obrazy. Nie wiem, czy było to dobre malarstwo, na pewno jednak obrazy te były bardzo stare, a niektóre też bez wątplenia ciekawe. Ponadto większość z nich widziałam właściwie po raz pierwszy, poprzednio bowiem były niemal zupełnie zatarte przez dym, kurz i czas.

– Jest tu jeden obraz, którego treści dotychczas nigdy nie widziałem – powiedział ojciec. – W górnym rogu, o ile się nie mylę, jest wypisane nazwisko: „Marcia Karnstein”; jest także data: 1698; ciekaw jestem, jak on wygląda.

Pamiętałam ten obraz. Było to niewielkie malowidło, wysokie na półtorej stopy, niemal kwadratowe, bez ramy, tak jednak pociemniałe, że nie mogłam rozpoznać, co przedstawiało.

Artysta zaprezentował je teraz z wyraźną dumą. Był to obraz doprawdy piękny; zadziwiał, zdawał się niemal żyć. Ale co najciekawsze – była to podobizna Carmilli!

– Carmillo, kochanie, spójrz! Ależ to cud! To przecież ty! Żywa, uśmiechnięta, jakbyś chciała coś powiedzieć. Tatusiu, czyż to nie wspaniałe? Popatrz! Widać nawet małą plamkę na szyi!

Ojciec uśmiechnął się i rzekł: – Podobieństwo jest doprawdy niezwykle. – Ku memu zdziwieniu jednak nie uderzyło go to zbyt mocno, odwrócił się bowiem i zaczął rozmowę z odnawiaczem, który będąc na swój sposób artystą, ze znajomością rzeczy opowiadał o obrazach, które dzięki jego sztuce znów nabrały życia i kolorów. Ja natomiast, im dłużej wpatrywałam się w obraz, tym bardziej byłam zdumiona.

– Czy pozwolisz mi zawiesić go u siebie, ojcze? – poprosiłam.

– Oczywiście, kochanie – odparł z uśmiechem. – Cieszę się, że widzisz to podobieństwo. Jest widocznie piękniejszy, niż przypuszczałam.

Carmilla zdawała się nie zwracać uwagi na te komplementy, wydawało się, że w ogóle ich nie słyszy. Swymi pięknymi oczyma spoglądała na mnie spod przymkniętych powiek i w zamyśleniu uśmiechała się, jakby w ekstazie.

– Teraz dopiero widać napis w rogu – powiedziałam. – Popatrz, Carmillo, to nie Marcia. Litery są chyba złote, a imię brzmi: Mircalla hrabianka Karnstein; nad napisem jest mała korona, a pod nią data: A. D. 1698. Pochodzę z rodu Karnsteinów, moja matka nosiła to nazwisko.

– Aha – odezwała się nieobecny jakby głosem. – Ja także wywodzę się z tego rodu, choć to bardzo dalekie i bardzo stare pokrewieństwo. Czy jacyś Karnsteinowie żyją jeszcze?

– O ile wiem, nikt, kto by nosił to nazwisko. Ród ten wyginął w czasie jakichś zamieszek dawno temu. Ale ruiny zamku Karnsteinów leżą zaledwie o trzy mile stąd.

– Jakież to ciekawe – odrzekła, wciąż owym dziwnym głosem. – Lecz spójrz, jaki piękny księżyc! – Wyjrzała przez uchylone drzwi hallu. – Czy nie zechciałabyś się wybrać ze mną na przechadzkę, popatrzeć na drogę i rzeczkę?

– Jest dziś tak samo jak owej nocy, kiedy przybyłaś do nas – powiedziałam.

Carmilla uśmiechnąwszy się westchnęła.

Potem wstała i objęte ramionami wyszłyśmy obie na dziedziniec. W milczeniu podeszłyśmy wolno w stronę zwodzonego mostu, skąd rozpościerał się przepiękny widok.

– A więc myślałaś o owej nocy, której tu przybyłam? – szepnęła. – Czy cieszysz się, że jestem z tobą?

– Ogromnie, najdroższa – odparłam.

– I poprosiłaś o obraz, który, jak ci się wydaje, przedstawia mnie, żeby zawiesić go u siebie – szepnęła z westchnieniem, tuląc się do mnie mocniej, i wsparła głowę na moim ramieniu.

– Jesteś romantyczna, Carmillo – powiedziałam. – Gdy kiedyś opowiesz mi swą historię, na pewno będzie w niej jakaś wielka miłość.

Ucałowała mnie w milczeniu.

– Jestem pewna, Carmillo, że byłaś zakochana, a i teraz kryjesz w swym sercu jakieś uczucie.

– Nigdy nikogo nie kochałam i nigdy nie pokocham – szepnęła – nikogo prócz ciebie.

Jakże pięknie wyglądała w księżycowym blasku! Rzuciła mi dziwne, nieśmiałe spojrzenie i kryjąc twarz w moich włosach, westchnęła gwałtownie, jak gdyby tłumiąc szloch. Jej drżąca ręka wtuliła się w moją dłoń.

Czułam, jak miękka skóra jej policzka płonie tuż przy mej twarzy. – Kochana, kochana – szeptała – żyję w tobie, a moja miłość jest tak wielka, że cię zabije.

Wyrwałam się z jej uścisku.

Popatrzyła na mnie wzrokiem, z którego cały żar, całe napięcie uleciało; twarz jej była apatyczna, bez wyrazu.

– Czuję chłód w powietrzu – odezwała się sennym głosem. – Mam chyba dreszcze. Czyżbym zasnęła? Wracajmy, wracajmy prędko.

– Źle wyglądasz, Carmillo. Nie jest ci słabo? Będziesz musiała napić się wina.

– Chętnie, ale już mi trochę lepiej. Zaraz wszystko będzie w porządku. Daj mi wina – dodała, gdy podeszliśmy do drzwi. – Ale popatrzmy jeszcze przez chwilę. Może to po raz ostatni oglądam z tobą księżyc.

– Jak się czujesz, Carmillo? Czy naprawdę lepiej? – zapytałam.

Zaczęłam się nagle lękać, czy nie została porażona atakiem owej dziwnej choroby, która, jak powiadano, szalała w okolicy.

– Tatusz byłby ogromnie zmartwiony – powiedziałam – gdyby okazało się, że czując się źle, nic nam o tym nie mówisz. Mamy tu bardzo dobrego lekarza; znasz go – był dziś u tatusia.

– Wiem o tym. Wiem, jacy wszyscy jesteście dla mnie dobrzy, ale doprawdy, najdroższa, czuję się zupełnie dobrze. To nic poważnego, to tylko lekkie osłabienie. Powiadają, że jestem delikatna. Trudno mi zdobyć się na wysiłek. Męczy mnie spacer łatwy dla trzyletniego dziecka. Czasami jeszcze i te mizerne siły mnie opuszczają i wówczas nadchodzi to, co ujrzałaś przed chwilą. Ale na szczęście z łatwością wracam do sił. W jednej chwili znów jestem sobą. Spójrz, już czuję się dobrze.

W rzeczy samej tak było. Rozmawiałyśmy długo, Carmilla. była niezwykle ożywiona. Owego wieczoru nie wracałam już do tego, co nazywałam przyływami jej namiętności. Mam tu na myśli jej szalone słowa i spojrzenia, które przyprawiły mnie o zakłopotanie, a nawet przestraszyły.

Tejże nocy jednak wydarzyło się coś, co skierowało me myśli na zupełnie nowe tory, a nawet, jak się wydaje, wstrząsnęło Carmillą, na krótko pobudzając jej zwykle uspijoną energię.

Wróciłyśmy do salonu; podano nam kawę i czekoladę, a Carmilla, choć nie tknęła napojów, zdawała się znów być sobą. Madame i mademoiselle de Lafontaine przysiadły się do nas z kartami i grałyśmy właśnie, gdy do pokoju wszedł ojciec na swą, jak mawiał, „obowiązkową herbatkę”.

Gdy gra dobiegła końca, usiadł on na kanapie obok Carmilli i z nutą niepokoju w głosie zapytał ją, czy od czasu przybycia tu miała jakieś wiadomości od matki. Gdy zaprzeczyła, spytał, czy nie wie, gdzie można by ją listownie odnaleźć.

– Nie mogę powiedzieć – odparła dwuznacznie. – Myślałam jednak o wyjeździe; zbyt już nadużyłam pańskiej dobroci i gościnności. Sprawiałam panu już dosyć kłopotu, myślałam więc,

by wynając jutro powóz i ruszyć w ślad za matką. Wiem, gdzie ostatecznie będę ją mogła odszukać, choć na razie muszę o tym milczeć.

– Ależ nie wolno ci nawet myśleć o czymś takim – wykrzyknął ojciec ku mej uldze. – Nie chcemy cię stracić, nie pozwolę, byś nas opuściła, chyba że pod opieką matki, której życzeniem było, abyś pozostała u nas do jej powrotu. Cieszyłbym się bardzo, gdybym wiedział, że miałaś od niej jakieś wiadomości. Wieści o postępach owej tajemniczej choroby grasującej w naszej okolicy są coraz bardziej alarmujące, zrozum więc, nasza piękna przyjaciółko, że nie mając żadnych wskazówek od twej matki, czuję na sobie ciężkie brzemię odpowiedzialności. Zrobię jednak wszystko, co będzie w mej mocy. Jedno jest pewne: nie możesz nas opuścić bez wyraźnego polecenia matki. Zbyt bolesne byłoby to dla nas rozstanie, byśmy tak lekko mogli wyrazić na nie zgodę.

– Stokrotne dzięki za pańską gościnność – odparła Carmilla, uśmiechając się zmieszana. – Jesteście dla mnie wszyscy tak dobrzy! Rzadko byłam w życiu tak szczęśliwa, jak w tym pięknym zamku, pod pana opieką i w towarzystwie pańskiej uroczej córki.

Na te słowa ojciec, staromodnym obyczajem, złożył na jej dłoni pocałunek i uśmiechnął się przy tym, wyraźnie ucieszony jej słowami.

Jak zwykle, udałyśmy się z Carmillą na górę, do jej pokoju, gdzie rozmawiałyśmy, podczas gdy ona przygotowywała się do spoczynku.

– Jak myślisz – zapytałam po chwili – czy kiedyś zaufasz mi w pełni?

Zwróciła się ku mnie z uśmiechem. Milczała jednak, choć uśmiech nie schodził jej z twarzy.

– Wiem, nie odpowiesz, bo nie możesz odpowiedzieć po mej myśli. Nie powinnam cię była pytać.

– Ależ możesz mnie pytać o wszystko. Kocham cię tak bardzo, że nie powinnam mieć przed tobą żadnych tajemnic. Wiąże mnie jednak przysięga, surowsza niż śluby zakonne, nie ośmielę się więc zdradzić mej historii, nawet tobie. Ale wkrótce nadejdzie czas, gdy o wszystkim się dowiesz. Będziesz mnie uważała za okrutną, za samolubną, ale miłość jest zawsze zaborcza – im jest gorętsza, tym bardziej zachłanna. Czyż nie widzisz, jaka jestem o ciebie zazdrosna? Musisz pójść ze mną, aż do kresu, do śmierci, kochając mnie. Albo nienawidząc. Ale musisz pójść za mną, nienawidząc w godzinie śmierci i potem. Mimo że z pozoru jestem beznamiętna, nie znam słowa obojętność.

– Przestań, Carmillo, znów wpadasz w szaleństwo – wtrąciłam pośpiesznie.

– Wiem, że jestem głupią, niemądrą dziewczyną, kapryśną i pełną humorów, dla ciebie jednak spróbuję mówić jak mędrzec. Czy byłaś kiedyś na balu?

– Nie, skąd ci to przyszło do głowy? Jak to się odbywa? To musi być cudowne!

– Już prawie zapomniałam, tak dawno to było.

– Przecież jesteś jeszcze bardzo młoda – roześmiałam się. – Nie mogłaś zapomnieć swego pierwszego balu.

– Przypominam go sobie... z trudem... Widzę to wszystko jak nurek spoglądający z głębiny na powierzchnię wody, poprzez gęstą, falującą, a jednak przezroczystą zasłonę. To owa noc sprawiła, że obraz zatarł się, kolory zbladły. Nieomal zamordowano mnie w łóżku, raniono mnie tu – dotknęła ręką piersi – i od tego czasu nigdy nie byłam już sobą.

– Byłaś bliska śmierci?

– O tak, bardzo bliska. Okrutna, dziwna miłość pozbawiła mnie życia. Miłość wymaga ofiar. Nie ma ofiar bezkrwawych. Czuję się taka słaba. Jakże teraz wstanę, by zamknąć za tobą drzwi?

Leżała z głową na poduszce, drobne dłonie zatopiła w swych wspaniałych, falujących włosach i oparła na nich policzki. Nie spuszczała ze mnie błyszczących oczu, a na ustach jej igrał nieśmiały, tajemniczy uśmiech.

Życzyłam jej dobrej nocy i wysliznęłam się z pokoju, niespokojna.

Często zastanawiałam się, czy moja piękna przyjaciółka kiedykolwiek modli się. Nie widziałam jej nigdy na klęczkach. Rano schodziła na dół zawsze bardzo późno, długo po zakończeniu rodzinnych modłów, wieczorami zaś nigdy nie wychodziła z salonu, by uczestniczyć w krótkiej modlitwie, którą odmawialiśmy w hallu.

Gdyby nie jakaś jej przypadkowa uwaga, z której wynikało, że była ochrzczona, wątpiłabym, czy jest chrześcijanką. Religia była tematem, którego nigdy w rozmowie nie wspomniała. Gdybym lepiej знаła świat, ta szczególna obojętność czy niechęć nie zdziwiłaby mnie może tak bardzo.

Nawyki ludzi nerwowych bywają zaraźliwe; osoby o podobnym temperamencie po jakimś czasie zaczynają się naśladować. Nabiwszy sobie głowę opowiadaniem Carmilli o nocnych intruzach i skradających się mordercach, zaczęłam jej wzorem zamykać nocą drzwi od mego pokoju na klucz. Zaczęłam także przed położeniem się przeszukiwać pokój i sprawdzać, czy w którymś kącie nie czai się ukryty morderca.

Dopełniwszy tych środków ostrożności, położyłam się do łóżka i zasnęłam. W pobliżu paliło się światło. Był to mój dawny, z czasów dzieciństwa wywodzący się zwyczaj, od którego żadną miarą nie umiałabym odstąpić.

Dopiero w taki sposób zabezpieczona mogłam spokojnie spać. Sny jednak potrafią przenikać ściany, rozświetlać ciemność, wygaszać światło, ich postacie wchodzą i wychodzą bez przeszkód, drwiąc sobie z zamków i skobli.

Tej nocy miałam sen, który stał się początkiem przeżyć będących źródłem osobliwej udręki. Nie mogę nazwać go majakiem, byłam bowiem w pełni świadoma, że śpię. Ale wiedziałam jednocześnie, że jestem w swym pokoju, że leżę w łóżu – dokładnie tak, jak rzecz się miała w rzeczywistości. Widziałam, czy też śniłam, że widzę pokój i sprzęty dokładnie tak, jak pamiętałam je zasypiając, z tym tylko, że było ciemno. Nagle ujrzałam, że koło nóg łóżka porusza się coś, czego w pierwszej chwili nie mogłam rozpoznać. Wkrótce jednak dostrzegłam, że jest to czarne jak sadza zwierzę podobne do olbrzymiego kota. Wydało mi się, że jest długie na cztery do pięciu stóp – w pewnej chwili przesłoniło cały dywanik przed kominkiem. Chodziło z kąta w kąt, ze złowrogim niepokojem zwierzęcia w klatce. Nie mogłam dobyć głosu, by krzyknąć, choć możecie sobie wyobrazić, jak byłam przerażona. Stworzenie przyspieszyło kroku, a w pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej, tak ciemno, że na koniec widziałam tylko jego ślepią. Poczułam, że lekkim skokiem znalazło się na łóżku. Ogromne oczy zbliżyły się ku mej twarzy i nagle uczułam piekący ból, jakby dwie wielkie igły, o cal czy dwa od siebie odległe, głęboko wbiły mi się w pierś. Obudziłam się z krzykiem. W pokoju było jasno, a świeca paliła się tak jak przez całą noc. W nogach łóża, nieco na prawo, ujrzałam kobiecą postać w ciemnej, luźnej szacie, z rozpuszczonymi na ramiona włosami. Stała jak wykuta z kamienia, bez śladu oddechu. Gdy patrzyłam tak na nią, wydało mi się, że postać zmieniała miejsce: była teraz bliżej drzwi, po chwili tuż przy nich – drzwi otworzyły się i postać zniknęła.

Napięcie ustąpiło. Mogłam odetchnąć, poruszyć się. W pierwszej chwili pomyślałam, że to Carmilla postanowiła urządzić mi kawał, a ja zapomniałam zamknąć drzwi. Podbiegłam ku nim, lecz zobaczyłam, że jak zwykle zamknięte są od wewnątrz na klucz. Bałam się je otworzyć – poraził mnie strach. Rzuciłam się na łóżko, ukryłam głowę w pościeli i tak, niczym martwa, przeleżałam do rana.

W żaden sposób nie zdołałabym opisać przerażenia, z jakim – do dziś jeszcze – wracam myślą do wydarzeń owej nocy. Nie był to przemijający niepokój, jaki pozostawia po sobie koszmarny sen. Groza zdawała się rosnąć z upływem czasu, strach krył się w zakamarkach pokoju, zastygł w sprzętach, wśród których pojawiła się zjawa.

Nazajutrz ani przez moment nie mogłam znieść samotności. Powinnam była opowiedzieć wszystko ojcu, milczałam jednak – z dwóch sprzecznych ze sobą powodów: obawiałam się, że wyśmieje mnie, a nie zniosłabym, by wydarzenie to potraktowano jak żart; z drugiej strony bałam się, że ojciec mógłby pomyśleć, że zaatakowana zostałam przez ową tajemniczą chorobę

panującą w okolicy. Nie wierzyłam w to, ojciec jednak od pewnego czasu nie najlepiej się czuł, nie chciałam go więc niepokoić.

Wystarczająco dobrze czułam się w towarzystwie mych poczciwych opiekunek – madame Perrodon i wesołej mademoiselle de Lafontaine. Gdy spostrzegły, że jestem wytrącona z równowagi i zdenerwowana, wyznałam im na koniec wszystko, co tak ciężkim brzemieniem leżało mi na sercu.

Mademoiselle śmiała się, wydało mi się jednak, że madame Perrodon zdradza oznaki niepokoju.

– Jeśli już o tym mowa – powiedziała mademoiselle, śmiejąc się nadal – to długa lipowa aleja przed oknami Carmilli nawiedzana jest przez duchy!

– Bzdury, moja droga! – wykrzyknęła madame, która najwidoczniej uważała, że uwaga ta była w tej chwili nie na miejscu. – A któż to pani naopowiadał takich rzeczy?

– Martin powiada, że kiedy naprawiono starą bramę na dziedziniec, dwakroć wstawał przed wschodem słońca i widział postać kobiecą znikającą w głębi lipowej alei.

– I cóż w tym dziwnego, zważywszy, że na łąkach nad rzeką pasą się krowy, które trzeba doić – powiedziała madame.

– Nie wiem, ale Martin do dziś się boi; prawdę mówiąc, to nigdy nie widziałam kogoś tak wystraszonego.

– Niech pani, broń Boże, nie wspomina o tym Carmilli; z jej okna widać tę aleję, a ona jest jeszcze większym tchórzem niż ja – jeśli to w ogóle możliwe.

Tego dnia Carmilla zeszła na dół jeszcze później niż zwykle.

– Tak się wystraszyłam w nocy – powiedziała, gdy tylko podeszła do nas. – Gdyby nie amulet kupiony od tego biednego garbuska, którego tak ostro zwymyślałam, na pewno zobaczyłabym jeszcze straszniejsze rzeczy. Śniło mi się, że coś czarnego podeszło do łóżka. Obudziłam się przerażona i doprawdy przez parę sekund zdawało mi się, że jakaś ciemna postać czai się koło kominka. Ale sięgnęłam pod poduszkę i gdy tylko palcami wyczułam amulet, postać zniknęła. Jestem przekonana, że gdybym go nie miała, coś straszliwego zjawiłoby się i chwyciło mnie za gardło, tak jak te biedne kobiety, o których tyle mówią.

– Posłuchaj, co mnie się wydarzyło – wtrąciłam i opowiedziałam jej moją przygodę. Carmilla zdawała się być przejęta grozą.

– A czy miałaś przy sobie amulet? – spytała z największą powagą.

– Nie, jest w porcelanowej wazie w salonie. Ale jeśli tak w niego wierzysz, tej nocy na pewno wezmę go z sobą.

Dziś, po tak długim czasie, nie umiem wytłumaczyć ani nawet zrozumieć, w jaki sposób udało mi się przezwyciężyć lęk do tego stopnia, że odważyłam się spać tej nocy sama w pokoju. Pamiętam wyraźnie, że przypięłam amulet do poduszki. Zasnęłam niemal natychmiast i całą noc przespałam głęboko, lepiej nawet niż zwykle.

Następna noc minęła równie dobrze. Spałam wyjątkowo głęboko, bez żadnych sennych marzeń. Obudziłam się jednak z uczuciem znużenia i smutku, ale na tyle nieuchwytnym, że niemal sprawiało mi przyjemność.

– Czyż ci nie mówiłam – powiedziała Carmilla, gdy opisałam jej moją spokojną noc. – I ja także świetnie spałam zeszłej nocy. Amulet przypięłam do nocnej koszuli, na piersi. Tamta noc zdaje się tak odległa. Pewna jestem, że to wszystko było zjawą, złym snem. Kiedyś myślałam, że sennie koszmary to sprawa złego ducha, ale nasz doktor wytłumaczył mi, że to niemożliwe. To tylko zaraza – twierdził – albo inna choroba puka do drzwi, a nie mogą wejść do środka, przechodzi, pozostawiając lęk.

– A czym jest, według ciebie, amulet? – zapytałam.

– Ten skrawek pergaminu musiał być nasycony jakimś lekarstwem i stanowi odtrutkę przeciw malarii – odparła.

– To znaczy, że działa tylko na ciało?

– Z całą pewnością. Nie przypuszczasz chyba, że złe duchy mogą obawiać się kawałka wstążki czy aptecznych zapachów. Unosząca się w powietrzu choroba atakuje nerwy i w ten sposób zaraża mózg. Ale zanim zdąży cię chwycić, lekarstwo odpycha je. Pewna jestem, że tak właśnie działa amulet. Nie ma w tym żadnej magii, wszystko jest zupełnie naturalne.

Czułabym się lepiej, gdyby Carmilla zdołała całkowicie mnie przekonać, ale starałam się jej uwierzyć ze wszystkich sił i straszliwe wspomnienie straciło nieco na sile.

Przez kilka nocy spałam twardo, ale każdego ranka czułam owo znużenie i osłabienie utrzymujące się potem przez cały dzień. Czułam się jakby odmieniona. Owładnął mną dziwny smutek, z którego więzów nie próbowałam się wyzwolić. Zaczęły mnie nachodzić niejasne myśli o śmierci, z wolna opanowało mnie łagodne, na swój sposób przyjemne uczucie, że gdzieś się zapadam. Jeśli nawet był w tym smutek, towarzyszący mu nastrój był błogi i dusza moja pogodziła się z nim zupełnie.

Nie dopuszczałam myśli o chorobie, nie chciałam, by dowiedział się o tym ojciec ani by wzywano doktora.

Carmilla. była dla mnie serdeczniejsza niż zwykle, a jej osobliwe ataki marzycielskiego uwielbienia stawały się częstsze. Im bardziej opuszczały mnie siły ducha i ciała, z tym większym żarem zdawała się wpijać we mnie wzrok. Wstrząsało to mną zawsze niczym przebłysk obłądu.

Niczego nieświadoma, byłam we władaniu najdziwniejszej z chorób, jakich doświadczyć może śmiertelna istota. W jej pierwszych objawach tkwił jakiś nie dający się pojąć urok, który z nawiązką wynagradzał mi osłabienie będące jej skutkiem. Urok ten narastał czas jakiś, aż doszedł do punktu, w którym łączyć się z nim zaczęło uczucie grozy pogłębiające się tak dalece, że – jak później zobaczycie – potrafiło ono odmienić całe moje życie.

Pierwsza zmiana, jakiej doświadczyłam, była raczej przyjemna. Stanowiła ona jednak jakby punkt zwrotny, od którego zaczęło się powolne zstępowanie w otchłań.

W czasie snu doznawałam dziwnych i niejasnych odczuć. Wśród owych doznań dominował osobliwy, przyjemny zimny dreszcz, podobny temu, jaki odczuwamy, płynąc pod prąd rzeki. Po długim czasie towarzyszyć mu zaczęły nie mające, zdawało się, końca sny, tak jednak mgliste, że nigdy nie potrafiłam przypomnieć sobie ich scenerii, występujących w nich postaci ani też drobnego nawet fragmentu akcji. Skutki ich wszakże były straszliwe: pozostawiały po sobie uczucie wyczerpania, jakbym długo pozostawała w stanie ogromnego napięcia myśli i w poczuciu niebezpieczeństwa. Zostawały wspomnienia całkowicie niemal ciemnego miejsca i rozmów z ludźmi, których nie mogłam dojrzeć. Szczególnie dobrze pamiętałam wyraźny, niski głos kobiecy dobiegający jakby z dużej odległości, który niezmiennie budził we mnie onieśmienie i strach. Czasami odnosiłam wrażenie, jakby jakaś ręka muskała mnie po szyi i policzkach, jakby całowały mnie gorące usta, szczególnie długo i gorąco wpijając się w szyję, gdzie pieszczota ustawała. Serce biło mi mocniej, oddech stawał się nierówny; dławiący szloch zmieniał się w spazm, w którym opuszczały mnie zmysły i traciłam przytomność.

Minęły trzy tygodnie od chwili, gdy owe niewytłumaczalne objawy wystąpiły po raz pierwszy. Cierpienia te nie pozostały bez wpływu na mą powierzchowność. Pobladałam, podkrążone oczy zdawały się większe, a osłabienie zaczęło wyraźnie odbijać się na mej twarzy.

Ojciec pytał często, czy nie jestem chora, ja jednak z uporem, który dziś wydaje mi się niepojęty, zapewniałam go, iż czuję się całkiem dobrze.

W pewnym sensie była to prawda. Nie bolało mnie nic i nie mogłam się skarżyć na jakiegokolwiek cielesne cierpienie. Dolegliwości me zdawały się płynąć z wyobraźni, ze stanu nerwów, i choć były dotkliwe, z chorobliwym lękiem nikomu się nie zwierzałam.

Nie mogło to być owo straszliwe zjawisko, które chłopci zwą wampirem, cierpiałam już bowiem od trzech tygodni, gdy tymczasem oni rzadko bywali chorzy dłużej niż trzy dni, po czym śmierć kładła kres ich mękom.

Carmilla. także skarżyła się na senne koszmary i chorobliwe stany, mniej jednak straszne niż moje cierpienia. Te bowiem w istocie rzeczy były zatrważające. Gdybym zdolna była w pełni pojąć swój stan, na kolanach błagałabym o radę i pomoc. Byłam jednak odurzona narkotykiem, którego siły nie podejrzewałam, i moja zdolność spostrzegania była sparaliżowana.

Opowiem teraz sen, który stał się przyczyną niesamowitego odkrycia.

Pewnej nocy zamiast głosu, który zwykłam była słyszeć w ciemności, usłyszałam inny, słodki i czuły, choć przejmujący dreszczem, który rzekł: „Matka ci mówi – strzeż się mordercy!” W tym momencie rozblęsnęło niespodziewanie światło i ujrzałam Carmillę stojącą u nóg łóżka w białej nocnej koszuli, od stóp do głów skąpaną we krwi.

Obudziłam się z krzykiem, owładnięta myślą, że Carmillę zamordowano. Pamiętam, że wyskoczyłam z łóżka, pamiętam, że stałam na korytarzu, wzywając pomocy.

Madame i mademoiselle, zaalarmowane, wybiegły ze swoich pokojów. W korytarzu jak zawsze paliła się lampa, toteż ujrzały mnie niebawem i dowiedziały się o przyczynie mego przerażenia.

Nalegałam, by zastukać do drzwi Carmilli. Na nasze kołatanie nikt jednak nie odpowiadał. Zaczęłyśmy łomotać z całej siły, wykrzykiwałyśmy jej imię – na próżno.

Drzwi pozostawały zamknięte, a strach nasz narastał. W panice uciekłyśmy do mego pokoju. Długo, gwałtownie dzwoniłyśmy na służbę. Gdyby pokój ojca znajdował się w tym samym skrzydle zamku, bezzwłocznie wezwałybyśmy go na pomoc. Niestety! – nie mógł nas słyszeć, a dotarcie do niego byłoby wyprawą, na którą żadna z nas nie umiałaby się zdobyć.

Wkrótce jednak z dołu nadbiegła służba. Zarzuciłam na siebie szlafrok i włożyłam pantofle. Moje towarzyszki odziane były podobnie. Słyszając głosy służby na korytarzu, opuściłyśmy pokój. Po bezskutecznym dobijaniu się do drzwi Carmilli nakazałam mężczyznom wyważyć je. Uczynili to, a my, trzymając wysoko lampy, stanęłyśmy w progu, patrząc w głąb pokoju.

Wołałyśmy ją po imieniu, ale odpowiedzi nie było. Obszukałyśmy całą komnatę. Wszystko było na swoim miejscu, dokładnie tak, jak wieczorem, gdy życząc jej dobrej nocy, zostawiłam ją samą. Carmilla jednak zniknęła.

Widząc, że – pominiawszy nasze gwałtowne wtargnięcie – w pokoju panuje zupełny porządek, ochłonęłyśmy nieco i odzyskały przytomność na tyle, by odprawić mężczyzn. Mademoiselle wyraziła przypuszczenie, że być może Carmilla obudziła się, słysząc rumor przy drzwiach, i owładnięta nagłym przerażeniem wyskoczyła z łóżka, kryjąc się w szafie lub za zasłonami, skąd oczywiście nie mogła wyjść, dopóki zarządca zamku i jego pomocnicy nie wycofają się. Podjęłyśmy więc nowe poszukiwania, raz jeszcze nawołując ją po imieniu.

Ale i to nie przyniosło rezultatu. Nasz niepokój i wzburzenie wzrosły od nowa. Oglądaliśmy dokładnie okna – były zamknięte. Błagałam Carmillę, żeby – jeśli się ukryła – wyszła, kończąc ten okrutny żart, i oszczędziła nam niepokojów. I to okazało się bezskuteczne. Teraz byłam już przekonana, że nie ma jej ani w pokoju, ani w garderobie, której drzwi wciąż były zamknięte na klucz z naszej strony, tak że nie mogła przez nie przejść. Tkwiła w tym jakaś tajemnica. Czyżby Carmilla odkryła jedno z owych sekretnych przejść, o których stara szafarka powiadała, że są w zamku na pewno, choć dokładne wiadomości o tym, gdzie się znajdują, zaginęły? Pozostało nam zatem jedynie wierzyć, że niebawem wyjaśni się wszystko, co teraz napawało nas takim przerażeniem.

Była czwarta nad ranem. Resztę nocy wolałam spędzić w pokoju madame. Świt nie przyniósł rozwiązania zagadki.

Następnego dnia wszyscy domownicy, z ojcem na czele, rzucili się do poszukiwań. Zamek został przetrząśnięty od piwnic po strych. Przeszukano okolicę. Nigdzie jednak nie trafiono na najmniejszy nawet ślad Carmilli. Chciano sondować rzekę. Ojciec był w rozterce – co powie matce biednej dziewczyny po jej powrocie? I ja odchodziłam niemal od zmysłów,

choć moja rozpacz z innych płynęła pobudek.

Ranek minął wśród trwogi i podniecenia. Nadeszła godzina pierwsza po południu i wciąż nie było żadnych wieści. Jeszcze raz pobiegłam do pokoju Carmilli, by tam... ujrzeć ją stojącą przy toalecie. Byłam zdumiona, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. W milczeniu skinęła na mnie swym pięknym paluszkiem, na jej twarzy malował się paniczny lęk.

Podbiegłam do niej uszczęśliwiona. Ścisnęłam ją i całowałam bez ustanku. Skoczyłam do dzwonka i zaczęłam gwałtownie nim szarpać, by przywołać kogoś, kto mógłby natychmiast uspokoić ojca.

– Carmillo, kochanie, co się z tobą działo przez ten cały czas? Umieraliśmy wszyscy z niepokoju o ciebie. Gdzie byłaś? Jak wróciłaś?

– Ta noc była nocą dziwów – odezwała się.

– Na miłość boską, powiedz wszystko, co wiesz!

– Było po drugiej, kiedy jak zwykle położyłam się spać. Drzwi od pokoju zamknęłam na klucz, podobnie jak drzwi od garderoby i na balkon. Spałam głęboko, o ile pamiętam, nic mi się nie śniło. I oto przed chwilą obudziłam się na kanapie w garderobie i zauważyłam, że drzwi do pokoju są otwarte, zaś drzwi na korytarz wyważone. Jak to możliwe, że nie obudziłam się, gdy to wszystko tu się działo? Musiał to przecież być nie lada hałas, a ja budzę się szczególnie łatwo. Poza tym jakże to możliwe, by we śnie przeniesiono mnie z łóżka, mnie, którą budzi najmniejszy szelest?

Tymczasem w pokoju Carmilli zjawili się madame, mademoiselle, ojciec i kilkoro służby. Zasypano oczywiście Carmillę pytaniami, gratulacjami i powitaniem. Nie dodała jednak niczego ponad to, czego ja dowiedziałam się wcześniej, i pośród nas wszystkich ona zdawała się ostatnią osobą zdolną w jakikolwiek sposób wyjaśnić to, co się wydarzyło.

Ojciec zaczął w zamyśleniu spacerować po pokoju. Spozstrzegłam, jak przez moment Carmilla wodziła za nim przebiegłym, mrocznym spojrzeniem.

Gdy ojciec odesłał służbę, a mademoiselle udała się po walerianę i sole trzeźwiące, tak że w pokoju pozostaliśmy sami z madame, ojciec podszedł do Carmilli zatroskany, wziął ją delikatnie za rękę, podprowadził do kanapy i usiadł obok niej.

– Czy pozwolisz, drogie dziecko, że zaryzykuję pewne przypuszczenie i postawię ci pytanie?

– Któż miałby większe ku temu prawo niż pan – odparła. – Proszę pytać, o co tylko pan zechce, a na wszystko odpowiem. Niestety, wszystko, co pamiętam, to tylko zamęt i mrok. Nie wiem zupełnie nic. Proszę zadawać pytania. Zna pan przecież granice, których mama nie pozwoliła mi przekroczyć.

– Oczywiście, drogie dziecko, nie potrzebuję jednak dotykać spraw, co do których matka twoja zastrzegła milczenie. Wracając zaś do niezwykłego zjawiska: otóż dziwy ostatniej nocy polegały na tym, że przeniesiona zostałam z łóżka do pokoju nie budząc się, podczas gdy – jak się zdaje – okna i wszystkie drzwi twego pokoju zamknięte były od wewnątrz.

Carmilla siedziała, wsparta na dłoni, bezradnie. Madame i ja słuchałyśmy z zapartym tchem.

– A oto moje pytanie – ciągnął ojciec. – Czy kiedykolwiek byłaś podejrzywana o chodzenie we śnie?

– Od czasów gdy byłam zupełnie małą, nigdy.

– A więc w dzieciństwie chodziłaś we śnie?

– Tak, podobno. Moja stara niania często mi o tym wspominała.

Ojciec uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Oto, co się wydarzyło: wstałaś we śnie, otwierałaś drzwi, nie zostawiając klucza w zamku jak zwykle, po czym zamknęłaś drzwi z zewnątrz, ponownie wyjęłaś klucz i wzięłaś go ze sobą, udając się do jednego z dwudziestu pięciu pokoiów na tym piętrze albo też na dół czy na górę. Jest tu tak wiele komnat, zakamarków, tyle ciężkich mebli i różnych gratów, że tydzień trwałoby

dokładne przeszukanie całego domu. Rozumiesz, ku czemu zmierzam?

– Tak, choć niezupełnie – odparła.

– A jak wyjaśnisz, tatusiu – wtrąciłam – że Carmilla obudziła się na kanapie w garderobie, którą tak dokładnie przeszukałyśmy?

– Przyszła tam już po waszych poszukiwaniach, wciąż we śnie; na koniec obudziła się, równie zdziwiona tym, że się tam znajduje, jak my wszyscy. Chciałbym, Carmillo – dodał ze śmiechem – żeby wszystkie tajemnice dało się wytłumaczyć równie łatwo i niewinnie jak tę. Możemy się tylko cieszyć, że to najbardziej naturalne wyjaśnienie całego zajścia nie każe nam się uciekać do omamów, machinacji z zamkami, włamywaczy, trucicieli, czarownic, słowem do niczego, co mogłoby dać podstawy do przypuszczenia, iż cokolwiek zagraża Carmilli czy komukolwiek z nas.

Carmilla wyglądała czarująco. Twarz jej, mieniąca się żywymi kolorami, była piękna jak nigdy. Owa właściwa jej, pełna wdzięku powolność ruchów podkreślała jeszcze jej urodę. Ojciec musiał milcząco porównywać jej wygląd z moim, gdyż rzekł z westchnieniem:

– Ach, gdybyż moja biedna Laura znów wyglądała tak jak kiedyś!

Tak więc nasze obawy szczęśliwie się rozwiały, a Carmilla znalazła się znów wśród przyjaciół.

Carmilla nie chciała słyszeć o tym, by ktokolwiek mógł być z nią w nocy w pokoju, toteż ojciec postanowił, że służba spać będzie tuż za drzwiami, tak by mogła natychmiast zatrzymać ją, jeśliby zechciała ponowić swą nocną wyprawę.

Noc minęła spokojnie, wczesnym zaś rankiem doktor, po którego ojciec posłał, nie mówiąc mi o tym ani słowa, przybył, by mnie zobaczyć.

Madame zaprowadziła mnie do biblioteki. Lekarz – poważny starszy pan w okularach, o którym już wspominałam – czekał tam, by mnie zbadać.

Opowiedziałam mu wszystko; w miarę jak mówiłam, twarz jego zmieniała się, przybierając coraz poważniejszy wyraz.

Staliśmy we wnęce okiennej, naprzeciw siebie. Gdy skończyłam, wsparł się o ścianę i utkwił we mnie pełen zdumienia wzrok, w którym dostrzegłam przeblęski przerażenia.

Po chwili milczenia, spytał madame, czy mógłby zobaczyć się z moim ojcem.

Posłano po ojca. Wszedł uśmiechnięty, mówiąc od progu:

– Obawiam się, doktorze, że zwymyśla mnie pan od starych głupców. Mam nadzieję, że wzywałem pana niepotrzebnie.

Uśmiech znikł z jego twarzy, gdy doktor z wielką powagą przywołał go ku sobie skinieniem.

Przez jakiś czas rozmawiali, stojąc w tej samej wnęce okiennej. Wymiana zdań zdawała się ożywiona i pełna napięcia. Biblioteka była ogromną komnatą. Stojąc w drugim jej końcu, obie z madame płonęłyśmy z ciekawości. Nie słyszałyśmy jednak ani słowa, rozmawiali bowiem cicho, a ponadto głęboka wnęka skrywała zupełnie przed naszym wzrokiem doktora; dostrzec mogłyśmy jedynie stopę, dłoń i ramię mojego ojca. Przypuszczam też, że głosy ich tłumiał załom grubego muru sprawiający, że wnęka przypominała małą skrytkę.

Po jakimś czasie ojciec wychylił się z ukrycia. Twarz jego była blada, malował się na niej wyraz zamyślenia i – jak mi się zdawało – wzburzenia.

– Lauro, kochanie, chodź tu na chwilę – zwrócił się do mnie. – Pani, madame, nie będziemy tymczasem kłopotać.

Podeszłam więc, po raz pierwszy trochę niespokojna; bo chociaż byłam bardzo osłabiona, nie czułam się chora, co zaś do sił, to wydaje nam się zawsze, że możemy je zebrać na zawołanie.

Gdy zbliżyłam się, ojciec wyciągnął ku mnie dłoń, ale patrzył wciąż na doktora. Odezwał się:

– To doprawdy bardzo dziwne, niezupełnie rozumiem to wszystko. Lauro, chodź tutaj,

kochanie, podejdź do doktora Spielsberga i słuchaj uważnie.

– Wspominałaś pani, że owej nocy, kiedy to po raz pierwszy nawiedził cię ten straszny sen, odniosłaś wrażenie, jakby dwie igły wbiły ci się w szyję. Czy czujesz w tym miejscu jakiś ból?

– Bynajmniej – odparłam.

– A czy możesz wskazać palcem to miejsce?

– To było tu, nieco poniżej krtani.

Miałam na sobie sukienkę, której kołnierz zakrywał to właśnie miejsce.

– Przekona się pan sam – ciągnął dalej doktor. – Czy pozwolisz, moje dziecko, by tatuś rozchylił ci nieco suknię? Musimy zbadać znak niemocy, na którą cierpisz.

Zgodziłam się. Miejsce to ukryte było za ledwie cal czy dwa pod suknią.

– Boże mój! A więc to to! – wykrzyknął ojciec, blednąc.

– Zobaczył pan więc na własne oczy – powiedział doktor z nutą smutnego triumfu w głosie.

– Co to takiego? – wykrzyknęłam. Zaczynałam odczuwać lęk.

– Nic, drogie dziecko. Maleńka sina plamka, nie większa od paznokcia małego palca. A teraz – znów zwrócił się do ojca – musimy się zastanowić, co należy począć w tej sytuacji.

– Czy jest jakieś niebezpieczeństwo? – zapytałam, dygocząc.

– Mam nadzieję, że nie, droga panienko – odparł doktor. – Nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś zacząć natychmiast zdrowieć. Czy w tym właśnie miejscu odczuwałaś owo uczucie dławienia?

– Tak – odparłam.

– A przypomnij sobie dobrze, czy nie z tego właśnie miejsca rozchodził się ten dreszcz, ten zimny prąd, o którym mi mówiłaś?

– Chyba tak, wydaje mi się, że tak.

– Sam pan widzi – zwrócił się znów do ojca. – Czy mógłbym zamienić teraz kilka, słów z madame?

– Oczywiście – zgodził się ojciec.

Doktor przywołał madame i rzekł do niej: – Stan zdrowia naszej młodej przyjaciółki nie jest bynajmniej zadowalający. Mam nadzieję, że wszystko skończy się dobrze, konieczne jest jednak podjęcie pewnych kroków, które z czasem wyjaśnię pani. Na razie jednak proszę, by ani na moment nie zostawiała pani, madame, panny Laury samej. Tymczasem nie mam więcej poleceń, jednak to jest absolutnie konieczne.

– Wiem, że możemy na pani polegać, madame – dodał ojciec. Madame zapewniła go o tym gorąco.

– Mam nadzieję, że i ty, Lauro, zastosujesz się dokładnie do wskazówek doktora.

– Chciałbym także zasięgnąć pańskiej rady – zwrócił się do doktora – w sprawie innej pacjentki, która zdradza objawy podobne nieco do tych, o których dowiedział się pan od mojej córki. Są one znacznie łagodniejsze, ale, jak sądzę, tego samego rodzaju. Myślę tu o owej młodej damie, którą gościmy. O ile wiem, zamierza pan wracać tędy dziś wieczorem. Niechże pan wstąpi do nas na kolację, a wówczas zobaczy pan ją. Nie schodzi ona na dół wcześniej niż po południu.

– Dziękuję panu – odparł doktor. – Będę u państwa około siódmej wieczorem.

Na koniec ojciec i doktor raz jeszcze powtórzyli swe zalecenia dla mnie i dla madame, po czym obaj wyszli, zostawiając nas same. Widziałam, jak pochłonięci ożywioną rozmową spacerują tam i z powrotem po trawniku rozciągającym się przed zamkiem między drogą a łąką.

Doktor nie wrócił już. Widziałam, jak dosiada konia i odjeżdża, kierując się na wschód, poprzez las. Niemal jednocześnie dostrzegłam, że z Dransfeld przybył człowiek z listami, zsiadł z konia i wręczył pakiet ojcu.

Obie z madame gubiłyśmy się w domysłach, starając się dociec sensu owego zalecenia udzielonego nam z takim naciskiem przez ojca i przez doktora. Madame, jak mi to później powiedziała, obawiała się, iż doktor przewidywał jakiś nagły atak, który, gdybym została bez opieki, mógł grozić niebezpieczeństwem memu życiu albo, w najlepszym wypadku, poważnym zranieniem.

Takie wyjaśnienie nie przyszło mi do głowy. Wyobrażałam sobie, zapewne z korzyścią dla mych nerwów, że celem tego zalecenia było jedynie zapewnienie mi towarzyski, która chroniłaby mnie przed zbytnim wysiłkiem, nie pozwalała jeść nie mytych owoców i dbała, bym nie zrobiła żadnej z tysiąca nierozsądnych rzeczy, do których, jak się sądzi, młodzi ludzie miewają skłonności.

Po pół godzinie do mego pokoju wszedł ojciec z listem w ręku.

– To spóźniony list od generała Spielsdorfa – rzekł. – Nasz przyjaciel mógł tu być już wczoraj, może zjawi się dzisiaj albo jutro.

Podał mi nie zaklejoną kopertę. Nie wydawał się być zadowolony, jakim bywał zwykle, gdy miał przyjechać gość, zwłaszcza tak miły jak generał. Przeciwnie, wydawało się, jakby w najmniejszej mierze nie życzył sobie tej wizyty. Widać było wyraźnie, że umysł jego pochłonięty jest czymś, czego nie zamierza nam wyjawić.

– Tatusiu drogi, czy powiesz mi wszystko? – odezwałam się nagle, kładąc mu dłoń na ramieniu i patrząc nań tak błagalnie, jak tylko umiałam.

– Być może – odparł, burząc mi pieszczotliwie dłoń w włosy.

– Czy doktor uważa, że jestem bardzo chora?

– Nie, kochanie, doktor sądzi, że jeśli zostaną podjęte właściwe kroki, już za dzień lub za dwa będziesz zupełnie zdrowa, a w każdym razie na prostej drodze do pełnego wyleczenia – odparł nieco oschle, po czym dodał: – Wołałbym, żeby nasz drogi generał wybrał inny czas na odwiedzinę. To znaczy chciałbym, żebyś była zupełnie zdrowa, by go przyjąć.

– Ale powiedz mi, tatusiu – nalegałam – co doktor u mnie podejrzewa?

– Nic, nie dręcz mnie pytaniami – odparł z rozdrażnieniem w głosie, jakiego nigdy u niego nie zauważyłam. Ale widząc, że mnie uraził, ucałował mnie i dodał: – Za dzień lub dwa dowiesz się wszystkiego, w każdym razie wszystkiego tego, co ja wiem, a do tego czasu nie wolno ci się niczym martwić.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zanim jednak w pełni uświadomiłam sobie zagadkowość jego słów, był już z powrotem. Wrócił, by nam oznajmić, że wybiera się do posiadłości Karnsteinów, musi bowiem zobaczyć się z księdzem mieszkającym w pobliżu tej malowniczej miejscowości. Chciał, żebyśmy obie z madame towarzyszyły mu. Kazał zaprzęgać do powozu na dwunastą. Gdy Carmilla, która nigdy tam nie była, wstanie, może podążyć za nami z mademoiselle, która tymczasem przygotowuje wszystko, co potrzeba, do zaimprovizowanego pikniku, jaki urządzimy w zrujnowanym zamku.

O dwunastej byłam gotowa i wkrótce wraz z ojcem i madame ruszyliśmy w drogę. Przejechawszy zwodzony most, skręciliśmy w prawo i poprzez stromo sklepiony most gotycki skierowaliśmy się na zachód, ku opuszczonej wiosce i zrujnowanemu zamczysku Karnsteinów.

Trudno wręcz wyobrazić sobie piękniejszą leśną przejażdżkę. Teren, którym jechaliśmy, łagodnie wznosi się i opada, a wzgórza i doliny porasta przepiękny bór, wolny od śladów owej sztuczności będącej zawsze wynikiem kultywacji i zabiegów leśnika.

Jechaliśmy terenem falistym, toteż droga często zbaczała, okrążając urwiska czy strome zbocza wzgórz, wijąc się uroczo w krajobrazie, którego różnaitość zdawała się niewyczerpana.

Za jednym z takich zakrętów nagle dostrześliśmy zdążającego ku nam naszego starego przyjaciela, generała. Jechał konno w towarzystwie sługi, za nimi zaś podążał wynajęty wóz z bagażami.

Zatrzymaliśmy się, generał zsiadł z konia. Po zwykłych powitaniach z łatwością dał się

namówić do zajęcia wolnego miejsca w powozie, zaś sługę z końmi odesłał do zamku.

Dziesięć miesięcy zaledwie minęło od czasu jego ostatniej u nas wizyty, jednak patrząc nań sądzić by można, że minęły całe lata. Schudł, miast zwykłej pogody i serdeczności na twarzy jego malowało się przygnębienie i niepokój. Jego ciemnobłękitne oczy, zawsze przenikliwe, teraz spoglądały surowo spod krzaczastych brwi. Sam smutek nie mógł tego sprawić; silniejsze namiętności zdawały się mieć w tym swój udział.

Ruszyliśmy i wkrótce generał z właściwą sobie żołnierską szczerością opowiadać nam zaczął o swym – jak to nazwał – osieroceniu po śmierci ukochanej siostrzenicy i podopiecznej; wkrótce wybuchnął i tonem bezmiernej goryczy i wściekłości pomstować zaczął przeciw „mocom piekielnym”, których padła ofiarą, i z rozdrażnieniem raczej niż z pobożnością wyrażał zdumienie, że niebiosa spokojnie patrzeć mogą na siły piekielne, tak jawnie zaspokajające swe ohydne żądze.

Ojciec mój, widząc od razu, że coś nadzwyczajnego musiało się wydarzyć, poprosił go, by zechciał – jeśli nie sprawi mu to zbyt wielkiego bólu – opisać nam dokładnie okoliczności usprawiedliwiające jego zdaniem słowa tak ostre.

– Rad bym wyznać wam wszystko – odparł generał – lecz nie dacie mi wiary.

– Dlaczegoż miałbym wątpić w pańskie słowa, generale? – zapytał ojciec.

– Albowiem – odparł z rozdrażnieniem – nie zwykł pan wierzyć w to, co nie zgadza się z pańskimi uprzedzeniami i wyobrażeniami. Pamiętam, że i ze mną było podobnie, życie wszakże nauczyło mnie wiele.

– Niech pan jednak spróbuje. Nie jestem taki zaślepiiony, za jakiego pan mnie uważa – odezwał się ojciec. – Ponadto wiem dobrze, iż nie przyjmuje pan prawd na wiarę, tym bardziej więc skłonny jestem uwierzyć panu.

– Ma pan rację twierdząc, że niełatwo mi przyszło dać wiarę zjawiskom nadprzyrodzonym – a niewątpliwie takich właśnie zjawisk byłem świadkiem – i niezwykle dopiero dowody zmusiły mnie, bym uwierzył w to, co pozostawało w całkowitej sprzeczności ze wszystkimi moimi dotychczasowymi teoriami. Padłem ofiarą spisku ciemnych mocy.

W tym momencie ojciec mój, który zawsze wysoko cenił bystrość umysłu generała, spojrział nań wzrokiem, w którym wyraźnie dostrzegłam jakby zwątpienie w stan władz umysłowych rozmówcy.

Generał na szczęście nie spostrzegł niczego. Ponurym, lecz zaciekawionym wzrokiem mierzył otwierające się przed nami leśne polany i przesieki.

– Czyżbyście państwo jechali do ruin zamku Karnsteinów? Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Zamierzałem prosić pana o zabranie mnie tam; chciałem je obejrzeć. Interesuje mnie zwłaszcza jedno miejsce. Wszak jest tam zrujnowana kaplica kryjąca groby wielu członków tego wygasłego rodu, nieprawdaż?

– W rzeczy samej. Czyżby zgłaszał pan roszczenie do tytułu i dóbr? – odparł wesoło ojciec. Generał jednak nie zareagował na żart przyjaciela śmiechem czy choćby uśmiechem – jak by nakazywała uprzejmość. Był ponury i rozdrażniony, pogrążony w myślach, budzących w nim gwałtowne wybuchy namiętności.

– Bynajmniej – odburknął – zamierzam tylko odkopać pewne zwłoki. Ufam, iż z Bożą pomocą zdołam dokonać zbrojnego świętokradztwa. Uwolni ono świat od potwora, pozwoli uczciwym ludziom spokojnie spać, bez lęku o swe życie. Przybyłem tu, drogi przyjacielu, by opowiedzieć panu o rzeczach tak dziwnych, że przed kilku miesiącami sam nigdy bym w nie nie uwierzył.

Mój ojciec spojrział nań znowu, tym razem jednak wzrokiem, w którym miejsce podejrzeń zajęła nagle ciekawość i niepokój.

– Siedziba Karnsteinów – odezwał się – opuszczona została dawno, przed stu laty co najmniej. Moja żona wywodziła się z tego rodu po kądzieli. Nazwisko i tytuł od dawna wygasły.

Zamek jest w ruinie, otaczająca go wieś została opuszczona. Od pięćdziesięciu lat dym nie uniósł się tam z komina, ba, nie zachował się nawet żaden dach.

– Wiem o tym. Od czasu gdy widzieliśmy się po raz ostatni, wiele słyszałem o owym miejscu, i to rzeczy doprawdy zdumiewające. Ale lepiej będzie, gdy opowiem wszystko od początku. Znał pan moją podopieczną, moją córeczkę – jak ją zwykłem nazywać. Trudno wyobrazić sobie istotę równie uroczą, równie kwitnącą jak ona – jeszcze przed trzema miesiącami.

– Biedactwo! Gdy widziałem ją ostatni raz, była zaiste czarująca – wtrącił ojciec. – Słowa nie oddadzą żalu i smutku, w jakim pogrzyżała mnie ta wiadomość. Rozumiem, drogi przyjacielu, jaki to był dla pana cios.

Ujął dłoń generała i serdecznie ją uściśnął. W oczach starego żołnierza ukazały się łzy, których nie próbował ukryć.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi – rzekł. – Wiedziałem, że okaże pan współczucie mej samotności. Troszczyłem się o siostrzenicę, jak tylko umiałem, a ona odwzajemniała moje uczucie, napełniając dom mój radością, a życie moje szczęściem. Wszystko minęło. Niewiele mi już może życia pozostało, mam jednak nadzieję, że przed śmiercią zdołam, z Bożą pomocą, oddać ludzkości przysługę, wesprzeć niebiosą w pomście nad szatanem, który zabił me dziecko w wiosnie lat i urody.

– Przynależ pan opowiedzieć nam wszystko od początku – rzekł ojciec. – Błagam, niech pan to zrobi. Zapewniam pana, iż nie ciekawość tylko mną powoduje.

Dojechaliśmy właśnie do miejsca, gdzie od gościńca z Drunstall, którym przybył generał, odchodzi droga wiodąca ku siedzibie Karnsteinów.

– Jak daleko jest jeszcze stąd do ruin? – spytał, patrząc z niecierpliwością przed siebie.

– Około pół mili – odparł ojciec. – Niech pan jednak opowie ową historię. Doprawdy, musimy ją usłyszeć.

– Dobrze więc – odparł generał z wysiłkiem i po chwili, zebrawszy myśli, rozpoczął jedną z najdziwniejszych opowieści, jakie zdarzyło mi się kiedykolwiek słyszeć.

– Moja najdroższa dziewczeczka z radością oczekiwała wizyty, na którą był pan łaskaw zaprosić ją do swej uroczej córki. – W tym miejscu skłonił mi się dwornie, choć ze smutkiem. – Przedtem jednak zaproszeni byliśmy do mego przyjaciela, hrabiego Carlsfelda, którego zamek leży o sześć mil z drugiej strony posiadłości Karnsteinów, by wziąć udział w zabawach i przyjęciach wydawanych – jak pan pamięta – na cześć jego dostojnego gościa, arcyksięcia Karola.

– Tak, pamiętam – wtrącił ojciec – musiały to być w rzeczy samej wspaniałe uroczystości.

– Godne księcia. Powiem więcej: hrabia podejmował gości doprawdy po królewsku. Jakby miał lampę Aladyna. Owego wieczoru, od którego tragedia moja bierze swój początek, odbyć się miała wspaniała maskarada. Otwarto ogrody, na drzewach wisiały kolorowe lampiony. Piękniejszych ogni sztucznych nie widział nawet Paryż. A muzyka! Wie pan, że muzyka to moja słabość – otóż muzyka była doprawdy zachwycająca. Grały tam chyba najlepsze orkiestry świata, a śpiewacy godni byli największych scen operowych Europy. Przechadzając się po cudownie rozświetlonych ogrodach, podziwiając w poświęconym księżycu bryłę zamku z przeblaskującymi różowym światłem rzędami okien, słyszeć mogłeś te zachwycające głosy dobiegające z jakiegoś zagajnika czy też wzbijające się z łodzi na jeziorze. Słuchałem i patrzyłem czując, że przenoszę się w krainę poezji i fantazji, krainę mych młodych lat!

Gdy skończyły się fajerwerki, a rozpoczął bal, wróciliśmy na zamek, gdzie amfilady wspaniałych sal czekały już na tancerzy. Wie pan, jak pięknym widowiskiem jest bal maskowy. Nigdy jednak nie widziałem przedstawienia aż tak wspaniałego.

Zebrał się tam kwiat arystokracji; bodaj ja jeden wśród nich nie byłem „kimś”.

Moja ukochana dziewczeczka wyglądała prześlicznie. Była bez maski. Radość i ożywienie

dodawały uroku jej zawsze przecież pięknym rysom twarzy. W pewnej chwili zauważyłem, że jakaś wspaniale odziana młoda dama w masce na twarzy obserwuje mą siostrzenicę z nadzwyczajną ciekawością. Po raz pierwszy spostrzegłem ją na początku wieczoru w wielkim hallu, a po chwili przeszła tuż obok nas na tarasie pod oknami zamku. Towarzyszyła jej starsza dama, także zamaskowana, odziana bogato, lecz poważnie, sprawiająca wrażenie osoby wysoko postawionej. Gdyby nie maska na twarzy młodszej z nich, zorientowałbym się z większą pewnością, czy rzeczywiście obserwowała ona me biedne dziecko. Dziś przekonany jestem, iż tak właśnie było.

Byliśmy w jednym z salonów. Moje biedne dziewczę, które przez cały czas tańczyło, odpoczywało teraz w jednym z foteli przy drzwiach. Ja stałem nie opodal. Dwie damy, o których wspomniałem, podeszły ku nam, młodsza z nich usiadła obok Berty, starsza zaś, stanąwszy koło mnie, przez chwilę mówiła coś cicho do swej towarzyszki.

Następnie, korzystając z przywilejów, jakie daje maska, zwróciła się do mnie tonem starego przyjaciela, rozpoczynając rozmowę, która w najwyższym stopniu wzbudziła mą ciekawość. Wspominała miejsca jakichś naszych dawnych spotkań na dworze i w wytwornych salonach, drobne wydarzenia, o których dawno zapomniałem, a które jednak pozostawiły w mej pamięci ślad, ożywały bowiem natychmiast, gdy tylko czyniła do nich aluzje.

Ciekawość, kim jest owa dama, rosła we mnie z każdą chwilą. Znajomość mego życia, jaką wykazywała, była dla mnie całkowicie niepojęta. Ona tymczasem zdawała się bawić, wystawiając mą ciekawość na próbę, obserwując, jak gubię się w domysłach i jak za wszelką cenę staram się dociec prawdy.

W tym czasie młoda dama, do której matka zwróciła się raz czy drugi, nazywając ją dziwnym imieniem Millarca, z równą łatwością i wdziękiem nawiązała rozmowę z mą siostrzenicą.

Przedstawiła się mówiąc, że matka jej to moja znajoma z dawnych lat. Mówiła o tym, jak maska na twarzy ośmiela, tonem przyjaciółki pochwaliła suknię Berty, dała zręcznie do zrozumienia, że znajduje się pod przemożnym wrażeniem jej urody. Rozbawiła Bertę żartobliwymi uwagami o gościach zapelniających balową salę i śmiała się serdecznie wraz z nią. Była tak pełna werwy i humoru, że w krótkim czasie obie dziewczęta były w serdecznej przyjaźni. Wówczas nieznajoma uchyliła maski, ukazując twarz wyjątkowej wprost urody. Ani ja, ani moja siostrzenica nie widzieliśmy jej dotychczas. Lecz choć ujrzeliśmy ją po raz pierwszy, twarz ta była tak ujmująca, tak miła, że nie sposób było nie poczuć ku niej żywej sympatii. Tak się też stało z mym biednym dzieckiem. Nigdy nie widziałem przypadku tak nagłego oczarowania. Zresztą i nieznajoma – jak się zdawało – od pierwszego wejrzenia oddała swe serce bez reszty na usługi mej siostrzenicy.

Ja tymczasem, korzystając z praw balu maskowego, postawiłem starszej damie kilka śmiałych pytań.

– Pani, zaintrygowałaś mnie w najwyższej mierze; czyż to nie dosyć? – rzekłem śmiejąc się. – Niechże i ja na koniec uzyskam równe prawa! Wyświadczy mi łaskę, proszę, zdejmując z twarzy maskę!

– Cóż za nierozsądna propozycja – odparła. – Oczekiwać ustępstwa od kobiety? A zresztą skąd pan wie, że mnie pan rozpozna? Lata robią swoje.

– Jak pani widzi – odparłem, skłaniając się z uśmiechem nie pozbawionym, myślę, lekkiej melancholii.

– Tak też twierdzą filozofowie – dodała. – Skądże więc ta pewność, że rozpozna mnie pan?

– Podejmę to ryzyko. Na próżno dodaje pani sobie powagi lat. Figura panią zdradza.

– A jednak całe lata minęły od chwili gdy widziałam pana ostatni raz, a właściwie od chwili gdy pan mnie ostatni raz zobaczył. Zresztą proszę spojrzeć: oto Millarca, moja córka. Nie mogę więc uchodzić za młodą, nawet w oczach tych, których czas nauczył względności

ocen. Nie chcę, by pan porównywał mnie dziś ze mną taką, jaką pan pamięta. Cóż zresztą da mi pan w zamian? Nie ma pan przecież maski!

– Apeluję więc do twojej litości, pani! Zdejm maskę!

– A ja do pańskiej. Pozwól mi ją zachować.

– Proszę więc przynajmniej zdradzić, kim pani jest, Niemką czy Francuzką? Obama językami włada pani równie biegle.

– A jednak i tego nie zdradzę panu, generale. Atakuje pan zniechęca, szukając słabego punktu.

– Nie zaprzeczy pani wszakże, iż zaszczycony rozmową powinienem przynajmniej wiedzieć, jak się do pani zwracać. Czy mam panią tytułować hrabiną?

Roześmiała się. Bez wątpienia zbyłaby mnie kolejnym wybiegiem, gdyby. ale przecież w rozmowie tej wszystko – o czym jestem dziś przekonany – ukartowane zostało z góry z niebywałym sprytem, toteż trudno przypuszczać, by cokolwiek stać się mogło przez przypadek.

– Jeśli już o tym mowa. – zaczęła, ale jej wywód został w pół słowa przerwany pojawieniem się odzianego w czerń mężczyzny. Wyglądał nad wyraz wytwornie i dystygowanie, razila tylko jego trupio blada twarz, jakiej nigdy nie widziałem, chyba u zmarłych. Nie miał kostiumu, był w zwykłym czarnym stroju wieczorowym; skłoniwszy się dwornie z niezwykłym uszanowaniem, rzekł z wielką powagą:

– Czy pozwoli mi pani, hrabino, bym zamienił z nią kilka słów, które, jak sądzę, zainteresują panią?

Dama spiesznie zwróciła się ku niemu, kładąc na ustach palec gestem nakazującym milczenie.

– Musi pan na mnie poczekać, generale – rzekła. – Zaraz wrócę, zamienię tylko kilka słów.

Rzuciwszy mi wesoło to polecenie, odeszła o parę kroków z mężczyzną w czerni; przez chwilę rozmawiali, z wielkim, jak się zdawało, przejęciem, po czym oddalili się z wolna i zginęli mi z oczu w tłumie.

Zostałem sam i dalej łamałem sobie głowę, kim mogła być owa dama, tak życzliwie wspominająca moją z nią znajomość. Pomyślałem, czyby nie przyłączyć się do rozmowy, którą moja siostrzenica prowadziła z córką hrabiny, i wypytać ją, tak że gdy dama powróci, mógłbym zaskoczyć ją niespodzianką, wymieniając bez zająknięcia jej nazwisko, tytuł, nazwę zamku i posiadłości. W tej jednak chwili dama nadeszła w towarzystwie bladego mężczyzny w czerni, który rzekł:

– Wrócę, hrabino, i dam pani znać, gdy powóz zajedzie. – Cofnął się z głębokim ukłonem.

– A zatem będziemy musieli się rozstać, hrabino; mam nadzieję jednak, że tylko na kilka godzin.

– Być może, ale możliwe jest również, iż moja nieobecność potrwa kilka tygodni. Nieszczęsny to traf, że człowiek ten ze swymi nowinami odnalazł mnie właśnie teraz. Czy wie już pan, kim jestem?

Zapewniłem ją, że nadal nie domyślam się niczego.

– Dowie się pan wszystkiego, ale nie teraz. Jesteśmy lepszymi i dawniejszymi przyjaciółmi, niż mógłby pan podejrzewać. Teraz nie mogę dać się poznać. Ale za trzy tygodnie przejeżdżać będę koło pańskiego pięknego zamku, o którym zdążyłam zasięgnąć wiadomości. Zagładnę wówczas na godzinę czy dwie i odnowimy przyjaźń, którą wspominam zawsze z największą przyjemnością. Wieść, którą właśnie otrzymałam, poraziła mnie jak grom. Muszę natychmiast wyruszyć w podróż liczącą sto mil bez mała, po niepewnych drogach, w pośpiechu, na jaki tylko potrafię się zdobyć. Nie dość na tym; gdyby nie tajemnica, jaką zmuszona jestem okrywać me nazwisko, zwróciłabym się do pana ze szczególną zaiste prośbą. Otóż moje biedne dziecko nie odzyskało jeszcze sił. Niedawno upadła wraz z koniem, asystując przy polowaniu, i po tym wstrząsie nie przysła jeszcze do siebie. Lekarz powiada, że pod żadnym pozorem nie

wolno jej przez czas jakiś nadużywać sił. Jadąc tu, nie przekraczaliśmy sześciu mil dziennie. Teraz zmuszona będę podróżować dniem i nocą w sprawach, od których zawisło życie lub śmierć, a których doniosłość i nagłość wyjawić będę panu mogła z całą otwartością za kilka tygodni, gdy – jak mam nadzieję – spotkamy się.

Co powiedziawszy, wyłuszczyła ową prośbę, czyniąc to tonem osoby, która raczej wyświadcza łaskę, niż prosi o pomoc. Był to jednak tylko sposób mówienia, nieświadomy bodaj, słowa bowiem, w jakich zwróciła się do mnie, były więcej niż błagalne. A szło o to, bym na czas jej nieobecności podjął się opieki nad córką.

Była to – zważywszy okoliczności – propozycja dziwna, by nie rzec: śmiała. Dama niejako rozbroiła mnie z góry, wyliczając wszystko, co można by wysunąć przeciw takiemu rozwiązaniu, i całkowicie zdając się w tej mierze na mą rycerskość. W tej samej chwili, jakby za sprawą fatum zdającego się ciążyć nad wszystkim, co się wówczas działo, moja ukochana siostrzenica podeszła do mnie i cichym szeptem błagać mnie zaczęła, bym zaprosił do nas jej nową przyjaciółkę. Właśnie mówiła z nią o tym i była pewna, że Millarca, gdyby tylko matka wyraziła zgodę, miałyby na to wielką ochotę.

Innym razem powiedziałbym jej, by poczekała przynajmniej do czasu, gdy dowiemy się, kim są owe damy. Nie miałem jednak czasu do namysłu, obie panie zaatakowały mnie zbyt nagle. Muszę też wyznać, że uroda Millarki, której twarz, tak skończenie piękna i subtelna, miała w sobie coś ujmującego, jej wytworność i czar obejścia znamionujące wysoki ród podbiły mnie całkowicie; poddałem się i zbyt pochopnie podjąłem się opieki nad młodą damą o dziwnym imieniu.

Hrabina skinęła na córkę; ta ze skupioną uwagą wysłuchiwała zwięzłych wyjaśnień o nagłym i niespodziewanym wezwaniu i o krokach, które matka podjęła, powierzając ją mej opiece. Hrabina dodała przy tym, że jestem jednym z jej najstarszych i najwierniejszych przyjaciół.

Ja naturalnie wygłosiłem słowa, jakich zdawała się ode mnie żądać sytuacja, by dopiero po chwili spostrzec, że znalazłem się w położeniu wysoce dla siebie kłopotliwym.

Mężczyzna w czerni powrócił i z honorami wyprowadził starszą damę z salonu, jakby chcąc dać do zrozumienia, iż hrabina była osobą znaczniejszą, niż mógłby na to wskazywać jej skromny tytuł.

Ostatnim życzeniem damy było, abym do czasu jej powrotu nie starał się dowiedzieć niczego ponad to, czego sam mogłem się domyślić. Dostojny gospodarz, u którego gościliśmy, miał znać powody owego incognito.

– Ale ani ja, ani moja córka nie możemy tu pozostać bezpiecznie dłużej niż jeden dzień. Przed godziną, nieostrożna, zdjęłam na chwilę maskę. Wydało mi się, że pan mnie dostrzegł. Postanowiłam zatem znaleźć sposobność do rozmowy z panem. Jeśli istotnie okazałoby się, iż pan mnie poznał, odwołałabym się do pańskiego honoru, prosząc o zachowanie przez kilka tygodni tajemnicy. Skoro tak się nie stało, cieszę się wielce; gdyby jednak domyślał się pan czy też po pewnym czasie powziął podejrzenie, kim jestem, również w pełni polegam na pańskim honorze. Moja córka także zachowa tajemnicę, przekonana zaś jestem, że pan przypomni jej o niej, gdyby bezmyślnie miała się zdradzić.

Szepnęła córce kilka słów, dwa razy pospiesznie ją ucałowała i odprowadzona przez mężczyznę w czerni odeszła, ginąc w tłumie.

– Z okna sąsiedniego pokoju – rzekła Millarca – widać drzwi wejściowe; chciałabym jeszcze raz zobaczyć mamę i przesłać jej na pożegnanie pocałunek.

Oczywiście podeszliśmy wszyscy do okna. Na podjeździe ujrzeliśmy wytworny staroświecki powóz; otaczała go grupa jeźdźców i służba. Dojrzeliśmy szczupłą postać mężczyzny w czerni; trzymał na ręku aksamitny płaszcz, który zarzucił damie na ramiona, otulając jej głowę kapturem. Skinęła głową i lekko ucisnęła mu dłoń. Drzwiczki zatrzasnęły się, powóz ruszył, mężczyzna pozostał w głębokim ukłonie.

– Odjechała – rzekła Millarca z westchnieniem.

„Odjechała” – powtórzyłem w myśli. Od chwili, gdy wyraziłem swą zgodę, wydarzenia bieły tak szybko, że teraz dopiero zacząłem dostrzegać, jak była ona nierozważna.

– Nie spojrziała w górę – rzekła młoda dama z żalem w głosie.

– Hrabina zdjęła na pewno maskę i nie chciała ukazać swej twarzy – odparłem. – Zresztą nie mogła wiedzieć, że będzie pani stać w oknie.

Westchnęła i zwróciła ku mnie wzrok. Była tak piękna, że wszystkie wahania ustąpiły. Było mi przykro, że przez moment pożałowałem swej gościnności. Postanowiłem wynagrodzić jej nie wypowiedzianą wprawdzie, ale przecież niewątpliwą rezerwę, z jaką udzieliłem jej gościny.

Młoda dama nałożyła maskę i dziewczęta zaczęły namawiać mnie, byśmy udali się na dół, gdzie niebawem znów miał się rozpocząć koncert. Zeszliśmy zatem i spacerowali po tarasie pod oknami zamku.

Millarca czuła się w naszym towarzystwie swobodnie. Zabawiała nas opowiadając żywo i z humorem anegdoty i historyjki dotyczące wielu wybitnych osobistości, które spotykaliśmy na tarasie. Z każdą minutą coraz bardziej ją lubiłem. Jej pozbawione złośliwości ploteczki ciekawiły mnie niezmiernie, jako że przez długi czas nie bywałem w wielkim świecie. Pomyślałem, ile radości wniesie ona w nasze samotne czasami wieczory w domu.

Bal trwał jeszcze, gdy poranne słońce ukazało się już niemal nad horyzontem. Arcyksiążę lubił bawić się do rana, my, lojalni poddani, nie mogliśmy więc pożegnać się czy choćby pomyśleć o spoczynku.

Przechodziliśmy przez zatłoczoną salę, kiedy Berta nagle zapytała o swą nową przyjaciółkę. Ja myślałem, że była z nią, ona zaś sądziła, że jest ze mną. Tak czy inaczej, oboje straciliśmy ją z oczu.

Na próżno starałem się ją odnaleźć. Obawiałem się, iż odłączywszy od nas na chwilę, wzięła za swych nowych przyjaciół jakichś nieznanym, podążyła za nimi i tak zgubiliśmy się na rozległym terenie, jaki gospodarz przeznaczył dla zabawy gości.

Z całą mocą uświadomiłem sobie teraz ponownie nierozważny krok, jakim była zgoda na opiekę nad młodą damą, której jedynie imię było mi znane. Spętany obietnicą, której sensu nie znałem, nie mogłem nawet ułatwić sobie poszukiwań, wypyując o córkę hrabiny, która przed kilkoma godzinami odjechała.

Nastał poranek. Słońce stało już wysoko na niebie, gdy na koniec zaprzestałem poszukiwań. Pierwsza wiadomość o zaginionej dotarła do nas dopiero po południu.

Około drugiej służący zapukał do drzwi Berty mówiąc, że młoda dama zdradzająca oznaki wielkiego niepokoju dopytuje się usilnie, gdzie może znaleźć generała barona Spielsdorfa i jego córkę, których opiece matka powierzyła ją ubiegłej nocy.

Oczywistym było, mimo drobnej nieścisłości w tytule, że to nasza nowa znajoma odnalazła się. W rzeczy samej tak było. Gdybyż niebiosa pozwoliły jej się być wówczas zagubić!

Opowiedziała mej biednej dziewczynie historię mającą wyjaśnić, dlaczego tak długo nie mogła nas odszukać. Zrozpaczona, chcąc nas za wszelką cenę odnaleźć, zabłądziła i dostała się do sypialni jednej ze służących, gdzie zasnęła głębokim snem, który, choć długi, jeszcze nie przywrócił jej pełni sił po zmęczeniu bale.

Tegoż dnia Millarca pojechała z nami do domu. Pomimo wszystko byłem więcej niż rad, że moja ukochana Berta pozyskała tak uroczą towarzyszkę.

Wkrótce jednak wyszło na jaw, że istnieją też pewne podstawy do niepokoju. Przede wszystkim Millarca skarżyła się na niezwykle, utrzymujące się po przebytej chorobie osłabienie, skutkiem którego nigdy nie opuszczała swego pokoju wcześniej niż późnym popołudniem. Odkryliśmy też przypadkiem, choć zawsze zamykała drzwi na klucz od środka i nie wyjmowała go do chwili, gdy wpuszczała dziewczynę pomagającą jej przy toalecie, że

czasami, wczesnym rankiem czy też w ciągu dnia, zanim zeszła na dół, nie było jej w pokoju. Kilkakrotnie widziano ją z okien zamku, jak o szarym świcie szła wśród drzew ku wschodowi, jakby w transie. Doszedłem do przekonania, że była lunaticzką. Hipoteza ta jednak nie rozwiązywała całkowicie zagadki. W jaki sposób wychodziła z pokoju, zostawiając drzwi zamknięte na klucz od środka? Jak mogła się wydostawać na dwór, nie otwierając drzwi ani okien?

Gdy tak gubiłem się w domysłach, pojawiło się nowe, znacznie poważniejsze zmartwienie.

Ukochane moje dziecko zaczęło zapadać na zdrowiu, a wygląd jej uległ tak tajemniczym, a niepokojącym zmianom, że byłem doprawdy przerażony.

Zrazu męczyły ją koszmarnie sny; z czasem zdawać się jej zaczęło, iż nawiedza ją upiór przybierający już to postać Millarki, już to jakiegoś krążącego wokół nóg łóżka potwornego zwierzęcia, którego kształtów nie mogła wyraźnie dostrzec. Potem pojawiły się wrażenia cielesne. Jedno z nich, osobliwe, choć wcale przyjemne, przypominało lodowaty dreszcz przebiegający pierś. Wspominała też, że czuła, jakby dwie wielkie igły wbijały jej się z piekącym bólem w szyję, tuż poniżej krtani. Po upływie kilku nocy wystąpiły objawy narastającej duszności, na koniec zaś straciła przytomność.

Jechaliśmy przez niską, miękką trawę zarastającą z obu stron drogę wiodącą do zrujnowanej, od pół roku wymarłej wioski. Każde słowo starego, pocziwego generała dobiegało mnie wyraźnie.

Możecie sobie wyobrazić, jak dziwnie się czułam, rozpoznając moje własne symptomy w opisie przeżyć biednej dziewczyny, która, gdyby nie tragiczna katastrofa, byłaby właśnie teraz naszym gościem. Zrozumiecie też pewnie, jak czuć się musiałam słysząc, że generał opisuje ze szczegółami obyczajnie nie kogo innego, tylko naszego pięknego gościa – Carmilli!

Las skończył się; niespodziewanie znaleźliśmy się wśród kominów i nagich krokwi opuszczonej wioski. Nad nami zdawały się zwiisać blanki i wieże zrujnowanego zamczyska w otoczeniu ogromnych drzew.

Wysiadłam z powozu porażona strachem, niczym we śnie. W milczeniu – bowiem zbyt wiele myśli kłębiło się w duszy każdego z nas – wspięliśmy się na szczyt wzgórza, by znaleźć się wśród rozległych komnat, mrocznych korytarzy i krętych schodów starego zamczyska.

– A więc to była kiedyś dumna rezydencja Karnsteinów! – odezwał się w końcu generał, spoglądając z wielkiego okna na wioskę i sfalowane w oddali rozległe lasy. – Zły to był ród i tu właśnie pisane były jego krwawe dzieje – ciągnął dalej. – I nawet po śmierci prześladowają żywych swymi okrutnymi żądzami! A tam oto jest kaplica Karnsteinów.

Wskazał na szare mury gotyckiej budowli przeświecającej poprzez listowie nieco poniżej szczytu wzniesienia.

– Słyszę siekierę drwala wśród otaczających ją drzew – dodał. – Może on będzie nam pomocny w poszukiwaniach i wskaże grób Mircalli, hrabianki Karnstein. Ci wieśniacy długo przechowują legendy o wielkich rodach, których pamięć wśród bogatych i utytułowanych ginie z chwilą, gdy ród wymiera.

– W naszym domu zachował się portret Mircalli. Zapewne zechce go pan zobaczyć, generale? – zapytał ojciec.

– Przyjdzie i na to czas, drogi przyjacielu. Jak sądzę, miałem możliwość oglądać oryginał. Natomiast celem mego wcześniejszego, niż zamierzałem, do was przybycia było zbadanie kaplicy, ku której właśnie zdążamy.

– Jakże to, widział pan hrabiankę Mircallę? – wykrzyknął ojciec. – Wszak ona od stu lat przeszło spoczywa w grobie.

– O ile mogę przypuszczać – odparł generał – nie tak znów zupełnie.

– Wyznać muszę, że mnie pan zadziwia – rzekł ojciec, spoglądając na starca z tą samą podejrzliwością, którą już raz dostrzegłam. Lecz choć z zachowania generała przebijał gniew i

nienawiść, nic nie wskazywało, by umysł jego był zmacony.

– Jednego tylko pragnąłbym dokonać – odezwał się, gdy przechodziliśmy pod masywnym łukiem gotyckiej, sądząc po rozmiarach, kaplicy – w ciągu tych niewielu lat, które pozostały mi jeszcze na ziemi. Chcę wyrzucić na niej zemstę, czego, Bogu dzięki, może dokonać ramię śmiertelnika.

– O jakiej zemście pan mówi? – zapytał ojciec z rosnącym zdumieniem.

– Chcę ściąć głowę potwora – odparł generał gwałtownie. Twarz nabiegła mu krwią, nogą uderzył wściekle w posadzkę, budząc wśród ruin głuche echo, a zaciśniętą dłoń podniósł do góry, jakby chwycił rękojeść topora i potrząsał nim gwałtownie w powietrzu.

– Cóż to znaczy? – wykrzyknął ojciec, całkiem już oszołomiony.

– Utnę jej głowę!

– Głowę?

– Tak! Toporem, łopata czy czymkolwiek, co przeciąć zdoła jej mordercze gardło. Zobacz pan – dodał, dygocząc z gniewu. Po czym podchodząc ku mnie, rzekł:

– Ta belka posłużyć może za ławkę. Córka pana jest zmęczona, niechaj usiądzie, a ja w paru słowach dokończę mej ponurej opowieści.

Kwadratowy pień leżący na zarosłej trawą posadzce kaplicy w rzeczy samej przypominał ławkę. Usiadłam na nim z ulgą. Generał zawezwał drwala ścinającego gałęzie oplatające stare mury. Po chwili barczysty starzec z toporem w ręku stanął obok nas.

Okazało się, że sam niewiele potrafił powiedzieć o ruinach. O dwie mile jednak – jak mówił – mieszka u księdza pewien staruszek, niegdyś gajowy w tych lasach, który zna każdą cegłę w zamku Karnsteinów. Jeśli pożyczymy mu konia, gotów jest, za skromną opłatą, sprowadzić go tu w pół godziny.

– Od jak dawna tu pracujesz? – zapytał ojciec starego drwala.

– Jestem tutejszy – odparł stary swą gwarą. – Od małego pracuję w tych lasach, tak jak ojciec, dziad i wszyscy moi przodkowie, jak daleko sięga ludzka pamięć. Mogę pokazać panu stary dom we wsi, gdzie z dawien dawna moja rodzina mieszkała.

– Dlaczego wieś została opuszczona? – zapytał generał.

– Przez upiory, panie. Kilka, z nich wytropiono w grobach i postąpiono, jak zwyczaj każe, ścinając im głowę i paląc. Ale zanim to się stało, wielu mieszkańców wsi pomarło.

I mimo że zgodnie z prawem otwarto tyle grobów i tyle wampirów pozbawiono ich straszliwej mocy, wieś w dalszym ciągu nie zaznała spokoju.

Jednakże pewien szlachcic z Moraw, który przypadkiem zawędrował w te strony, a był, jak wielu jego rodaków, obeznany z takimi sprawami, posłyszał o wszystkim i ofiarował się uwolnić wieś od prześladowcy. A uczynił tak:

W jasną księżycową noc wyszedł zaraz po zachodzie słońca na kościelną wieżę, skąd wyraźnie mógł widzieć cały cmentarz (i państwo mogą go zobaczyć z tego okna). W pewnej chwili ujrzał, jak z jednego grobu wyłania się wampir, odchodzi na bok, składa lniane grobowe szaty i rusza ku wsi, na zgubę jej mieszkańców.

Widząc to, cudzoziemiec opuścił swą kryjówkę, zszedł na dół i zabrał te szaty ze sobą na wieżę. Gdy wampir powrócił ze swej krwiożerczej wyprawy i nie znalazł grobowego giezła, wykrzyknął wściekle do Morawianina, którego dostrzegł na szczycie wieży. Ten w odpowiedzi skinął na potwora, zachęcając go do wyjścia na górę i zabrania swych szat. Wampir posłuchał i zaczął się wspinać na wieżę, a gdy dotarł do korony muru, cudzoziemiec cięciem miecza rozplatał mu czaszkę na dwoje, po czym zrzucił potwora na dół, gdzie i sam zbiegł zaraz kręconymi schodami, by całkowicie odciąć mu głowę. Następnego dnia głowę i ciało oddał wieśniakom, którzy przebili je jak należy, kołkiem, a następnie spalili.

Szlachcic ów uzyskał także od ówczesnej głowy rodu zgodę na usunięcie grobowca hrabianki Mircalli, co też zrobił, tak że wkrótce potem nawet jego miejsce zostało całkiem zapomniane.

– A czy ty mógłbyś nam wskazać, gdzie był ten grób? – zapytał generał z przejęciem.

– Nie, bo dziś nikt już tego nie pamięta. Zresztą powiadają, że ciało jej gdzieś przeniesiono, ale i tego nikt nie jest pewien. – To rzekłszy, zostawił topór i odszedł, by wyruszyć w drogę, my zaś mogliśmy wysłuchać dalszego ciągu dziwnej opowieści generała.

– Moja ukochana Berta – podjął – z dnia na dzień słabła. Medyk, który się nią opiekował, nie potrafił w najmniejszym stopniu powstrzymać postępu choroby; miałem ją wówczas za chorą. Świadom mego niepokoju zaproponował konsylium. Zawezwałem bardziej doświadczonego lekarza z Grazu. Nim do nas przybył, minęło kilka dni. Był to dobry, pobożny i wielce uczony człowiek. Po zbadaniu mego dziecka udali się obaj do biblioteki na naradę. Z sąsiedniej komnaty, gdzie oczekiwałem jej wyniku, słyszałem podniesione głosy; ton ich w niczym nie przypominał naukowej dysputy. Zapukałem do drzwi i wszedłem. Stary lekarz z Grazu bronił jakiejś teorii, którą jego młodszy kolega bezlitośnie wyszydzał, raz po raz wybuchając śmiechem. Gdy wszedłem, spór nagle się urwał.

– Panie – rzekł młodszy medyk – mój uczony kolega zdaje się sądzić, że potrzeba panu nie tyle znawcy medycyny, co magii.

– Przepraszam kolegę – odparł stary lekarz z Grazu z niezadowoleniem – mój punkt widzenia pozwolę sobie przedstawić osobiście innym razem. Żałuję, panie generale, ale moja wiedza i umiejętności nie mogą się tu na nic przydać. Nim jednak odjadę, pozwolę sobie coś panu doradzić.

Zamyślony usiadł przy stole i zaczął pisać. Skinąłem głową, nie ukrywając rozczarowania; gdy wychodziłem, drugi medyk wskazał przez ramię na swego kolegę i wzruszając ramionami wyraziście postukał się palcem w czoło.

Tak więc i konsylium nie przyniosło żadnego rozwiązania. Pełen rozpaczliwej rozterki, wyszedłem na dwór. Po dziesięciu czy piętnastu minutach lekarz z Grazu znalazł się przy mnie. Przepraszając, że mnie w ten sposób niepokoi, rzekł, iż żadną miarą nie mógłby z czystym sumieniem wyjechać, nie zamieniwszy ze mną kilku słów. Jego zdaniem nie może tu być mowy o pomyłce, bowiem żadna z normalnych chorób nie ma takich właśnie objawów, a śmierć jest już bliska. Pozostał jeszcze jeden, najwyżej dwa dni życia. Jeśliby jednak udało się od razu powstrzymać ostateczne uderzenie, staranna i umiejętna opieka mogłaby jeszcze, być może, przywrócić pacjentce siły. Ale wszystko wisi na włosku: jeszcze jeden atak w każdej chwili zgasić może ostatnią isierkę życia.

– O jakim uderzeniu pan mówi? – zapytałem.

– Wyjaśniłem wszystko dokładnie w moim piśmie, które składam w pańskie ręce – z tym jednak zastrzeżeniem, by posłał pan po najbliższego duchownego i przeczytał list dopiero w jego obecności. Pod żadnym pozorem nie wolno panu zrobić tego wcześniej, w takim bowiem razie mógłby pan zlekceważyć moje słowa, a jest to sprawa życia lub śmierci. Tylko w przypadku gdyby ksiądz nie mógł się zjawić, może pan przeczytać list sam.

Na koniec zapytał mnie, czy nie zechciałbym poznać kogoś wielce biegłego w sprawach, które, gdy ten list przeczytam, i mnie zapewne najżywiej zainteresują. Nalegał, bym człowieka tego koniecznie tutaj sprowadził, i z tymi słowy odjechał.

Księdza nie było, przeczytałem więc list sam. W innych okolicznościach pobudziłby mnie on tylko do śmiechu. Czyż są jednak sposoby, których nie chwyciłby się człowiek, gdy życie najukochańszej istoty jest w niebezpieczeństwie, a wszystkie uznane środki zawiodły?

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej absurdalnego – powiecie zapewne – niż ów list uczonego lekarza. Były w nim rzeczy tak monstrualne, że mogły tylko kwalifikować autora do domu obłąkanych. Twierdził on mianowicie, że pacjentkę nawiedza wampir! Nakłucia, które znalazł na jej szyi, były, jego zdaniem, śladem dwóch długich ostrych i cienkich zębów właściwych, jak powszechnie wiadomo, wampirom. Wyraźnie też występuje – pisał – niewielka sina plamka, jaką wszyscy zgodnie uważają za ślad warg potwora. Nadto każdy z symptomów opisanych przez pacjentkę zgadza się ściśle z tym, co zanotowano w innych tego rodzaju

przypadkach.

Dla mnie, nie wierzącego w żadne zjawy sceptyka, nadprzyrodzona teoria pocziwego doktora stanowiła jeden jeszcze przykład osobliwego połączenia wiedzy i inteligencji z niewątpliwymi halucynacjami. Byłem jednak tak zrozpaczony, że nie mając innego wyboru, zastosowałem się do poleceń listu.

Ukryłem się w ciemnej garderobie przylegającej do pokoju chorej, w którym paliła się świeca, i obserwowałem ją aż do momentu, gdy głęboko zasnęła. Stałem przy drzwiach, patrząc przez niewielką szparę. Obok na stole, w myśl zaleceń listu, położyłem szpadę. Tuż po godzinie pierwszej ujrzałem duże czarne stworzenie o niewyraźnych kształtach czające się, jak mi się zdawało, koło nóg łóżka. Nagle stworzenie to znalazło się u gardła biednej dziewczyny, gdzie w jednej chwili rozrosło się w ogromną, drgającą masę.

Przez kilka sekund stałem jak skamieniały. Zaraz jednak skoczyłem naprzód ze szpadą w dłoni. Czarny stwór momentalnie się skurczył, ześliznął na ziemię i nagle, o metr niespełna od łóżka, ujrzałem patrzącą we mnie wzrokiem, w którym czaiło się okrucieństwo i przerażenie... Millarkę. Nie namyślając się, natarłem na nią ze szpadą. W tej chwili jednak ujrzałem ją koło drzwi, nawet nie draśniętą. Przerażony, uderzyłem znów. Znikła! Moja szpada zaś, uderzając w drzwi, rozpadła się na kawałki.

Nie zdołałem tu opisać wszystkich zdarzeń owej straszliwej nocy. Cały dom zerwał się na nogi. Millarca, upiór, zniknęła, ofiara jej jednak gasła w oczach; nad ranem nie żyła już.

Stary generał był niezmiernie wzburzony. Zapadło milczenie, którego nikt nie przerywał. Ojciec oddalił się nieco, odczytując napisy na kamieniach nagrobnych, i zniknął w drzwiach prowadzących do bocznej kaplicy. Generał oparł się o ścianę, otarł łzy z oczu i ciężko westchnął. Poczułam ulgę, słysząc zbliżające się ku nam głosy Carmilli i madame. Naraz jednak głosy te ucichły.

Grozą przejmowało pustkowie, mrok rzucany przez gąszcz gałęzi oplatający grube mury, gdzie przed chwilą przebrzmiewały słowa przedziwnej historii związanej ze znakomitego rodu zmarłymi, których pokryte pyłem i bluszczem groby leżały wokół nas, grozę też budziła historia, której każdy szczegół tak złowieszczo wiązał się z moją własną tajemniczą sprawą. Pomyślałam z lękiem o tym, że może towarzyszki moje nie nadejdą i nie przerwą tej smutnej i złowieszczej sceny.

Stary generał stał pochylony, ze wzrokiem utkwionym w ziemię, wspierając się dłońmi o cokół jednego z grobowców.

W pewnej chwili pod wąskim, ostrołukowo sklepionym portalem, zwieńczonym jedną z owych maszkar będących ulubionym motywem gotyckiej dekoracji rzeźbiarskiej, ujrzałam z radością piękną twarz i postać Carmilli, która ukazała się na progu ciemnej kaplicy.

Już miałam powstać i powitać ją, odpowiadając skinieniem głowy i uśmiechem na jej ujmujący uśmiech, gdy stary generał z krzykiem porwał topór drwala i skoczył ku niej. Gdy go spostrzegła, twarz jej zmieniła się przerażająco. Była to zmiana natychmiastowa i straszna. Skulona, odskoczyła w tył. Zanim zdołałam krzyknąć, generał uderzył z całej siły. Uchyliła się jednak przed ciosem i nie draśnięta nawet, drobną dłonią chwyciła go za rękę. Szamotał się przez chwilę, chcąc się wyswobodzić, jednak dłoń jego otworzyła się i topór upadł na ziemię. Carmilla zniknęła.

Starzec zatoczył się na ścianę. Jego siwe włosy były zjeżone, a po twarzy spływał mu pot, jakby nadeszła dlań chwila śmierci.

Cała ta scena rozegrała się w mgnieniu oka. W chwilę potem stała obok mnie madame, raz po raz powtarzając pytanie: – Gdzie jest panna Carmilla?

– Nie wiem. – odparłam wreszcie. – Nic nie wiem. – Przed minutą czy dwoma widziałam, jak wchodziła tędy – wskazałam dłonią drzwi, którymi weszła madame.

– Przecież stałam w tym przejściu od chwili, gdy tylko panna Carmilla weszła. Nie wychodziła tędy na pewno.

– Nazywała siebie Carmilla? – zapytał generał, wciąż wzburzony.

– Tak, to jej imię – odparłam.

– Aha – rzekł – toż to nikt inny, tylko Millarca! Ta sama, która dawno temu nosiła imię Mircalla, hrabianka Karnstein. Opuść czym prędzej to przekłete miejsce, drogie dziecko! Jedź do księdza i czekaj tam do naszego powrotu. Nie zwlekaj! Obyś już nigdy Carmilli nie ujrzała; tu w każdym razie nie odnajdziesz jej na pewno.

Gdy to mówił, tym samym wejściem, w którym pojawiła się i znikła Carmilla, wszedł do kaplicy przedziwnie wyglądający człowiek. Był to wysoki mężczyzna, w okularach w złotej oprawie, przygarbiony, o zapadniętej piersi i wystających ramionach. Odziany był na czarno. Twarz miał ciemną, poraną głębokimi zmarszczkami. Spod osobliwego kształtu kapelusza z szerokim rondem wymykały się długie, siwe włosy spadające na ramiona. Szedł wolno, dziwnie powłócząc nogami, a na twarzy, którą już to wznosił w niebo, już to nisko pochylał, igrał wieczny uśmiech. Dłońmi w czarnych, najwyraźniej za dużych rękawiczkach, wykonywał dziwne gesty świadczące o krańcowym roztargnieniu.

– To on! – wykrzyknął generał, spiesząc ku przybyszowi z nie ukrywaną radością. – Jakże się cieszę, drogi baronie; nie sądziłem, że zobaczę pana tak prędko.

Skinął na ojca, który właśnie przyłączył się do nas i doprowadziwszy przedziwnego starszego pana, którego nazywał baronem, dokonał oficjalnej prezentacji; trzej panowie natychmiast wdali się w ożywioną rozmowę. Nieznajomy wyciągnął z kieszeni zwój papieru i rozłożył go na zatartej płycie stojącego w pobliżu nagrobka. W ręku trzymał pudełko z ołówkami i znaczył nimi niewidzialne linie na papierze, który, jak się domyślam – widząc, że panowie raz po raz odrywają od niego wzrok i wpatrują się w określone punkty budowli – musiał zawierać plan kaplicy. Swoje wyjaśnienia uzupełniał on co jakiś czas odczytywaniem fragmentów z małej, zniszczonej książeczki o gęsto zapisanych żółtych kartkach.

Po jakimś czasie przeszli powoli, wciąż rozmawiając, do bocznej nawy, naprzeciw miejsca, gdzie stałam. Tu zaczęli odmierzać odległość krokami; na koniec zatrzymali się przy jednej ze ścian i wszyscy trzej jęli ją badać bardzo dokładnie, odsuwając bluszcz, odbijając tynk końcami lasek, opukując ją i oskrobując. Na koniec odkryli w murze dużą wmurowaną tablicę z wyrytymi na niej literami.

Z pomocą drwała, który właśnie nadszedł, oczyścili ją tak, że wyraźnie było widać epitafium i tarczę herbową. Był to z dawna zapomniany grobowiec Mircalli, hrabianki Karnstein.

Stary generał, choć nie był – jak się obawiam – w nastroju do modłów, uniósł wzrok i ręce w górę w niemym geście dziękczynienia.

– Jutro będzie tu komisarz – usłyszałam jego słowa – dla przeprowadzenia procesu zgodnie z prawem Świętej Inkwizycji.

I obracając się do mężczyzny w złotych okularach, uściskał go serdecznie mówiąc:

– Jak mam panu dziękować, baronie? Jakże wszyscy mamy panu dziękować? Dzięki panu ta okolica uwolni się od plagi prześladowającej mieszkańców od ponad stulecia. Nareszcie wytropiliśmy kryjówkę strasznego wroga.

Ojciec odprowadził obu panów na stronę. Nie chciał, widać, bym słyszała, jak opowiada im o moim wypadku; widziałam jednak, jak w trakcie rozmowy raz po raz rzucają w moją stronę ukradkowe spojrzenia.

Ojciec podszedł do mnie, uściskał mnie serdecznie i wyprowadzając z kaplicy, rzekł:

– Pora wracać, lecz zanim pojedziemy, musimy wstąpić do poczciwego księdza mieszkającego niedaleko stąd i namówić go, by pojechał z nami do zamku.

Czułam się nad wyraz znużona, toteż rada byłam niezmiernie, gdy w końcu, wioząc z sobą księdza, dotarliśmy do domu. Jednak radość moja zmieniła się w głęboki smutek, gdy dowiedziałam się, że nic tu nie wiadano o Carmilli. Nikt mi nie wytłumaczył znaczenia zajść, jakie rozegrały się w kaplicy. Ojciec najwyraźniej zdecydowany był sprawy te zachować przede

mną na razie w tajemnicy.

Złowróżbna nieobecność Carmilli sprawiała, że wspomnienie owych wydarzeń tym większą napelniało mnie grozą.

Przed udaniem się na spoczynek poczyniono niezwykle przygotowania. W pokoju moim przez całą noc miały czuwać dwie służące i madame. W przylegającej do mej sypialni garderobie pełnili straż ojciec i ksiądz.

Wieczorem ksiądz dokonał jakichś obrzędów. Nie pojmowałam ich znaczenia, tak samo jak nie mogłam zrozumieć powodów owych szczególnych środków ostrożności, jakie roztoczono nad moim snem.

Po kilku dniach rozumiałam wszystko dokładnie.

Wraz ze zniknięciem Carmilli moje nocne cierpienia ustały.

Słyszeliście niewątpliwie o przerażających przesądach rozpowszechnionych szeroko w Górnej i Dolnej Styrii, na Morawach, na Śląsku, w tureckiej Serbii, w Polsce, a nawet w Rosji. Mam tu na myśli przesadną wiarę w istnienie upiorów.

Jeśli świadectwa składane pod przysięgą przed niezliczonymi komisjami, złożonymi bez wyjątku z ludzi światłych i prawych, i utrwalone w szczególnie, jak na zwyczaje sądowe, drobiazgowych sprawozdaniach mają jakąkolwiek wartość, to trudno jest zaprzeczać istnieniu wampirów czy choćby w nie wątpić.

Żadna znana mi teoria, prócz tej właśnie, opartej na prastarych, przez licznych świadków potwierdzanych wierzeniach ludu, nie potrafi wyjaśnić tego, co przeżyłam i czego doświadczyłam.

Nazajutrz dopełniono w kaplicy Karnsteinów urzędowego aktu. Grobowiec hrabianki Mircalli został otwarty. Gdy generał i mój ojciec ujrzeli jej twarz, obaj rozpoznali w niej piękną i podstępną młodą dziewczynę, którą gościli. Choć od pogrzebu Mircalli minęło sto pięćdziesiąt lat, oblicze jej zachowało kolory życia. Leżała z otwartymi oczyma, z trumny nie wydobywał się trupi odór. Dwaj medycy, jeden urzędowy, drugi z ramienia generała, który wszczął dochodzenie, potwierdzili fakt niezwykle, a mianowicie, że wyczuć się dało słaby, niemniej wyraźny oddech i równie słabą, lecz wyraźną pracę serca. Członki zachowały swą giętkość, ciało było jędrne. Ołowiana trumna pełna była krwi, w której zwłoki zanurzone były na siedem cali. Wszystko to stanowiło dowody i oznaki wampiryzmu. Zgodnie ze starodawnym obyczajem wyjęto ciało z trumny i w serce wampira wbito ostro zaciosany kołek; w tym momencie dał się słyszeć przeszywający krzyk, jakby wydobył się z ust umierającego. Następnie została odcięta głowa; z szyi trysnął strumień krwi. I ciało, i głowa, umieszczone na stosie drewna, spalone zostały na popiół, ten zaś wrzucony do rzeki i uniesiony w dal.

Ojciec mój posiada kopię sprawozdania cesarsko-królewskiej komisji poświadczoną podpisami wszystkich uczestników urzędowej procedury. Z tego to właśnie dokumentu przytoczyłam opis ostatniej, wstrząsającej sceny.

Sądzić możecie, że opisuję to wszystko ze spokojem, całkowicie już opanowana. Niestety! Wciąż jeszcze nie potrafię o wydarzeniach tych myśleć bez wzburzenia. Jedyne usilne nalegania skłoniły mnie, by zasiąść do spisania tych wspomnień, które na długo zburzyły mój spokój, budząc na nowo cień nieopisanej grozy, co przez lata całe napelniała moje dnie i noce udreką tak straszną, iż chwile samotności zdawały się nie do zniesienia.

Kilka słów chciałabym jeszcze poświęcić owej osobliwej postaci, baronowi Vordenburg, którego informacjom zawdzięczamy odkrycie grobu hrabianki Mircalli.

Mieszkał on w Grazu, gdzie żyjąc w nędzy, z resztek fortuny, które pozostały po świetnych niegdyś posiadłościach tego rodzaju w Górnej Styrii, całkowicie poświęcił się skrupulatnym, mrówczo cierpliwym studiom nad wszystkim, co dotyczy tak doskonale poświadczonych przejawów wampiryzmu. Miał w ręku wszystkie wielkie dzieła i najdrobniejsze przyczynki poświęcone temu zagadnieniu: „Magia Posthuma”, „Phlegon de

Mirabilibus”, „Augustinus de Cura pro Mortuis”, „Philosophicae et Christianae Cogitationes de Vampiris” Johna Cristophera Herenberga i z tysiąc innych; pamiętam tylko tych kilka, które wypożyczył memu ojcu. Posiadał też obszerne wyciągi z akt sądowych, z których wydedukował prawa zdające się rządzić – już to zawsze, już to w określonych przypadkach – zachowaniem wampirów. Wspomnę tu przy okazji, że śmiertelna bladeść przypisywana upiorom to tylko melodramatyczne zmyślenie. Zarówno w grobie, jak i wśród ludzi mają one wszelkie pozory zdrowia i życia. Wydobyte z grobu, zdradzają te wszystkie oznaki, które posłużyły jako dowód, że dawno zmarła hrabianka Karnstein żyła nadal pod postacią wampira.

Nie wyjaśnioną dotąd zagadką pozostaje, w jaki sposób opuszczają one swe groby i powracają do nich co dzień na kilka godzin, nie poruszając ziemi i nie pozostawiając żadnych śladów na trumnie czy na obmurowaniu mogiły. Dwoista egzystencja wampira jest możliwa dzięki codziennej drzemce w grobie. Sił do życia wśród ludzi dostarcza mu straszliwa żądza ludzkiej krwi. Wampir potrafi czuć do kogoś gwałtowny pociąg przypominający miłosną namiętność. Jeśli dostęp do takiej osoby ma utrudniony, zdobywa się na niezwykłą cierpliwość i najbardziej wyszukane fortele. Nie spocznie, zanim nie zaspokoi swej żądzy i nie wyssie całego życia ze swej ofiary. Zdolny jest wtedy przedłużać swą morderczą rozkosz i delectować się nią niczym epikurejczyk, potęgując ją nadto wyszukanymi zalotami. W takich przypadkach zdaje się pożądać objawów sympatii i wzajemności. Zazwyczaj jednak zmierza wprost do celu, często natychmiast obezwładnia swą ofiarę, dusi ją i w jedną noc odbiera jej życie.

W pewnych sytuacjach wampir podlega, jak się zdaje, określonym ograniczeniom. W tym szczególnym przypadku, któremu poświęcona jest ta opowieść, Mircalla zmuszona była używać imienia, które, jeśli nawet nie było jej własnym imieniem, musiało się składać z tych samych liter. Zarówno *Carmilla*, jak *Millarca* były anagramami spełniającymi ten warunek.

Baron Vordenburg pozostał u nas przez dwa czy trzy tygodnie po zniknięciu Carmilli. Mój ojciec zapoznał go z historią morawskiego szlachcica i wampira z cmentarza Karnsteinów i zapytał, w jaki sposób udało mu się odkryć dokładne położenie tak długo ukrytego przed ludzkim okiem grobu hrabianki Mircalli. Na twarzy barona pojawił się tajemniczy uśmiech. Spuścił wzrok, przez chwilę bawił się futerałem swych okularów, po czym, podnosząc głowę, rzekł:

– Obszerne diariusze owego niezwykłego człowieka i inne należące doń papiery znajdują się obecnie w moim posiadaniu. Najciekawszym wśród nich jest dokument traktujący o wspomnianej przez pana podróży do posiadłości Karnsteinów. Ustne przekazy, rzecz oczywista, zmieniają i upiększają to i owo. Nazwano go szlachcicem z Moraw. W rzeczy samej tam się osiedlił, był też istotnie człowiekiem wysokiego rodu. W rzeczywistości pochodził jednak z Górnej Styrii. Dla naszej historii jest rzeczą ważną, że we wczesnej młodości kochał się on namiętnie i z wzajemnością w pięknej Mircalli, hrabiance Karnstein. Jej wczesna śmierć pogrzyżała go w nieopisanym żalu.

W naturze wampirów leży dążność do pomnażania swego rodu na ziemi, jednakowoż dziać się to musi wedle niewzruszonych szatańskich praw. Przyjmijmy, że istnieje okolica całkowicie wolna od tej plagi. W jaki sposób upiór pojawia się tam, jak się rozmnaża? Zaraz się dowiedziecie. Otóż ktoś, bardziej czy mniej grzeszny, kładzie kres swemu życiu. W pewnych okolicznościach samobójca staje się wampirem. Upiór taki nawiedza żywych ludzi we śnie. Ci umierają, a w grobach niemal zawsze zamieniają się w wampiry. Tak też stało się z piękną Mircallą, którą za życia nawiedzał jeden z owych straszliwych potworów. Mój przodek, po którym dziedziczył tytuł i nazwisko, wkrótce to odkrył, a dzięki studiom w tym przedmiocie, jakim oddał się całą duszą, dowiedział się jeszcze znacznie więcej.

Doszedł też do przekonania, że wcześniej czy później na zmarłą hrabiankę, którą tak za jej życia uwielbiał, padnie podejrzenie, iż jest wampirem. Choćby to było prawdą, myśl o profanacji jej szczątków przez ohydę pośmiertnej egzekucji była dlań nie do zniesienia. Pozostawił on osobliwy traktat, w którym dowodzi, iż jeśli dwoisty byt wampira zostanie

przecięty, jest on skazany na dalsze, znacznie bardziej przerażające życie. Postanowił uchronić przed tym swą ukochaną niegdyś Mircallę.

Użył zatem fortelu, przybywając rzekomo po to, by przenieść szczątki hrabianki w inne miejsce, a w rzeczy samej, by ukryć prawdziwe miejsce jej spoczynku. Gdy jednak zestarzał się i z perspektywy wielu lat spojrzął na padół, który przyjdzie mu opuścić, innymi oczyma ujrzał czyn, którego dokonał, i ogarnęła go groza. Własną ręką wykonał szkice i notatki, dzięki którym mogłem odszukać owo miejsce; spisał także wyznanie, w którym przyznaje się do popełnionego podstępu. Może nawet zamierzał podjąć jakieś dalsze kroki, ale przeszkodziła mu śmierć. Dopiero dłoń jego dalekiego potomka wskazała ślad prowadzący do legowiska bestii – niestety, dla wielu zbyt późno.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę.

– Jedną z oznak wampira – dodał baron – jest niebywała siła w ręku. Kiedy generał podniósł topór, by uderzyć, szczupła dłoń Mircalli jak stalowa obręcz zacisnęła się na jego rękę. Lecz nie tylko siła upióra jest straszna. Uścisk jego sprowadza odrętwienie, ustępujące bardzo wolno, a często pozostające na zawsze.

Wiosną ojciec zabrał mnie w podróż po Italii. Podróżowaliśmy ponad rok. Jednakowoż groza, którą wzbudziły we mnie opisane tu wypadki, nie ustąpiła szybko. Do dziś w mych wspomnieniach widzę dwie Carmille: raz piękną, wesołą i rozmarzoną, innym razem szatana z wykrzywioną grymasem twarzą, którego ujrzałam w drzwiach zrujnowanego kościoła.

I często wyrzywa mnie z zadumy wrażenie, iż słyszę jej lekkie kroki w drzwiach salonu.

Stefan Grabiński

W domu Sary

Już na ostatnim posiedzeniu w klubie zachowanie się i postawa Stosławskiego bardzo mi się nie podobały. Ten zwykle wesoły i otwarty człowiek zmienił się nie do poznania. W dyskusji nie brał prawie udziału lub też wygłaszał zdania bez związku z poruszonym tematem, budząc zdumienie obecnych; u kilku złośliwych zauważyłem nawet ironiczne spojrzenia, zwrócone w stronę mego niefortunnego druha. Usiłowałem bronić go, wiążąc gwałtem rzucone przezeń słowa z tokiem prowadzonej rozmowy – wtedy uśmiechnął się blade, jakby dziękując mi za ratunek, i do końca już milczał uparcie.

W ogóle sprawiał już wtedy nader przykre wrażenie. Nie tylko bowiem razła dziwna małowówność, tak sprzeczna z dawnym usposobieniem, lecz niepokoił też zagadkowy wygląd zewnętrzny. Zwykle wyświeżony, nawet przesadnie elegancki, przyszedł Stosławski tego wieczora w stroju zaniedbanym, niemal opuszczony. Twarz niegdyś zdrową, tryskającą młodym, bujnym życiem, oblekła chorobliwa bladość, oczy przesłoniła mgła zadumy, której bezwład i beztreściwość tworzyły bolesny kontrast ze szlachetną linią rysów.

Tknięty złym przeczuciem, zaprosiłem go po sesji do siebie i poddałem troskliwym oględzinom lekarskim. Nie opierał się, chociaż już była pora spóźniona, i pozwolił się zbadać cierpliwie. Oprócz znacznego wyczerpania nerwów i ogólnego osłabienia nie znalazłem nic podejrzanego. Zastanawiała tylko przyczyna.

– Ej, Kaziu! – zażartowałem, grożąc mu palcem – za dużo się bawisz! Kobiетки, co? Za wiele, mój kochany, za wiele! Musisz uważać więcej na siebie. Tak dalek iść nie może. Wyczerpiesz się wkrótce. A potem, co?

Potrąciłem o właściwą strunę.

– Kobiety – zauważył w zamyśleniu – kobiety... Dlaczego mówisz o wielu, nie o jednej?

– O ile cię znam, mój kochany – odparłem uśmiechnięty – żadnej dotąd nie udało się usidlić zepsutego ulubieńca płci pięknej. Czyżbyś się naprawdę tak gwałtownie zmienił? Trudno przypuścić, żebyś był zakochany.

– Użyłeś tylko niewłaściwego wyrażenia. Czy nie przypuszczasz poza miłością i chwilową żądzą innej ewentualności?

– O czym myślisz?

– O opętaniu płciowym. Rozumiesz mnie?

– Nie bardzo.

– Ależ to nader proste. Pewnego pięknego dnia spotykasz wyjątkową kobietę, uosobienie płci, i odtąd, od pierwszego z nią stosunku, nie możesz się z nią rozstać. Nienawidzisz jej, rad byś zrzucić kajdany, lecz wysiłki są nadaremne. Jesteś opętany jej płcią najzupełniej; cały widnokrąg myślowy zamyka się w wyłącznym kole jej ciała, jej kształtów, spojrzeń, dotknięć, obcowanie fizyczne z nią staje się formą bytu. Kobieta przeradza się w bożyszcze złe i nienawistne, lecz niemniej ponętne, któremu musisz ulegać bezwzględnie...

– To tylko wzmożony popęd płciowy samca, który znalazł swój typ.

– Mylisz się; to rodzaj trwałej sugestii hipnotycznej na jawie. Ja po prostu nie mogę myśleć o czym innym, tylko o niej i – co najohydniejsze – o jej płci i szczegółach z nią związanych. Czuję, że to mi jest narzucone wbrew mej woli i nawet popędowi; posiadałem kobiety piękniejsze i bardziej pociągające od niej, a przecież odchodziłem z lekkim sercem, zrywając bez wahania. Tutaj nie mam siły.

– Widocznie tamte nie odpowiadały wszystkim warunkom, jakie spełnić powinien twój ideał kobiety.

– I to mylnie. Zdaje mi się, nie – raczej wiem na pewno – że gdybym był nie wdawał się

z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi. Czy uwierzysz, że zaszedł tu z jej strony rodzaj uwiedzenia?

– Cha, cha! Tego już za wiele! Kazio Stosławski czystym Józefem! To mi rafinada seksualna, co się zowie!

– Nie, Władku! Nie chcesz mnie zrozumieć. Nie chciałem się do niej zbliżyć zanadto pod wpływem nieokreślonej jakiejś obawy. Miałem dziwne przeczucie.

– Lecz w końcu uległeś?

– Niestety. Nie mogłem odmówić. Zresztą kobieta piękna i wtedy wydała mi się w całym tego słowa znaczeniu *une femme charmante* *.

– Przystąpiłeś zatem do niej z zapalem nie większym niż do innych?

– Oczywiście. Spełniałem tylko namiętne jej życzenie, z pewną dozą sprzeciwu i obawy.

– No i... po pierwszym akcie oczarowała cię? Doznałeś zapewne nie znanych ci dotąd sensacji?

– I to nie. Wszystkie znam na pamięć. Nie jestem nowicjuszem i wyrefinowanie jest dla mnie rzeczą powszednią. Zachowywała się nawet spokojniej niż inne.

– Czymże więc opętała cię ta kobieta?

– Nie wiem, nie domyślam się nawet. Lecz zaraz po fatalnym zbliżeniu zrozumiałem, że opanowała mnie bezwzględnie, że stałem się igraszką w rękach demonicznej samicy. Wiedziała, że po pierwszym stosunku zostanę już jej ofiarą, której jej nikt nie wydrze. Wytworzył się między nami szczególnie związek, nieuchwytna a mocne pęta, oplątujące mnie coraz ciaśniej, coraz zwarciej.

– Nadużywa cię fizycznie? Jesteś bardzo wyczerpany...

– I na to się uskarżać zbyt nie mogę. Osłabia mię, czuję to doskonale, wysysa powoli, systematycznie, nieubłagane – lecz nie przez częste stosunki...

– Nie rozumiem...

– I ja też nie mogę pojąć, w jaki sposób. Lecz że ona właśnie jest powodem dziwnego stanu, w jakim mnie widzisz, nie ulega wątpliwości. Ta kobieta kradnie mi z zapamiętałością upiora wszystkie siły życiowe – czy pojmujesz, Władku? – Wchłania w siebie ze zjadliwym uporem moje życie, moje młode życie...

– Przestań bywać. Czy nie możesz zdobyć się na męską wolę?

– Nie mogę, nie mogę. Jestem bezsilny. Czy wiesz? Przeprowadziłem się do niej; mieszkamy wspólnie od dwóch lat w jej willi za miastem na Polance.

– Ach, teraz już rozumiem, dlaczego nie spotykano cię od pewnego czasu na ulicy, w kawiarniach, w teatrze. Czy ona zabrania ci wychodzić?

– Bynajmniej – sam nie mam do tego ochoty. Zrazu nie unikałem towarzystwa ludzi, z czasem zacząłem się ograniczać do sfery wyłącznego obcowania z nią. Nie odczuwam już teraz potrzeby wymiany myśli z ludźmi, z którymi nie mam nic wspólnego. Dziś przypadkiem tylko znalazłem się w klubie. Nic mnie teraz nie zajmuje, wszystko zobojętniało mi doszczętnie... Mój stosunek do świata staje się coraz luźniejszy! Idę w jakimś kierunku odśrodkowym, zawisłem jakby między niebem a ziemią. Dziś jeszcze zdaję sobie z tego sprawę, lecz kto wie, jak będzie potem...

Patrzyłem nań badawczo, z głębokim współczuciem.

– Źle z tobą, Kaziu – przerwałem po chwili zaległe milczenie – trzeba się leczyć. Masz rozstrojone nerwy. Może zupełnie niesłusznie posądzasz ją o ujemny wpływ; może zarody choroby tkwiły w tobie przed tą znajomością?

Potrząsnął przecząco głową:

– Nie, mam pełne przekonanie pod tym względem. Zauważyłem w sobie symptomy w rok po wspólnym pożyciu. Zresztą to nie jest rozstrój nerwowy. W tym tkwi coś zupełnie

* *une femme charmante* (franc.) – kobieta czarująca, zachwycająca.

innego, coś, o czym się nie śniło psychiatrom naszym.

– Być może. Lecz kto jest tym demonem, tym wampirem w kobiecej postaci? Czy możesz mi wymienić jej nazwisko?

– Nazywa się Sara Braga...

– Sara Braga... dziwne nazwisko! Czy to Żydówka? Imię przypomina *Stary Testament*.

– Nie. Podobno jest protestantką. Rodzina wymarła. Na podstawie jej skąpych informacji doszedłem do wniosku, że płynie w jej żyłach krew dawnych kortezów* Kastylii, zmieszana później z pierwiastkiem germańskim; przedstawia typ szczególnego skrzyżowania szczepów. W ogóle trudno mi było dowiedzieć się czegoś więcej, bo o sobie i swej przeszłości mówić nie lubi. Przed laty miała owdowieć. Kto był jej mężem, nie wiem; nosi nazwisko swojej rodziny.

– Czy wiek jej ci znany?

– Utrzymuje, że ma lat 30, chociaż na pierwszy rzut oka wygląda na młodszą. Orientacja w tym wypadku trudna i łatwo się pomylić. Nie używa żadnych sztucznych środków do podniesienia zewnętrznego wyglądu, owszem, ma żywiołowy wstręt do wszelkich kosmetyków i barwiczki. Żyjąc z nią tak blisko, wiem o tym wybornie... Czy uwierzysz, że krążą o niej i jej wieku dziwne pogłoski? Z kilku przypadkiem podchwyconych aluzji i półsłówek służby wywnioskowałem, że Sara jest znacznie starszą, niż się wydaje. Jest to pod każdym względem zagadkowa kobieta. Tajemnica rozsiadła się w jej domu, tajemnica ciemna i zła, jak jego mieszkanka.

Przesunął znużonym gestem ręką po czole:

– Zmęczyłeś mnie, Władku, zmuszając do skupienia uwagi. Mam szalony ból głowy. Żegnaj.

– Wybacz, lecz zrobiłem to z przyjaźni. Zatrwożył mię twój wygląd. Ból usunę z łatwością; zatrzymaj się tylko jeszcze przez chwilkę: uspię cię na 5 minut i usunę sugestią cierpienie. Czy zgadzasz się?

– No dobrze. Tylko nie zatrzymuj mnie już długo.

Przystąpiłem niezwłocznie do operacji. Mając wprawę w hipnotyzowaniu, za dwie minuty wprowadziłem go w stan głębokiego uspienia... Nagle przy poddawaniu sugestii przeciw bólowi głowy wpadłem na pewną myśl. Wiedząc, że trudno mi będzie w stanie normalnym namówić go do powtórnej wizyty u mnie lub w klubie, kazałem mu we śnie odwiedzić mnie za miesiąc o tej samej porze. Prędzej widzieć się z nim nie mogłem, gdyż w tym czasie byłem zajęty intensywną pracą i wyjeżdżałem często. Wydawszy oba rozkazy, wykonałem szybko kilka *passes contraires*** i Stosławski obudził się.

– No, jakże się czujesz? – zapytałem.

– Ból ustał zupełnie. Dziękuję ci. A teraz odchodzę. Żegnaj!

– Raczej: do widzenia! Kiedyż do mnie zagłędiesz?

– Nie wiem; może już nigdy. Nie mogę nic obiecywać.

Uściskał mi mocno rękę i odszedł.

Gdy umilkły już kroki gościa na korytarzu, wróciłem do salonu, w którym unosiły się jeszcze kłęby dymu ze spalonych przez nas papierosów, usiadłem przy kominku i machinalnie gładząc lśniąca sierść mego wiernego Astora, zapadłem w zamyślenie.

– Sara Braga! Sara Braga!... Z nazwiskiem tym już raz się w życiu spotkałem, chociaż osoby nie znam. Sara Braga... tak!... Teraz przypominam sobie jak przez mgłę; wyczytałem je w spisie pacjentów mego byłego mistrza, prof. neurologii, Fr. Żmudy, temu lat kilkanaście. Byłem wtedy jeszcze młodym adeptem medycyny. Kopię spisu na szczęście zachowałem; rejestr był mi potrzebny, bo zawierał obok nazwisk diagnozę i środki terapeutyczne chorób.

– Trzeba to odszukać i przeglądnać. Może się dowiem bliższych szczegółów.

* kortez (hiszp.) – dworak.

** *passes contraires* (franc.) – ruchy sprzeczne, zmierzające do przebudzenia osoby zahipnotyzowanej.

Otworzyłem szafkę biblioteczną i zacząłem przerzucać gruby foliał. Szedłem latami wstecz, nie bardzo dowierzając pamięci. Nagle pod datą z miesiąca lipca i następnych r. 1875 odczytałem:

Sara Braga, zamieszkała w willi „Tofana” na Polance, ur. w r. 1830, lat 45 – organizm wyjątkowo odporny na przemiany wieku – skłonności psychopatyczne na tle seksualnym – objawy psychicznego sadyzmu.

Następowały skróty dotyczące terapii i wskazanych zabiegów.

– A zatem dziś miałyby lat mniej więcej 80! Fenomenalne! Nie do uwierzenia!... Stosławski utrzymuje, że młoda i piękna! Chyba to kto inny? Lecz adres mieszkania zgadza się przedziwnie. Willa „Tofana” na Polance, tj. w podmiejskiej dzielnicy, rodzaju stołecznego letniska – to brzmi dziwnie! Lecz w jakim związku pozostaje to wszystko z chorobą Kazia? To, co mówił, zbyt było niejasne i podmiotowe, by móc wyciągać jakiegokolwiek wnioski. Pozostawmy sprawę czasowi.

Jakoż obowiązki zawodowe zmusiły mnie nazajutrz do natychmiastowego wyjazdu. Natłok zajęć i wytężona praca tak mię pochłonęły, że niemal zapomniałem o historii Stosławskiego.

Dopiero po całomiesięcznej nieobecności, wróciwszy do miasta, przypomniałem sobie, że nazajutrz przypada termin pohnotyycznego spełnienia mego rozkazu. I rzeczywiście koło godz. czwartej po południu wszedł do mego salonu automatycznym krokiem Stosławski.

Kazałem mu usiąść, uspiłem ponownie i pochwaliwszy za sumienne wywiązanie się z zadania, obudziłem go.

Oprzytomniawszy, ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, nie mogąc pojąć, skąd się wziął u mnie. Gdy mu wyjaśniłem sytuację, trochę uspokoił się, lecz z twarzy biła niechęć i niezadowolenie.

Przez ten jeden miesiąc przemiany, zauważone przeze mnie ostatnim razem, poczyniły zatrważające postępy: widocznie posuwał się z fatalną szybkością w tajemniczym kierunku.

Zagałem naprędce rozmowę umyślnie o rzeczach błahych, dalekich od jego wyjątkowego stanu, ani słowem nie zaczepiając o stosunek z Sarą. Odpowiadał apatycznie, z wysiłkiem, często rwąc wątek rozmowy wtrętami bez sensu, bez zewnętrznych spoiw.

Niebawem spostrzegłem, że nie orientuje się w rzeczywistości i zatracił niemal zupełnie poczucie czasu i przestrzeni. Perspektywa, brylowatość chwil i rzeczy przestała istnieć: wszystko leżało na jednej idealnej płaszczyźnie. Zdarzenia ubiegłe przybrały dramatyczną formę chwili bieżącej, zagadkowe jutro wtargnęło jasnym, oczywistym szlakiem w bezpośrednią obecność jako coś zupełnie równorzędnego. Zaginęła bezpowrotnie plastyka rzeczy, ustępując miejsca jakiejś paradoksalnej jednoplanowości.

Blade jak płótno, bez kropli krwi oblicze wyzierało na świat jak maska obojętna na jego sprawy, których złożoność jakby znikła pod naporem tajemnych uproszczeń. Podniesiona w górę alabastrowej białości, prawie przezrzysta ręka czyniła gest wiecznego trwania, niby symbol treści niezmiennej od prawiaków bytu...

Stał się bezwładny, poruszał się powoli, leniwo, jak we śnie. Obojętnie pozwalał mi się badać. Wystawiłem go pod działanie promieni Rentgena: światło przeszło szybko, natrafiając na anormalnie zmniejszony opór. Wyniki przekraczały rozmiarami dotychczas znane doświadczenia: organizm uległ przerażającej redukcji; w układzie kostnym widoczne były objawy atrofii, poznikały całe rzesze tkanek, zmarniały całe gniazda komórek. Był lekki jak dziecko; żelazne palce wagi wskazywały na podziałce śmiesznie małą liczbę. Ten człowiek niktą w oczach!

Chciałem go zatrzymać u siebie i o ile by to w ogóle było jeszcze możliwe, przeszkodzić zupełnemu zniszczeniu. Zdawało się, że jego bierność ułatwi mi zadanie i że nie stawi mi oporu. Lecz pomyliłem się. Po dwugodzinnej rozmowie nagle jak automat powstał, zabierając się do wyjścia. Pędziło go do domu, do willi „Tofana”. Zdaje się, że po zniknięciu wszelkich interesów

życiowych pozostał tylko ten żywiołowy, niczym nie wstrzymany pęd ku niej, ku Sarze, ku której ciążył całą swą marniejącą osobowością. Trudno się było sprzeciwić.

Czułem, że jeśli go nie wypuszczę, stanie się coś złego: w oczach jego zapalały się już i gasły ognie niebezpiecznej, nerwowej siły.

Postanowiłem więc odwiedzić go dorożką na miejsce.

Polanka leżała w dość znacznej odległości od środka miasta i dopiero po półgodzinnej jeździe stanęliśmy u celu.

Pomogłem mu wysiąść i odprowadziłem na marmurowe schody, wiodące do willi. U drzwi wchodowych oszklonej werandy przez chwilę zatrzymałem się niepewny, czy wejść z nim do środka, czy zawrócić. Ogarnęła mnie nagle nieprzemierzalna chęć poznania tej kobiety. Lecz nie śmiałem iść dalej. Stosławskim oczywiście nie krępowałem się zupełnie – zdawał się nie uważać zresztą na moją obecność – lecz zachowanie się lokaja, który wybiegł na spotkanie, działało hamująco. Starannie wygolony, we wzorowym fraku fagas powitał wprawdzie mego towarzysza głębokim ukłonem, lecz na twarzy jego igrał uśmiech lekceważącej ironii; na mnie patrzył jak na intruza, którego należy bezzwłocznie wyprosić.

Już chciałem wracać do oczekującego mnie fiakra, gdy wtem aksamitna kotara, oddzielająca werandę od wnętrza domu, rozsunęła się i na jej oranżowym tle wynurzyła się z głębi postać kobiety.

Nazwać ją piękną, znaczyło uchwycić jej powierzchowność z zasadniczo fałszywego punktu patrzenia. Była raczej demonicznie, szatańsko ponętną. Te rysy nieregularne, mięsiste szerokie wargi i nos silnie rozwinięty nie dawały wrażenia piękna – a jednak twarz o oślepiająco białej, matowej cerze, tym mocniej kontrastująca z płomiennym spojrzeniem czarnych, zionących zarem oczu, przykuwała z nieopisaną siłą. Miała w sobie coś z prostoty żywiołu, który pewny swej władzy gardzi akcesoriami.

Nad przezystym, cudnie sklepionym czołem rozchylały się łagodnymi falami metalicznie lśniącej, kručze włosy, spięte u szczytu królewskiej głowy srebrnym naczółkiem. Ciemnozielona, lekko wycięta suknia z adamaszku spływała gładko wzdłuż wyniosłej postaci, uwydatniając wyborną linię torsu i gibkich, dziewiczo zwartych bioder.

Wzrąłem się wzrokiem w jej czarujące, piekielne oczy, skupiając w spojrzeniu całą siłę woli. Odpowiedziała, parując atak. Tak zmagaliśmy się przez chwilę. Wtem spostrzegłem na jej twarzy jakby wahanie, niepewność, obawę; drgnęła niespokojnie. Wtedy, składając głęboki ukłon, rzekłem ujawszy rękę Stosławskiego:

– Odprowadzam zbiega, polecając go troskliwej opiece łaskawej pani.

I wymieniłem swoje nazwisko.

Sara oddała ukłon skinieniem głowy i odsuwając kotarę, poprosiła do wnętrza; przy tym zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na Stosławskiego, który jak zahipnotyzowany nie spuszczał z niej wzroku. Przykro było nań patrzeć. Jakaś bezwzględna, psia pokora wyglądała mu z oczu, utkwionych w nią bez przerwy, jakieś wiernopoddańcze posłuszeństwo. Na dźwięk jej głosu rzucił się cały ku niej, jakby szukając oparcia, opieki; kobieta uśmiechnęła się pół pogardliwie, pół łaskawie i wstrzymując go niedbałym ruchem ręki, wydała polecenie słudze, obojętnemu świadkowi tej sceny:

– Odprowadzisz pana do sypialni; jest znużony, musi odpocząć.

Sługa w milczeniu ujął go pod ramię i niemal wlokąc za sobą, znikł w bocznych drzwiach.

Wszedłem za Sarą do salonu.

Był stylowy. Wysoko sklepiony, o dumnie rozpiętych posowach, cały obity był miękką, jedwabną materią koloru *terra cotta*. Okien nie było; salon rozświetlał masywny pająk zwisający ze środka stropu.

W przedniej części, niemal puste, stały pod ścianami dwa rzędy krzeseł z perłową inkrustacją na grzbietach i poręczach. Z nisz pomiędzy nimi wychylały się egzotyczne krzewy w dużych srebrnych urnach.

Na dalszym planie, w głębi, wznosiło się kilku stopniami podium zasłane suknem o soczystej barwie cynobru. Stół na środku estrady z wazą kwiatów okrywała ciężka, przetykana wisiorami berylu kapa. Parę taburetów, wschodnia otomana i smukłe, palisandrowe pianino wypełniały resztę przestrzeni.

Tylną ścianę tworzyła zasłona podobna do kotary u wejścia, zamykając falistym murem ślepe wnętrze.

Stąpałem cicho, wkurzając się w puszyste futra kobierców rozesłanych na posadzce. Pani wprowadziła mnie na podium i wskazawszy jedno z krzeseł, sama opuściła się niedbale na otomanę.

Usiadłem w milczeniu. Po chwili Sara wyciągnęła rękę w kierunku małego stolika po pudro z papierosami. Spostrzegłszy, że sprzęt stoi trochę za daleko, przystawiłem go do sofy, po czym podałem płonąca zapalną.

– Dziękuję.

Zaciągnęła się dymem.

– Pan nie pali?

– Owszem.

Wyjąłem z sąsiedniej przegródki cygaro i wypuszczając w górę fioletowy kłęb, zauważyłem z uznaniem:

– Bajeczne!

– Nudny pan jesteś. Czy w podobny sposób zabawiasz zawsze kobiety?

– To zależy od ich pokroju. Z panią np. trudno mi rozmawiać; łatwo można wpaść w fałszywy ton. Muszę się oswoić.

Sara popatrzyła mi w oczy, usiłując nadać spojrzeniu wyraz jedwabistej miękkości. W tym momencie spostrzegłem w jej rysach uderzające podobieństwo do Stosławskiego. Kobieta zauważyła zdumienie:

– Cóż to panu? Wyglądasz na odkrywcę w chwili genialnego wynalazku.

– Istotnie, odkryłem rzecz szczególną.

Podniosła się drwiąco:

– Proszę, coś takiego?... Czy wolno wiedzieć?

– Pani jest dziwnie podobna do Kazia.

Twarz Sary zadrgała:

– Przywidzenie.

– Nie, proszę pani. Jestem dość dobrym fizjognomistą. Zresztą można to wytłumaczyć: życie państwo ze sobą od dłuższego czasu... Współzycie tak bliskie upodabnia.

– Hm... czy to pańska teoria?

– Nie, łaskawa pani – teorię tę, zresztą nie nową, dokładniej roztrząsał przed paru laty dr Fr. Żmuda.

Przypisując rzekomą teorię Żmudzie, kłamałem, chcąc tylko wprowadzić to nazwisko do rozmowy.

– Fr. Żmuda? – zapytała ciekawie. – Pan może jego uczniem?

– Bynajmniej – wyparłem się energicznie. – Nie znam go nawet. Czytałem tylko jego rozprawkę w miesięczniku medycznym.

– Ach, tak...

– Czy to pani znajomy?

– Tak. Przed rokiem, cierpiąc na lekki rozstrój nerwowy, byłam czas jakiś jego pacjentką. Bardzo miły człowiek.

Więc to ta sama – pomyślałem – tylko że kurację odbyła znacznie dawniej, bo jeszcze przed 35 laty, tj. w r. 1875. A zatem ta kwitnąca urokiem młodości kobieta miałaby dziś lat 80! Paradoksalne! Niebywałe! A jednak tak być musi; notatki Żmudy i moja pamięć usuwają wątpliwości.

Patrzyłem na Sarę z nieokreślonym lękiem.

– Czemuż pan tak nagle spoważniał? Myślałby kto, że się czegoś obawiasz?

– Tym razem przywidziało się pani, i to naprawdę. Czegóż bym się miał obawiać? Przejęty tylko jestem wyjątkową jej pięknnością. Podobne kobiety spotyka się rzadko.

Uśmiechnęła się zadowolona.

– Szkaradny pochlebca!

Uderzyła mnie lekko ręką po ramieniu. Chociaż umiem nad sobą panować, mimowolnie zdrząłem pod tym dotknięciem, odchylając przy tym nieco głowę do góry. Wtedy wzrok mój padł na szereg portretów zawieszonych na lewej ścianie pokoju. Odłożyłem cygaro i podszedłem do obrazów.

Było ich dziesięć w dwóch szeregach równoległych; rząd górny obejmował pięć wizerunków Sary – pod nim umieszczono podobizny pięciu nie znanych mi mężczyzn. Od razu rzucały się w oczy dwa znamienne szczegóły. Na wszystkich portretach wyglądała Sara w jednym wieku, jak gdyby obrazy malowano w bliskich od siebie odstępach czasu. Mimo to na każdym wyraz twarzy był inny, i to – zadziwiająco podobny do rysów jednego z mężczyzn w szeregu dolnym; słowem, każda z pięciu podobizn Sary miała pod względem podobieństwa swój odpowiednik w wizerunkach mężczyzn.

Zajęty studiowaniem obrazów nie spostrzegłem jej niezadowolenia. Dopiero głos Sary, cierpki i zniecierpliwiony, przerwał mi obserwację:

– Skończże pan już raz tę rewię! Nic tam ciekawego – bohomazy.

– Przeciwnie – doskonale. Co za wyrazistość rysów! Łaskawa pani posiada twarz iście sfinksową: niby ciągle się zmienia, a zawsze ta sama. Lecz i głowy męskie przepyszne – same rasowe typy! Czy to kuzyni? Chyba nie? Zupełnie do siebie niepodobni – każda twarz inna.

– Znajomi – odpowiedziała oschle. – Proszę wrócić; tu – bliżej do mnie – dodała cieplej i wskazała mi miejsce obok siebie na sofie.

Usiadłem zajęty wciąż tajemnicą męskich twarzy, z których każda przypominała żywo Sarę, chociaż między sobą nie miały punktów stykowych.

Widząc me zamyślenie, starała się usilnie rozproszyć zadumę konwersacją. Wkrótce wpadliśmy na ulubiony u kobiet temat i zaczęliśmy rozmawiać o miłości. Sara od razu wzięła ton namiętny, z predylekcją poruszając wypadki krańcowe graniczące ze zwyrodnieniem. Zdradzała niebywałą znajomość wszelkich subtelności płciowych, w których perwersja szła o lepsze z lubieżą. A wszystko umiała podać w formie wytwornej, przedziwnie stylizowanej i ponętnej; chciała widocznie oczarować mnie nie tylko fizyczną urodą, lecz i bogactwem ewentualności erotycznych, jakie w niej tkwiły.

Zrozumiawszy wyraźny zamiar, miałem się na baczności. Jakiś niepojęty strach odpychał mnie od tej kobiety i nakazywał ostrożność. Mimo to, by jej nie zrazić chłodem, udawałem podrażnienie, odpowiadając palącym wzrokiem na spojrzenia jej piekielnych oczu.

Koło dziesiątej wieczorem pożegnałem się, przyrzekając rychłą wizytę.

Nie nastąpiła jednak tak prędko, jak myślałem.

Zawezwany telegraficznie do F., odległego o dwa dni drogi, pojechałem nazajutrz na czas dłuższy, by dopiero w trzy tygodnie potem jawić się ponownie w willi „Tofana”. Na spotkanie wybiegła Sara wśród oznak żywej radości. Gdy spytałem o Stosławskiego, zachmurzyła się i wruszając lekceważąco ramionami, odparła:

– Nieciekawo.

Pokrywając oburzenie, jakim przejął mnie bezmierny jej egoizm, wyraziłem życzenie zobaczenia się z nim. Przystąpiła niechętnie dopiero na usilne nalegania:

– Nie mogę panu odmówić; lecz musi pan wejść do sypialni, bo stamtąd już się nie rusza.

I wprowadziła mnie przez salon do zacisznej, z wyrafinowaną miękkością urządzonej komnaty.

Widok Stosławskiego zrobił na mnie przerażające wrażenie. Stał przy oknie wpatrzony

bezmądrze w szybę, prawą ręką przebijając we frędzlach portiery. Nie poznał mnie, może nawet nie spostrzegł.

Na twarzy błąkał się nijaki uśmiech, zwiotczałe, białe jak papier usta poruszały się słabo, składając jakieś wyrazy: coś szeptał. Zbliżyłem się, nasłuchując. Szept był cichy, ledwo dosłyszalny. Lecz ucho mam bystre i pochwyciłem słowa. Było ich parę tylko i powtarzały się bez przerwy jak w automacie: same bezwstydnym, cynicznie pieszczotliwe słowa...

Było w tym coś tak ohydnych i potwornego zarazem, że zadrżawszy, cofnąłem się do pierwszej sali.

Tutaj już nie było ratunku. Człowiek ten był stracony.

Zdenerwowany okropnym obrazem, mimo próśb Sary, wróciłem zaraz do siebie.

Przyszło silne postanowienie. W możliwość ocalenia Stosławskiego zważyłem zupełnie; stan, w jaki popadł, przybrał formy zbyt wybujałe, by marzyć o drodze powrotnej. Pozostawała tylko zemsta – spokojna, rozważna, planowa – bo w walce z nie było jakim przeciwnikiem.

Należało uzbroić się w bezwzględny chłód i odporność na szatańskie wdzięki tej kobiety, której destrukcyjna władza prawdopodobnie rozpoczynała się dopiero z chwilą dopełnienia aktu płciowego. W uszach dźwięczały mi wciąż lekceważone zrazu słowa nieszczęśliwego:

– Zdaje mi się, że gdybym był nie wdawał się z nią w bliższy stosunek, nie uległbym obecnemu stanowi.

Jakąkolwiek rolę odegrał w tej sprawie wpływ Sary, należało strzec się. W każdym razie spostrzegłem, że odczuwa ku mnie niedwuznaczny pociąg, i kto wie, czy już w myśli nie wybrała sobie mnie na następcę. Postanowiłem z tego skorzystać, pozornie przystając na ewentualne propozycje. Lecz należało czekać; było jeszcze za wcześnie.

Tymczasem bywałem u niej często, odwiedzając w każdej wolnej chwili. Lecz od ostatniej sceny w sypialni ani razu nie pozwoliła mi widzieć chorego, snadź obawiając się podejrzeń, które by mogły mnie zniechęcić. Ustępowałem, poprzestając na zabawie w salonie i wspólnej lekturze. Tak upływały dni i tygodnie, w ciągu których obserwowałem coraz silniej skłaniającą się ku mnie namiętność Sary. Lecz ani razu nie pozwoliłem przekroczyć granicy określonej towarzyską formą, potęgując tym jeszcze jej wyuzdaną lubieżność. Moja powściągliwość irytowała, podżegając ogień. Z wolna stawałem się panem sytuacji...

Pewnego wieczoru przyjechałem nieco później, bo już około dziewiętej, by spędzić chwilę parę przy wspólnej kolacji.

Czas był pogodny, czerwcowy. Przez otwarte okno jadalni wnącał się łagodny wietrzyk wieczorny, lekko wydymając koronki firanek. Z parku wsączały się do wnętrza aromaty kwiatów, płynął zapach przekwitających jaśminów. Z alei klonów szły skargi słowików, czasem zabłąkał się cichy poświerk zasypiających świerszczy.

Siedziałem wyciągnięty w fotelu, popijając kawę. Sara grała na pianinie zawrotny taniec derwiszów. Patrzyłem na ruchy jej rąk gwałtowne, fanatyczne, jak dobywały tony gorące szaleń, dyszące krwią, pijane. Była piękną w tej chwili... Błądą jej twarz powlókł ciemny rumieniec, oczy miały błyskawice, krągła, cudnie sklepiona pierś poruszała przyspieszonym oddechem zwoje białego peniuaru niby falę pian.

Nagle wśród największego zapamiętania, gdy wsłuchany w grę, upajałem się skwarem egzotycznej muzyki, przyszła jak grom myśl o Stosławskim.

Gdzie on teraz, co robi? Może wciśnięty w kąt przyległego pokoju uśmiecha się jak wtedy? A może gra Sary zgalwanizowała na chwilę i ten łachman człowieczy? A wtedy? Jakaż bezdeń rozpacz skowyczeć musi w tych resztkach człowieczych!

Jak podrzycony zerwałem się z miejsca i kładąc rękę na klawiaturze, krzyknąłem:

– Dosyć! Chcę widzieć Stosławskiego! Natychmiast!

Sara zaskoczona zniecka wyprostowała się dumnie, mierzając mnie spokojnie oczyma:

– Nie zobaczy go pan.

– Muszę! Rozumie pani – muszę! Dzisiaj, zaraz! W przeciwnym razie...

Lecz nie dokończyłem groźby, bo w tymże momencie szatę Sary zalał szkarłatny odblask, że stanęła przede mną jakby w płomieniach.

– Co to? – zawołaliśmy równocześnie, zapominając o wszystkim.

Oczy nasze skierowane bezwiednie w okno dojrzały spoza szczytów drzew parkowych krwawą łunę pożaru. Z dali dolatywał już stłumiony przed chwilą przez muzykę gwar zmieszanych głosów i krzyków.

Do jadalni wpadła wybladła służba:

– Jasna pani, Polanka pali się! Dom gajowego koło pałacu cały w ogniu!

Sara pytająco zwróciła się ku mnie.

– Proszę wsiąść do mego powozu, który czeka przed bramą – zdecydowałem szybko.

– A pan?

– Zaraz przyjdę – proszę poczekać w karetce – pojedziemy razem – muszę ocalić portret pani z salonu, ten ostatni, najlepszy...

Wyprowadziłem ją i poleciwszy służącemu, by pomógł wsiąść do pojazdu, sam zawróciłem do willi. Chodziło mi nie o portret, lecz o Stosławskiego. Nie mogłem go zostawić na pastwę płomieni.

Wyważyłem gwałtownie drzwi od sypialni i wpadłem do środka, wołając:

– Kaziu! Kazik! To ja! Gore! Ruszaj stąd! Uciekajmy!

Odpowiedziało milczenie. W sypialni było ciemno, nie widziałem nic. Może zasnął?

Namacalem ręką guzik elektryczny i przekręciłem. Błysk światła spłynął się z okrzykiem grozy wydanym z mej piersi.

Na krześle wysuniętym na środek pokoju ujrzałem galaretowatą postać ludzką kształtem i konturami twarzy przypominającą Stosławskiego. Był przejrzysty na wylot; widziałem poprzez niego rysujące się wyraźnie sprzęty pokoju...

Nie dowierając wzrokowi, dotknąłem go: ręka natrafiła na coś ustępliwego jak gęsta ciecz. Cofnąłem szybko dłoń; z palców moich ześliznęła się jakaś lepka, kleista treść jak żelatyna i ściekła leniwo na podłogę.

Nagle postać zawahała się, śluzowaty kształt zachybotał w dziwnej rozchwiei i rozpadł się na części. Z przezroczystej masy poczęły wysnuwać się pojedyncze pasma niby mgławicowe pierścienie, które uniosłszy się w górę, bujały czas pewien i szeptały nie wiadomo jak w przestrzeni. Po paru minutach nie zostało nic – krzesło było puste: Stosławski rozwiązał się bez śladu...

Ze zjezonym włosem wybiegłem z willi i dopadłszy powozu, kazałem ruszać co tchu.

Jechaliśmy w milczeniu oświetleni łuną szalejącego pożaru. Sara o nic nie pytała, ja też nie miałem ochoty do zwierzeń.

Po przybyciu do miasta umieściłem ją w jednym z hoteli, a sam spędziłem noc u siebie.

Nazajutrz z dzienników dowiedziałem się, że pożar szczęśliwie ugaszono i willa ocalała.

Pospieszyłem z wiadomością do Sary, która natychmiast postanowiła wracać. Odwiozłem ją do pałacyku, by odtąd zamieszkać z nią wspólnie; było to jej gorącym życzeniem. Przystałem bez wahania. O Stosławskim nie mówiliśmy, jak gdyby nie istniał. Rozpoczęła się druga faza mej znajomości z tą dziwną kobietą...

Od taktyki dotychczasowej nie odstępiałem ani na krok. Chociaż żyliśmy obok siebie w codziennej styczności, stosunek nie przybrał form małżeńskich. Dowodów bezpośrednich na zabójczy wpływ, jaki mogło wywierać płciowe obcowanie z Sarą, wprawdzie nie miałem, lecz instynkt ostrzegał mnie przed zbytnią zażyłością. Grałem tedy rolę przyjaciela, idealnego opiekuna i doradcy, unikając starannie spółki cielesnej.

Sarę widocznie upór mój rozdrażniał, wzmagając chęć przełamania go. Używała tysiąca środków i półśrodków, na jakie tylko może zdobyć się kobieta ponętna, by przewyciężyć moją odporność.

I przyznać muszę, że przeżywałem nieraz chwile szalonej pokusy – lecz obraz

Stosławskiego, okropna wizja jego ostatniej, szczątkowej formy ziemskiego bytowania tam, w tej przepysznej sypialni, mroziła mnie za najlżejszym wspomnieniem, ścinając w łód zapędy krwi.

Moja dziwna powściągliwość zrazu gniewała ją: pierwsze miesiące nienaturalnego współżycia były pasmem gwałtownych scen. Pytany o powód, zwałam wszystko na karb platonicznego uczucia, jakie rzekomo we mnie obudziła.

– Zbyt wysoko cię cenię, Saro – odpowiadałem zwykle na jej namiętne wybuchy – by odważyć się na użycie fizyczne twego ciała. Umieściłem cię na zbyt górnym piedestale, by móc sięgnąć ręką po ciebie. Nie chcę brukać swego ideału.

Wtedy wyszydzała mnie, nazywając zwyrodniałym idealistą lub jeszcze mniej pochlebnymi epitetami. Znosiłem obelgi z zimną krwią, czekając, jak sprawa rozwinie się później.

Tak minął rok. O ile zrazu Sara żywiła nadzieję zwycięstwa, powoli pewność opuszczała ją. Bezskuteczność coraz silniejszych ataków snadź zbijała z tropu – zaczęła patrzeć na mnie ze zdumieniem i – rzecz zastanawiająca – z rodzajem przerażenia. Ten strach odkrył mi pobudki jej postępowania. Po czasie nabrałem przekonania, że chęć pożycia małżeńskiego ze mną nie wypłynęła wyłącznie z popędu, lecz miała znacznie głębsze źródła – była dla niej prawdopodobnie kwestią bytu. Fatalnym stało się dla niej, że uległa momentowi pociągu fizycznego ku mojej osobie – fatalnym dla kobiety, która przywykła do zwycięstw, której dotąd nie oparł się żaden mężczyzna. Z chwilą zadzierżgnięcia sieci na osobniku płci przeciwnej wytwarzał się dla niej zapewne specjalny stosunek, który nosił w sobie zarody niebezpieczeństwa dla stron obu: zależało to tylko od zachowania się mężczyzny. Jeśli uległ i przystał na akt seksualny, Sara miała go w ręku na zawsze. Lecz jeśliby zachował rezerwę, sprawa mogła przybrać obrót groźny dla tej wyjątkowej kobiety. Zdaje się, że w tym wypadku nie mogła przejść spokojnie w ramiona drugiego, nie mogła swobodnie rozpiąć ponownych wników na kogo innego – dopóki nie rzuciła pod swoje stopy opornego wybrańca.

Dotąd życie jej było zwycięskim pochodem, bezwzględny triumfem poskromicielki.

Lecz nadeszła chwila odwetu, a ja byłem jego narzędziem. Sara Braga nie mogła zerwać ze mną, nie mogła oddalić mnie mimo daremnych wysiłków.

A siły moje rosły z dniem każdym przez odpór i wzmagalem się w mocy przez nieugiętą wolę. Po roku znikły niemal zupełnie pogróżki i szyderstwa, by przejść w pokorę i prośbę. Sara Braga, dumna, królewska Sara zaczęła błagać i łasić się u nóg moich. Bo chodziło o jej piękność, urodę, bo chodziło o jej demoniczną młodość, może i o coś więcej jeszcze: może szło o życie.

Po roku naszego wspólnego pożycia Sara zaczęła widocznie starzeć się. Pewnego dnia zauważyłem w jej kruczonych włosach zdradzieckie srebrne linie, a w kątach ust krzyżową sieć zmarszczek. Wyniosła postać traciła powoli dawną elastyczność, pierś przestała prężyć się gibką falą. Sara wędła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem.

Wiedziała o zaszłej zmianie – każde lustro pouczało o tym wiernie – a luster było tyle w willi!

I wtedy, ku niewymownej radości, rozpacz ujrzałem – piekielną rozpacz dużych, czarnych, ognistych oczu.

Owoc zemsty dojrzywał, dościgał z cicha, niespostrzeżenie. Siły moje zwielokrotniły się, potężnym spięciem jakby skupiły się we mnie. Czulem tajemniczą pomoc wkoło siebie, stałem się jakimś magnetycznym ośrodkiem, który przyciągał, wsysał z peryferii ukryte energie drzemiące w tym domu: nie byłem sam w willi. Zaczęły się rozwijać zagadkowe objawy, występowały coraz śmielej jakieś dotąd uwięzione prądy, rodziły się jakieś moce.

Lecz czulem, że były mi przyjazne, że stały po mojej stronie. I ona je spostrzegła – ze zgrozą, z bezgraniczną grozą dopadniętej zwierzyny, i zwróciła się do mnie po schron, po opiekę.

Naiwna! Jakby nie wiedziała, że to ja właśnie je wyswobodziłem.

Odtąd nie chciała sypiać sama, z lękiem wyczekując wieczornych godzin. W domu przez całą noc paliły się światła i jasno było w willi jak w dzień. Ani na chwilę nie rozstawała się ze mną w obawie przed samotnością, w zabobonnym strachu przed czymś okropnym. A gdy usnęła na parę godzin znużona czuwaniem, miewała marzenia straszliwe, bo przez sen nieraz słyszałem jej cichy, stłumiony jęk.

Raz porwawszy się z łóżka, w bieliźnie, z rozpuszczonymi włosami, przypadła do mnie z obłąkańczym przerażeniem i przytuliła zakrytą dłońmi twarz do mojej piersi.

– Co tobie? Przyśniło ci się co? – zapytałem, sam zdjęty dreszczem trwogi.

– Boję się – wyszeptała, drżąc jak listek – boję się. Tylko nie odchódź ode mnie! Umarłabym w tym domu ze strachu.

Gdyby nie mój stanowczy upór, byłaby opuściła pałacyk i przeniosła się gdzie indziej. Lecz przeprowadziłem swą wolę: musiała pozostać.

Wreszcie strach, rozpacz i szal bezsilnej wściekłości dosięgły punktu zwrotnego. Pewnej nocy, opętana dławiącą zmorą, z oczyma wychodzącymi z orbit, porwała się w koszuli z łóżka i stanęła nade mną, dysząc ciężko. Z ust jej wyszedł zziąjany, świszczący szept:

– Bierz mnie, ty kacie jeden! Bierz lub... zginiesz!

W podniesionej ręce błysnęło zimno ostrze weneckiego puginału.

Uderzyłem ją wzrokiem: ramię sparaliżowane opadło bezwładnie, sztylet wyslizgnął się ze zeszywniałych palców.

– Cha! cha! cha! – zaśmiałem się, siadając w fotelu, na którym po raz ostatni ujrzałem znikającą postać Stosławskiego.

– Cha, cha, cha! I na to, jak widzisz, byłem przygotowany. Chciałaś wiedzieć tyle razy, dlaczego gardzę twym ciałem, dlaczego nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. W odpowiedzi przeczytam ci coś ze starych, świętych ksiąg. No, możesz teraz już usiąść tam naprzeciw – tylko nie ponawiaj próby! Byłaby równie zbyteczną. Czy chcesz posłuchać?

Z rezygnacją dobijanej ofiary obsunęła się na dywan.

Wydobyłem z szafki *Stary Testament*. Księgę tę ostatnimi czasy studiowałem z zapalem, zatapiając się w jej przedziwne tajniki, upojony poezją słowa i głębią treści. Otworzyłem Księgę Trzecią Królewską i głosem spokojnym, przejęty ważnością chwili, odczytałem z rozdziału pierwszego następujący urywek:

...A król Dawid zestarzał się był i miał wiele dni wieku: a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się.

Rzekli mu tedy słudzy jego: „Poszukajmy królowi, panu naszemu, młodej panienki, niech stoi przed królem i okrywa go i śpi na łonie jego a zagrzewa króla, pana naszego”.

A tak szukali panienki pięknej we wszystkich granicach izraelskich i naleźli Abizag Sunamitkę i przywiedli ją do króla.

A była panienka bardzo piękna i sypiała z królem i służyła mu...

Przerwałem, podnosząc oczy na Sarę.

Wyminęła spojrzenie.

– Cóż? Rozumiesz?

Wzruszyła nerwowo ramionami:

– Cóż mnie to obchodzi? W jakim związku pozostaje ten fragment z nami?

– Nie kłam, Saro! Ty rozumiesz wszystko. Ten sędziwy egoista – to twój praojciec i mistrz.

– Mówisz jak szaleniec – odparła, zacinając z pasją wargi.

– Kłamiesz, Saro! Lecz posłuchaj innych wyjątków z Księgi Tobiasza, rozdziałów 3. i 6.

Te wyjaśnią sytuację zupełnie.

– Z Księgi Tobiasza? – wyjąkała jak przez sen.

– Tak, z dziejów Tobiasza i Sary; dziwnym zrzędzeniem przypadku jesteś współmiennicą

tej szatańskiej kobiety...

[...] Tegoż tedy dnia przydało się, iż Sara córka Raguelowa w Rages, mieście Medskim, y ona usłyszała urąganie od iedney służebnicy oycy swego, bo była wydana za siedm mężów, a czart imieniem Asmodeusz pomordował je, skoro do niej weszli...

Przerzuciwszy kartkę, czytałem dalej z rozdziału 6:

I odpowiadając, Anioł rzekł:

– Jest tu imieniem Raguel mąż... a ten ma córkę... Sarę... Twoja ma być wszystka majątność jej i masz ją pojąć za żonę...

Odpowiedział tedy Tobiasz i rzekł: „Słyszę, że była wydana za siedmiu mężów, a pomarli; alem i to słyszał, że je czart zamordował... Otóż się boję, by snadź i mnie się to nie stało...”

Rzekł mu tedy Anioł Rafael: „Posłuchaj mnie a pokażęć, którzy to są, nad którymi czart przemoc może. Ci bowiem, którzy w małżeństwo tak wstępują, że Boga od siebie... wyrzucają, a swej lubości tak dosyć czynią, jako koń i muł, którzy rozumu nie mają... nad tymi czart ma moc...

Ale gdy ją ty pojdziesz, wszedłszy do łóżnicy, wstrzymujże się od niej przez 3 dni, a niczym się innym jedno modlitwami z nią nie będziesz zabawiał”.

Zamknąłem *Biblię* i spojrzałem na Sarę.

Nigdy nie zapomnę jej w owym tragicznym momencie. Rozpacz i wstyd, wściekłość, strach i ogromny, niepojęty ból wypelzły z otchłani tej demonicznej duszy, by zagrać po raz ostatni na twarzy zmąconym akordem dysonansów!

Jak pantera rzuciła się ku mnie z drapieźnie zakrzywionymi palcami:

– Ty łotrze podły! Podszedłeś mnie, zniszczyłeś, zdeptałeś i teraz jeszcze chcesz się pastwić nade mną!

Chwyciłem mocno zaciśniętą do ciosu pięść i rozbroiłem:

– Uspokój się, wiedźmo! Dziś to nasza noc ostatnia – jutro opuszczę ten dom na zawsze. Lecz nie spędzisz wraz ze mną tych paru godzin, których jeszcze nie dostaje do brzasku. Obmierzło mi twe towarzystwo. Ponieważ zachowujesz się jak megiera, zostawię cię samą tam w salonie. Chcę odpocząć tutaj sam nareszcie.

Opierającą się zawlokłem niemal przemocą wśród uporczywego szamotania się do skrzęcej topielą światła sali. Potem, zamknąwszy za nią drzwi, wróciłem do sypialni i z rozstrojonymi walką nerwami oparłem się ciężko o framugę okna, wpatrując się w kiry nocy...

Wtem rozpruł ciszę głuchy, okropny, rozdzierający krzyk kobiety. Był tak przeraźliwy, tak przejmujący, że mimo wszystko wtargnąłem z powrotem do salonu.

Tu było ciemno. Przed chwilą jeszcze pokój zalany potokami światła, teraz nurzał się w grubej poćmie nocy: pogasły nagle elektryczne lampiony, zmierzchły fantastyczne żyrandole. Krzyk ustał nagle i zapanowała głucha, duszna cisza.

Przejęty nieokreślonym lękiem, przyniosłem z sypialni płonąca lampę. Światło padło na estradę w głębi... Na stopniach ostatnich leżała na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami Sara. Z twarzy jej wykrzywionej okropnie uczuciem grozy patrzyły na mnie zeszkłone w bezruchu śmierci oczy: zginęła momentalnie pod wpływem jakiegoś nieludzkiego przerażenia.

Edward Frederic Benson

Pokój na wieży

Na pewno wiele osób spośród tych, które często miewają sny, doświadczyło na sobie chociaż raz, że wydarzenia czy sytuacje przeżyte kiedyś we śnie powtarzają się później w rzeczywistości. Według mnie nie ma w tym nic dziwnego: byłoby raczej dziwne, gdyby sny się nigdy nie spełniały, bo przecież dotyczą one osób i miejsc nam znanych, z którymi stykamy się na jawie, w świetle dnia. To prawda, że wątek snu bywa bardzo często zmacony jakąś absurdalną, fantastyczną okolicznością, jaka nie może się zdarzyć w realnym świecie, ale jest zupełnie prawdopodobne, że czasem, przypadkowo, sen się sprawdzi. Sam to przeżyłem niedawno i nie wydało mi się to czymś szczególnie zagadkowym ani nie do wyjaśnienia z punktu widzenia psychologii.

Otóż jeden z moich przyjaciół, mieszkający za granicą, pisywał do mnie dość często, mniej więcej raz na dwa tygodnie. Kiedy więc minęło czternaście dni, a ja nie otrzymałem od niego wiadomości, zacząłem mimo woli, świadomie czy podświadomie, oczekiwać listu. Którejś nocy przyśniło mi się, że idę na górę przebrać się do kolacji i będąc już na schodach słyszę znajome stukanie listonosza do drzwi frontowych. Wobec tego schodzę i wśród korespondencji znajduję list od przyjaciela. W tym miejscu pojawił się we śnie element fantastyki; po otwarciu koperty okazało się bowiem, że jest w niej asa karowy, na którym nabazgrano znanym mi charakterem pisma: „Posyłam ci to na przechowanie, bo jak wiesz, jest rzeczą niesłychanie ryzykowną trzymać takie asy* w Italii”. Tak mi się śniło, a następnego wieczoru, kiedy właśnie szedłem na górę, żeby się przebrać do kolacji, usłyszałem znajome stukanie listonosza do drzwi frontowych. Zachowałem się tak jak w moim śnie: zszedłem na dół i wśród innych listów znalazłem list od przyjaciela. Tylko że w tym liście nie było asa karowego! Gdyby był, zapewne nie uważałbym tego za zwykły zbieg okoliczności... Bez wątplenia to właśnie moje oczekiwanie na list zasugerowało mi ten sen, a z kolei mój przyjaciel myślał o tym, że powinien do mnie napisać.

Ale nie zawsze można tak łatwo znaleźć wyjaśnienie podobnych zjawisk, jak to było w tym przypadku. Właśnie chcę opowiedzieć historię, której nie potrafię sobie w ogóle wytłumaczyć: wyłoniła się z mroku i w mrok zapadła.

Przez całe życie należałem do ludzi, którzy bardzo często miewają sny; niewiele było takich nocy, kiedy po przebudzeniu mogłem zdecydowanie powiedzieć, że nic mi się nie śniło. Przeżywałem w snach rozmaite przygody, a nawet całe serie przygód, zazwyczaj dość banalnych, ale na ogół były to przygody pogodne i przyjemne – z jednym wyjątkiem, o którym chcę opowiedzieć.

Ten sen przyśnił mi się po raz pierwszy, kiedy miałem około szesnastu lat. Znalazłem się przed drzwiami dużego domu z czerwonej cegły; wiedziałem, że mam się w nim zatrzymać. Służący, który mi otworzył, powiedział, że herbatę podano w ogrodzie, i poprowadził mnie przez niski, wyłożony ciemną boazerią hall z dużym kominkiem. W ogrodzie pięknie utrzymany trawnik był obrzeżony rabatami kwiatów. Przy stoliku, nakrytym do herbaty, siedziało kilka osób, zupełnie mi nie znanych – oprócz jednej. Był to mój szkolny kolega, nazwiskiem Jack Stone i – jak się domyśliłem – syn gospodarzy, który przedstawił mnie matce, ojcu i dwóm siostram. Byłem trochę zdziwiony, dlaczego się tu znalazłem, bo nie łączyły mnie nigdy z tym kolegą bliższe stosunki i nawet go nie lubiłem, wiedząc o różnych jego sprawkach. Poza tym opuścił naszą szkołę rok przede mną.

Było duszne popołudnie, panował nieznosny upał. W miejscu, gdzie kończył się trawnik,

* gra słów. „Diamond” w języku angielskim oznacza zarówno asa karowego, jak brylant.

wznosił się mur z czerwonej cegły otaczający ogród, z żelazną bramą pośrodku. Na zewnątrz, za bramą, rósł orzech włoski. Siedzieliśmy w cieniu domu, naprzeciwko jego fasady o wysokich oknach, przez które mogłem dojrzeć zarysy nakrytego stołu i refleksy szkła i sreber. Frontowa ściana była długa i z jednej strony kończyła się trzypiętrową wieżą, która sprawiała na mnie wrażenie znacznie starszej niż reszta budynku.

Po krótkiej chwili pani Stone, która siedziała tak jak wszyscy w zupełnym milczeniu, powiedziała do mnie:

– Jack pokaże panu pański pokój. Przeznaczyłam dla pana pokój na wieży.

Nie wiadomo dlaczego na te słowa serce zabiło mi niespokojnie. Wydało mi się, że wiedziałem, iż będę zajmował pokój na wieży, i ogarnęło mnie przeczucie czegoś niedobrego... Jack wstał natychmiast i czułem, że powinienem pójść za nim. W milczeniu przeszliśmy przez hall, a potem po wielkich dębowych schodach, pełnych zakamarków, na podest trzeciego piętra wieży, gdzie znajdowało się dwoje drzwi. Jack otworzył jedno z nich i wpuścił mnie do środka, nie wchodząc sam, po czym zamknął je za mną. Przeczucie mnie nie omyliło: coś niesamowitego w tym pokoju napełniało mnie lękiem, miałem wrażenie, że dławi mnie z mora, i odczuwałem narastającą grozę, aż wreszcie obudziłem się z potwornym strachem.

Później ten sen nawiedzał mnie przez piętnaście lat, w różnych odmianach, ale zawsze według tego samego schematu: przybycie do domu z czerwonej cegły, herbata w ogrodzie na trawniku, grobowa cisza, przerywana tylko jednym zdaniem, które na tle tej ciszy brzmiało także grobowo. Potem szliśmy z Jackiem na wieżę, do pokoju, gdzie czaił się strach, a sen kończył się zawsze uczuciem dławiącej grozy i lęku przed czymś, co było w tym pokoju, lecz nie mogłem się dowiedzieć, co to było. Czasami śniłem różne warianty tego samego tematu. Siedzieliśmy na przykład w jadalni przy stole, a ja spoglądałem przez wysokie okna, te same, które widziałem z ogrodu, gdy byłem tam we śnie po raz pierwszy. Ale gdziekolwiek się znajdowaliśmy, zawsze panowała ta sama złowróżbna cisza i ogarniało mnie przytłaczające przeczucie czegoś niepokojącego. I wiedziałem już z góry, że zaraz pani Stone przerwie tę ciszę i powie do mnie: „Jack pokaże panu pański pokój. Przeznaczyłam dla pana pokój na wieży”. Potem musiałem iść z nim po wielkich schodach, pełnych zakamarków, do pokoju, którego bałem się coraz więcej. Nieraz zdarzało się, że graliśmy w karty w salonie, oświetlonym rzęsiście licznymi kandelabrami, a gra toczyła się w absolutnym milczeniu. Salon był zawsze jasno oświetlony, w przeciwieństwie do reszty domu, gdzie panował półmrok i cień. Mimo bogatej iluminacji salonu z trudnością rozróżniałem karty, wpatrując się w figury. Nie miałem pojęcia, co to była za gra, ale talia nie zawierała kolorów czerwonych, tylko czarne, a niektóre karty były całkowicie czarne i tych bałem się najwięcej i nienawidziłem ich.

W miarę jak sen się powtarzał, poznawałem stopniowo znaczną część domu. Za salonem, na końcu korytarza, obite zielonym sukniem drzwi prowadziły do palarni. Było tam zawsze mroczno i nieraz mijałem kogoś, kto stamtąd wychodził, lecz nie mogłem go rozpoznać. Było rzeczą ciekawą, że postaci ze snu podlegały takim zmianom jak osoby w życiu rzeczywistym. Na przykład pani Stone, która była brunetką, gdy śniłem ją pierwszy raz, z biegiem czasu osiwała i nie wstawała już tak energicznie, zwracając się do mnie ze słowami: „Jack pokaże panu pański pokój. Przeznaczyłam dla pana pokój na wieży”. Jack dorósł i stał się niezbyt sympatycznym młodzieńcem z ciemnym wąsikiem, a jedna z jego siostr przestała brać udział w towarzyskich herbatkach, z czego wywnioskowałem, że musiała wyjść za mąż.

W pewnym okresie sen ten nie nawiedził mnie chyba przez pół roku albo i dłużej, i już miałem nadzieję, że nigdy mi się nie przyśni pobyt w domu z czerwonej cegły ani przeraźliwy strach z nim związany. Jednakże po tej przerwie znowu znalazłem się na herbacie w ogrodzie, tylko tym razem nie było pani Stone, a wszyscy byli ubrani na czarno. Od razu odgadłem przyczynę, a serce zabiło mi z radości na myśl, że może nie będę już musiał nocować w pokoju na wieży. Ogarnęło mnie uczucie takiej ulgi, że nie zwracając uwagi na ogólne milczenie, zacząłem mówić i śmiać się, na co sobie dotychczas nigdy nie pozwalałem. Ale to w niczym nie zmieniło sytuacji, ponieważ wszyscy nadal milczeli, spoglądając po sobie ukradkiem.

Wkrótce potok mojej wymowy przestał płynąć i znowu naszło mnie przecucie czegoś okropnego, jeszcze silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Nagle ciszę przerwał głos, tak dobrze mi znany, głos pani Stone, który powiedział:

– Jack pokaże panu pański pokój. Przeznaczyłam dla pana pokój na wieży.

Wydało mi się, że głos dochodzi od strony ceglanego muru otaczającego ogród, więc spojrzałam w tamtym kierunku, poprzez sztachety bramy: w trawie za ogrodzeniem było aż gęsto od nagrobków. Niezwykle, blade światło, które z nich emanowało, pozwoliło mi dojrzeć na najbliższym kamieniu napis:

Przekłętej pamięci Julia Stone

Jack wstał natychmiast, jak zwykle, a ja poszedłem za nim przez hall i na górę schodami o licznych zakamarkach. Tym razem w pokoju było jeszcze ciemniej niż zazwyczaj, tak że z ledwością rozróżniałem zarysy mebli, których rozmieszczenie dobrze znałem. Poczulem okropną woń rozkładu i obudziłem się z krzykiem.

Ten sen i jego różne warianty, tu opisane, powtarzał się co pewien czas przez piętnaście lat. Czasami śniłem go przez kilka kolejnych nocy, czasami w dłuższych odstępach, kiedyś z przerwą półroczną, jak już wspomniałem, ale przeciętnie nawiedzał mnie raz na miesiąc. Przeżywałem go jak nocną zmorę, a kończył się zawsze uczuciem przerażającego lęku, który zamiast słabnąć z upływem czasu ogarniał mnie za każdym razem coraz bardziej. Była w tym śnie zaskakująca logika wydarzeń: postacie starzały się, wychodziły za mąż, umierały. Nigdy nie zobaczyłem już pani Stone od czasu, kiedy umarła. Ale jej głos zawsze mnie zawiadamiał, że pokój na wieży jest dla mnie przygotowany... Bez względu na to, czy piliśmy herbatę w ogrodzie, czy w którymś z pokoi, zawsze widziałem jej nagrobek przez sztachety bramy. Z taką samą konsekwencją córka, która wyszła za mąż, pojawiała się już tylko od czasu do czasu, ze dwa albo trzy razy, w towarzystwie mężczyzny, w którym odgadłem jej męża. On też zachowywał zupełne milczenie, jak pozostałe osoby.

Z biegiem czasu przyzwyczałem się do tego snu i nie zaprzętałem nim sobie głowy. Przez te piętnaście lat nie spotkałem ani razu Jacka Stone'a i nigdy nie widziałem domu, który by choć trochę przypominał ciemnoczerwony dom z mojego snu.

Aż wreszcie coś się wydarzyło...

Byłem wtedy w Londynie, w lipcu, a umówiłem się z przyjacielem, że spędzę z nim kilka dni sierpnia w domu, który wynajął na lato niedaleko miejscowości Forest, w hrabstwie Sussex. Wyjechałem z Londynu rano, a John Clinton oczekiwał mnie na stacji w Forest. Tam spędziliśmy prawie cały dzień, grając w golfa przy pięknej pogodzie. John miał swój samochód. Zrezygnowaliśmy z popołudniowej herbaty w klubie i wyruszyliśmy o piątej, aby zdążyć na podwieczorek do domu, położonego o dziesięć mil od Forest.

W czasie jazdy pogoda zepsuła się zdecydowanie, a wspaniałe, orzeźwiający powietrze, jakie było za dnia, stało się ciężkie i nieruchome. Ogarnął mnie nastrój niepokoju i zirygowania, jaki miewam zwykle przed burzą. John nie podzielał mego zdania, że nadciąga burza, raczej przypisywał brak humoru faktowi, że przegrałem z nim obie partie... Później się okazało, że trafnie przeczułem burzę, ale nie sądzę, aby to ona była powodem mojej depresji.

Jechaliśmy drogą między wysokimi skarpami; wkrótce zasnąłem i przebudziłem się dopiero wówczas, gdy samochód gwałtownie zahamował. Byłem zaskoczony i zdumiony, ponieważ znalazłem się przed drzwiami domu z mego snu! Przebiegł mnie lekki dreszcz, a równocześnie uczulem nieprzepartą ciekawość. Przez chwilę starałem się sobie uświadomić, czy widzę to na jawie, czy we śnie. Przeszliśmy przez niski hall, wyłożony ciemną boazerią, i znaleźliśmy się w ogrodzie, gdzie na trawniku, w cieniu domu, stał stolik nakryty do herbaty. W przeciwległym końcu trawnika wznosił się mur z czerwonej cegły, z bramą pośrodku, a za murem rósł orzech włoski. Długa fasada domu kończyła się z jednej strony wieżą, wysoką na trzy piętra, która wydała mi się znacznie starsza niż pozostała część budynku.

Za chwilę wrażenie podobieństwa do sytuacji ze snu minęło, bo nie było tu tamtej milczącej, upiornej rodziny, tylko dość duże grono znajomych, miłych osób. Pomimo strachu, jaki zawsze wzbudzał we mnie sen, teraz nie odczuwałem niepokoju, chociaż sceneria senna była wiernie odtworzona. Dominującym uczuciem stała się ogromna ciekawość, co nastąpi dalej.

Podwieczorek upływał w miłym nastroju, gdy nagle pani Clinton wstała, a ja natychmiast wiedziałem, co powie!

– Jack pokaże panu pański pokój. Przeznaczyłam dla pana pokój na wieży.

Po tych słowach strach mnie obleciał jak w moim śnie, tylko że uczucie lęku szybko minęło, ustępując miejsca niepohamowanej ciekawości. Ciekawość ta miała być wkrótce zaspokojona.

John powiedział tonem usprawiedliwienia:

– To jest na szczycie wieży; mamy komplet gości. Może chcesz pójść od razu obejrzeć pokój? O, do licha! Jak się ściemniło! Chyba miałeś rację, przepowiadając burzę.

Wstałem i poszedłem za nim. Przeszliśmy przez hall i następnie znajomymi schodami na trzecie piętro wieży. John otworzył drzwi i wpuścił mnie do pokoju. Ogarnął mnie znowu niewytłumaczony strach. Nie mogłem sobie na razie uświadomić, czego się właściwie boję; po prostu b a ł e m s i ę !

Nagle, jak ktoś, kto wydobywa z zakamarków pamięci zapomniane nazwisko, tak ja zdałem sobie sprawę, że boję się... pani Stone, której nagrobek ze złowieszczą inskrypcją pojawiał się tyle razy w moim śnie, za trawnikiem, który obecnie rozciągał się pod moimi oknami. I znów za chwilę niepokój minął tak dalece, że pomyślałem: czego tu się bać, skoro jestem zdrow i cały, w pokoju, który śniłem tak często, że powinienem być oswojony z całą tą sytuacją.

Rozejrzałem się więc okiem niejako właściciela po wnętrzu: nie różniło się wcale od pokoju z sennych widziadeł. Na lewo od drzwi stało łóżko z wezgłowiem w rogu, obok znajdował się kominek i mała biblioteczka. Na wprost drzwi były dwa okna o małych szybkach, a między oknami – toaletka. Szafa i umywalnia stały przy drugiej ścianie. Moje rzeczy były już rozpakowane, przybory toaletowe ustawione porządnie na umywalni, a wizytowe ubranie leżało przygotowane na łóżku.

Nagle zauważyłem ze zdumieniem dwa obrazy, których we śnie nigdy nie widziałem: olejny portret pani Stone, naturalnej wielkości, oraz szkic, na którym Jack Stone wyglądał tak, jak mi się przyśnił ostatnim razem, tydzień temu. Pan około trzydziestki, o wyglądzie raczej odpychającym. Jego portret wisiał między oknami i patrzył prosto przez pokój na drugi portret, zawieszony nad łóżkiem.

Spojrzałem uważniej na portret pani Stone, a w miarę jak się przyglądałem, znowu zacząłem odczuwać dziwny lęk.

Obraz przedstawiał panią Stone taką, jaką ją widywałem w snach w późniejszych latach: wysuszoną, siwą, starą. Lecz pomimo widocznej słabości ciała biła od niej żywiołowa siła, niepohamowana witalność, kipiąc i pieniąc się ledwie skrywaną złością. Zmrużone, wąskie oczy spoglądały szydlerczo, usta uśmiechały się demonicznie. Złośliwa, aż przerażająca uciecha wyzierała z tej twarzy! Ręce, złożone na kolanach, wydawały się z trudem powstrzymywać, aby nie drgać w rytm diabelskiej hucznej sarabandy.

Przyglądając się obrazowi zauważyłem w dolnym lewym rogu podpis. Zaciekawiony, kto to mógł malować, odcyfrowałem słowa: „Julia Stone, pędzla Julii Stone”.

Usłyszałem stukanie do drzwi i John Clinton wszedł do pokoju.

– Czy masz wszystko, czego ci potrzeba? – zapytał. – Mam więcej, niż mi potrzeba – odparłem, wskazując obraz.

Roześmiał się.

– Ostre rysy ma ta staruszka – zauważył. – O ile wiem, jest to autoportret. Nie można powiedzieć, że sobie pochlebiła...

– Czy nie uważasz – spytałem – że w tej twarzy jest coś nieludzkiego? To jest twarz... opętanej przez diabła!

– Tak – John przyjrzał się bliżej portretowi – to nie jest przyjemne, zwłaszcza nad łóżkiem. Myślę, że gdyby mi przyszło spać z tym portretem nad głową, to mogłaby mnie nawiedzić w nocy jakaś zmara. Każę to wynieść, jeśli chcesz.

– Tak, chciałbym, żeby to wynieść! – poprosiłem.

Zadzwoił na służącego. We trzech zdjęliśmy portret i ustawiliśmy go na podeście schodów, twarzą do ściany.

– Ależ ona ciężka, ta starsza pani. – John otarł pot z czoła. – Może ma coś na sumieniu.

Mnie także zastanowił niezwykle ciężar obrazu i już miałem to powiedzieć, kiedy spojrzałem przypadkiem na swoją rękę i zobaczyłem, że dłoń jest cała we krwi.

– Musiałem się skaleczyć – powiedziałem.

– I ja także! – zawołał ze zdumieniem John, a równocześnie służący wyjął chustkę i wytarł sobie rękę: na chustce widniały krwawe ślady. Wróciłem z Johnem do pokoju, aby zmyć krew: ani on, ani ja nie znaleźliśmy najmniejszego skaleczenia czy nawet draśnięcia. Jak gdyby na mocy milczącej umowy przestaliśmy rozmawiać o tym dziwnym wydarzeniu, ale wiedziałem, że on myśli o tej sprawie tak samo jak ja.

Powietrze było parne i nieruchome, zwłaszcza po kolacji, kiedy już było wiadomo, że burza musi nadejść. Całe towarzystwo siedziało przy herbacie w alejce okrążającej trawnik. John i ja byliśmy tam również. Żadna gwiazdka ani promień księżyca nie przebijały ciemnej zasłony chmur. Nasze grono zmniejszało się stopniowo, panie poszły spać, panowie rozproszyli się w palarni i w pokoju bilardowym, w ogrodzie zostaliśmy tylko my dwaj: John i ja. Przez cały wieczór miałem wrażenie, że nurtuje go jakaś myśl, ale dopiero teraz, kiedy byliśmy sami, zdecydował się ją wyjawić.

– Służący, który nam pomagał zdjąć portret, także miał krew na ręku, zauważyłeś? Zapytałem go przed chwilą, czy się skaleczył, na co odpowiedział, że początkowo tak sądził, jednak nie znalazł najmniejszego znaku. Więc skąd się wzięła ta krew?

Ponieważ zapowiedziałem sobie, że nie będę myślał o tym wydarzeniu – zwłaszcza przed snem, postanowiłem wytrwać i nie dopuścić do rozmowy na ten temat.

– Nie wiem – zbyłem go krótko – i nic mnie to nie obchodzi, skoro portret pani Stone nie wisi już nad moim łóżkiem.

John wstał.

– To jednakże bardzo dziwne... – powiedział w zamyśleniu, a spojrzawszy w stronę domu, zawołał.

– Patrz! To też jest rzecz zadziwiająca!

Jego pies, terier irlandzki, wyszedł właśnie z domu i stał w uchylonych drzwiach hallu. Jasna smuga światła biegła przez trawnik do bramy i kładła się na placu za ogrodzeniem, gdzie rosło bujne zielsko i orzech włoski. Pies zjeżył się nagle i warczał z wściekłością, szczerząc zęby, jakby chciał się na kogoś rzucić. Nie zwracając najmniejszej uwagi na swego pana ani na mnie, ruszył na sztywnych nogach w stronę bramy, a cała jego postawa zdradzała napięcie i niepokój. Usiłował dojrzeć coś po drugiej stronie żelaznych prętów, warcząc bezustannie. Nagle opuściła go odwaga i zawrócił, czołgając się ze strachu.

– On się tak zachowuje kilka razy dziennie – powiedział John – zupełnie jakby widział coś za bramą, czego się panicznie boi, a zarazem nienawidzi.

Podszedłem do bramy i spojrzałem przez sztachety: coś poruszyło się w trawie, a do moich uszu dobiegł nieokreślony, cichy szmer. Za chwilę rozpoznałem mruczenie kota. W świetle zapalki zobaczyłem, jak puszysty, błękitny perski kot stąpa w kółko w ekstatycznej pozie, wysoko podnosząc nogi, z ogonem wyprężonym do góry jak sztandar. Od czasu do czasu pochylał głowę i ocierał się o trawę, łaszcząc się, a oczy płonęły mu fosforycznym światłem.

– Zdaje się, że znaleźliśmy rozwiązanie tajemnicy – zażartowałem. – Ten wspaniały kot odprawia tu kocią „Noc Walpurgi”.

– Dariusz często tu przychodzi – wyjaśnił John – ale to nie jest rozwiązanie tajemnicy, bo Toby żyje z nim w wielkiej przyjaźni. Tajemnica tkwi w tym, że to, co sprawia kotu niezwykłą przyjemność, budzi wściekłość i lęk u psa. Czego ten kot tutaj szuka?

Wtem przypomniałem sobie makabryczny szczegół z moich snów, kiedy to widziałem za bramą, właśnie w tym miejscu, gdzie krążył kot, biały kamienny nagrobek ze złowieszczą inskrypcją. Nie zdążyłem odpowiedzieć Johnowi, gdyż nagle deszcz lunął jak z cebra, a pies śmignął przez sztachety i wpadł do domu, aby się schronić. Przez chwilę siedział na progu, wpatrując się przenikliwie w ciemność, a kiedy John odsunął go, żeby zamknąć drzwi, pacnął go łapą.

Teraz, kiedy portret pani Stone został wyniesiony na podest, pokój przestał mnie niepokoić, a incydent z krwią na rękach i zagadkowe zachowanie psa i kota budziły we mnie tylko ciekawość. Byłem senny i zmęczony, a ostatnie moje spojrzenie przed zaśnięciem padło na ciemnoczerwony kwadrat nad łóżkiem, który odcinał się wyraźnie od reszty wyblakłej tapety. Zgasilem świecę i momentalnie zasnąłem.

Obudziłem się gwałtownie i skoczyłem na łóżku, jak gdyby ktoś zaświecił mi prosto w twarz. Uświadomiłem sobie, że jestem w tym samym pokoju, którego tak się bałem w moich snach. Grzmot przetaczał się nad domem, ale nie mogłem sobie wytłumaczyć, że to tylko błyskawica mnie obudziła i przyprawiła o silniejsze bicie serca... Wiedziałem, że coś jest w pokoju razem ze mną, i odruchowo wyciągnąłem rękę, aby to coś odepchnąć od siebie. Natrafiłem na ramę obrazu, który wisiał nad łóżkiem...

Wyskoczyłem z łóżka, przewracając nocny stolik, a zegarek, świeca i zapalki spadły na podłogę. Zygzak błyskawicy przedarł się przez chmury i w jej białym świetle zobaczyłem portret pani Stone na dawnym miejscu. W nogach łóżka stała jakaś postać w białej, dopasowanej sukni, zabrudzonej ziemią i błotem. Wpatrywała się we mnie, nachylona, a ja poznałem twarz z portretu! Zapadła znowu ciemność, czarna jak smoła.

Grzmot przestał huczeć, w grobowej ciszy doszedł mnie lekki szelest i, co gorsza, poczułem trupią woń rozkładu. Czyjaś ręka oparła mi się na ramieniu, tuż nad uchem usłyszałem dyszący, przyspieszony oddech. Wiedziałem, że nie jest to istota z krwi i kości, choć odczuwałem ją wszystkimi zmysłami: jak gdyby po opuszczeniu ciała miała moc pojawiania się ludziom.

Dobrze mi znany głos przemówił:

– Wiedziałam, że przyjdiesz tutaj, do pokoju na wieży! Długo na ciebie czekałam. Wreszcie przyszedłeś. Będę ucztować i bawić się dzisiejszej nocy. Wkrótce będziemy ucztować razem!

Dyszący oddech musnął mi szyję. Wtedy strach, który mnie obezwładnił, ustąpił miejsca instynktowi obrony; rzuciłem się z pięściami i wymierzyłem kopniaka w ciemność. Rozległ się zwierzęcy krzyk i coś upadło głucho obok mnie. Cokolwiek to było, nie chciałem otrzeć się o to, kilkoma susami dopadłem drzwi, na szczęście od razu trafiłem na klamkę. Wybiegłem z pokoju, zatrzaskując drzwi za sobą. Gdy znalazłem się na podeście schodów, usłyszałem, jak John wychodzi ze swego pokoju, na niższym piętrze. Za chwilę wbiegł na górę, z lichtarzem w ręku.

– Co się stało?! – zawołał. – Spałem pod twoim pokojem i obudził mnie taki hałas, jak gdyby... O, Boże, masz krew na ramieniu!

Opowiadał mi potem, że byłem blady jak płótno i chwiałem się na nogach, a na ramieniu widniał odcisk zakrwawionej dłoni.

– Tam, tam... – bełkotałem, wskazując pokój – ona tam jest, rozumiesz? I portret także tam wisi, na tym samym miejscu...

– Przywidzenie, senna mara! – uśmiechnął się pobłaźliwie, odsunął mnie i otworzył drzwi. Byłem jak sparaliżowany, nie miałem siły go zatrzymać ani pójść z nim razem. – Co za straszny zapach! – powiedział i znikł mi z pola widzenia za drzwiami, ale wypadł stamtąd natychmiast, równie blady jak ja, mówiąc gorączkowo:

– Portret tam wisi... ale na podłodze... na podłodze leży... coś okropnego... coś z grobu... oblepione grudkami ziemi... Chodźmy stąd, szybko!

Trząśłem się ze zdenerwowania, odraza doprowadzała mnie do mdłości, sam nie wiem, jak zdołałem zejść ze schodów. John sprowadził mnie, rzucając ukradkowe, niespokojne spojrzenia w górę wieży. Weszliśmy do jego pokoju, na drugim piętrze, i tam opowiedziałem mu historię z moich snów, tak jak ją tu opisałem.

Mam już niewiele do dodania, chcę tylko przypomnieć, że na pewno wielu czytelników słyszało o przedziwnej i nie wyjaśnionej sprawie cmentarza w Pawley, sprzed kilku lat, kiedy to usiłowano pochować trzykrotnie zwłoki kobiety, która popełniła samobójstwo. Za każdym razem trumna została wyrzucona z grobu w niewyjaśnionych okolicznościach. W końcu, aby zapobiec plotkom wokół tej sprawy i uniknąć niepotrzebnej gadaniny, zdecydowano pogrzebać samobójczynię sekretnie na niepoświęconej ziemi: pochowano ją w pobliżu bramy, za murem otaczającym ogród i dom, w którym ta kobieta kiedyś mieszkała. Popełniła ona samobójstwo w pokoju na wieży, a nazywała się... Julia Stone.

Jednak i na tym miejscu nie zaznała spoczynku, ponieważ ciało jej zostało znowu wyrzucone z grobu, a trumna, którą znaleziono, była pełna krwi.

przełożyła Krystyna Ślaska

Jerzy Siewierski

Zemsta z za grobu

Wczesną wiosną roku 182... młody sir Robert Mac Pherson przybył do zamku w Haloven Hill. Na progu zamczyska przed bramą witała go cała służba i wszyscy domowi. Przewodził im stary Douglas Dunwell, burgrabia, oddany sługa domu Mac Phersonów, totumfacki sir Johna – ojca młodego dziedzica. Sir John zmarł nagle przed miesiącem. Jego zwłoki spoczęły w grobowcu rodzinnym. Przez kilka tygodni nie było na zamku pana i siłą rzeczy w ręku Douglasa spoczęły wszystkie sprawy związane z zarządzaniem służbą i włościami. Teraz siwiutki jak gołąbek stary Douglas łyknąwszy sobie dla kurażu kwaterek jałowcówki, której był wielkim zwolennikiem, czekał niecierpliwie na przybycie młodego dziedzica, aby w jego ręce złożyć swe przejściowe rządy oraz sprawozdanie o tym, jak sobie poczynał w ciągu tych niewielu tygodni.

Młody sir Robert od kilku lat bawił na studiach w niemieckich uniwersytetach i nie był obecny przy śmierci i na pogrzebie swego ojca, którego w pełni sił i zdrowia powalił niespodziewany atak apopleksji. Stary Douglas rozmiłowany był w młodym paniczu. To on, kiedy sir Robert był jeszcze małym pacholęciem, uczył go trzymać się na koniu, polować na króliki we wrzosowiskach otaczających zamek, opowiadał mu stare baśnie, gadki i legendy i nauczał odwiecznych góralskich pieśni przekazywanych w klanach z pokolenia na pokolenie. Przyodziany w odświętny tartan swojego klanu, wdziewany z rzadka, tylko z jakiejś niezwykle ważnej okazji, oczekiwał niecierpliwie na młodego pana, którego nie widział od tak dawna.

Nie on jeden czekał na sir Roberta i nie tylko wyglądali nowego dziedzica sładzy i dzierzawcy. Oczekiwał też go stary Joseph McCullan, który mimo że nosił już na sobie ósmy krzyżyk i słabował na nogi, na wieść o spodziewanym przybyciu sir Roberta porzucił wygrzane miejsce przy kominie i pokuśtykał na gościniec wiodący z Edynburga.

Klął strasznie, bo go paliła podagra, ale nie zwracając uwagi na te cierpienia, wsparty na kosturze sterczał przy gościńcu. Około południa doczekał się wreszcie.

Od Edynburga, przedzierając się przez welony mgieł i oparów, ukazał się czarny powóz zmierzający w kierunku zamku. Spłoszone turkotem kół i parsaniem koni wrony poderwały się z głośnym krakaniem z przydrożnego drzewa, a zaraz potem staremu McCullanowi mignęła przed oczami za okienkiem powozu blada, szlachetna twarz młodego dziedzica Haloven Hill.

Na jej widok twarz starca wykrzywił grymas straszliwej nienawiści. Wsparty na kosturze żegnał złowieszczym spojrzeniem oddalający się powóz i słał za nim najwymyślniejsze przekleństwa.

Sir Robert nawet nie zauważył starca wspartego o kostur. Minął go obojętnie wypatrując w oddali siedziby swoich przodków, do której wracał po latach nieobecności. A kiedy wreszcie, gdy mgły się na chwilę rozstały, dojrzał majestatyczną, groźną sylwetkę starodawnej budowli, łzy głębokiego wzruszenia zakręciły się mu pod powiekami...

Cóż to było za powitanie! Stary Douglas, drżący ze wzruszenia, skłonił mu się pierwszy do nóg i ucałował z należnym szacunkiem dłoń swego pana, a reszta służby idąc jego przykładem przyklękła i kornie chyląc głowy oddała należny hołd dziedzicowi. Czterech muzykantów, których stary Douglas na tę okazję ze wsi sprowadził, dęło w kobzy, ile im tchu w piersiach starczało, a psy domowe, tak zawsze nieufne wobec obcych, wiedzione niezawodnym instynktem rozpoznały w przybyszu nowego pana i rozpląszczone potulnie do ziemi przypełzły do jego nóg, skomląc radośnie i wywijając ogonami...

Wielkie rozrzewnienie odmalowało się na bladej twarzy sir Roberta. Serdecznie uściśnął starego Douglasa, podjął go z ziemi i ucałował w czoło. Służbie i dzierzawcom łaskawie podał rękę do ucałowania, a potem głąskał po przyjaźnie nadstawionych łbach łaszące się u jego kolan psy.

W końcu przemówił do zebranych:

– Jestem wielce rad, że was mogłem znowu w zdrowiu szczęśliwie zobaczyć. Służyliście wiernie mojemu ojcu i wierzę, że mnie również tak samo służyć będziecie. Ja wam za to uroczysto przyrzekam, że będę dla was panem dobrym i wyrozumiałym. Otoczę was swoją przyjaźnią i opieką tak samo, jak to od wieków moi przodkowie czynili wobec swoich poddanych. Tak mi czynić dopomóż, Panie Boże wszechmocny!

Słyszając te łaskawe słowa słudzy i dzierżawcy rozjaśnili swoje oblicza. Huknęły gromkie wiwaty, a kobziarze z jeszcze większym zapałem dmuchnęli w dudy.

Wieczorem w sklepionej zamkowej sieni odbyła się wielka uczta na powitanie nowego dziedzica. Wyprawił ją stary Douglas, który już od dni wielu przygotowywał się na tę okazję. Rozpalono suty ogień w wielkim kominie. Na ławach wokół dębowego stołu zasiedli dzierżawcy. Sir Robert spoczął na honorowym miejscu i jemu pierwszemu służący podawali mięsiwa na srebrnej zastawie i w pierwszej kolejności napełniali przednim trunkiem kryształowy puchar. Douglas kazał wytoczyć na tę okazję z najgłębszej piwnicy zamkowego lochu beczułkę najstarszej whisky i beczkę najprzedniejszego wina sprowadzonego z Hiszpanii jeszcze przez dziada sir Roberta.

Początkowo milczano przy stole, bo dzierżawcy byli onieśmieleni obecnością swojego pana, lecz powoli widząc jego niezmienną ku nim łaskawość i podochoceni trunkami zaczęli się weselić, a pod wysokie gotyckie sklepienie buchnął wesoły gwar ludzkich głosów przemieszany ze szczękami sztućców i dzwonieniem pucharów.

Kiedy stary Douglas patrzył na ten obraz pogodny, kiedy dostrzegał radość promieniującą ze szlachetnego oblicza sir Roberta i oglądał rozradowane twarze dzierżawców, serce mu rosło, a poczucia błogiej szczęśliwości nie mącił nawet cień złowieszczygo przeczucia okropnych wypadków, które niebawem miały się wydarzyć.

Nie wiedział starzec nieszczęsny, że to ostatnia tak wesoła w Haloven Hill biesiada, bo za niewiele już miesięcy ponure zamczysko zmieni się na zawsze w dom żałoby! Gdyby przeczuwał, co się stać miało, z pewnością serce by mu pękło z bezsilnej rozpacz...

Ale nie uprzedzajmy wypadków...

Ucztowano długo. A kiedy już wszystko zjedzono co było do zjedzenia i wypito co przeznaczono do wypicia, a twarze biesiadników poczęły wyrażać niejaki zmęczenie, Douglas dał znak, by goście złożony swe uszanowanie gospodarzowi wynieśli się do swych domów.

A kiedy wszyscy obcy zamek już opuścili, Douglas zaprowadził swego pana do komnaty we wschodnim skrzydle, która odtąd stać się miała jego sypialnią. Ucałowawszy jeszcze raz rękę sir Roberta pozostawił go samotnie życząc, by pierwsza noc po tak długiej przerwie spędzona pod dachem siedziby przodków przyniosła mu spokojne i szczęśliwe sny.

Sir Robert pozostał więc sam, tylko z psem imieniem Medor, który kiedyś jeszcze szczenięciem będąc towarzyszył pacholęcym zabawom sir Roberta. Rozpoznawszy dziś swego umiłowanego pana, oszalały ze szczęścia, postępował za nim krok w krok i nie zdradzał najmniejszej ochoty, aby go choć na chwilę opuścić.

Sir Robert wprawdzie zmęczony był długą podróżą, wzruszony uroczystym i tak serdecznym powitaniem, znużony przeciągającą się ucztą, ale jak to miał we zwyczaju, postanowił przed zaśnięciem lulkę wypalić. Usiadł w pobliżu kominka, na którym dopalała się wielka kłoda, napełnił fajkę czarnym tytoniem i zapalił ją za pomocą fidybusa. Zaciągnął się wnet wonnym dymem i oddał przyjemnym rozmyślaniom. Żar bijący z kominka przyjemnie grzał mu nogi, a wierny Medor ułożył się nieopodal, składając głowę na butach młodego dziedzica.

Wtem za oknem rozległo się pohukiwanie puszczyka. Nieprzyjemny dreszcz przebiegł po plecach sir Roberta, a w chwilę potem do uszu jego dobiegły głucho uderzenia zegara na zamkowej wieży wybijającego północ. I w tej samej chwili Medor uniósł nagle łeb swój, odsłonił kły, a w głębi jego gardzieli narastać poczęło głucho i wściekłe zarazem warczenie. Sierść na karku psa zjeżyła się, a w jego oczach zapaliły się złe błyski. Sir Robert, mocno

zdziwiony niecodziennym zachowaniem zwierzęcia, usiłował uspokoić je głaskaniem. Zwierzę jednak nie zwracało uwagi na tę pieszczotę. Wstało z podłogi i podkulając ogon pod siebie warczało coraz groźniej.

Jednocześnie ogień na kominku zaskwierczał i przygasł gwałtownie, a płomyk woskowej świecy w srebrnym lichtarzu zafalował targnięty niespodziewanym powiewem. Gdzieś z mrocznych kątów komnaty wypełznął wilgotny, dojmujący chłód, który przeniknął sir Roberta do szpiku kości, a jego nozdrza wypełniła zatęchła i wilgotna woń grobu. Sir Robert poderwał się z krzesła drżąc z niewypowiedzianego niepokoju i trwożnie rozejrzał się wokół. Ale nic nie zobaczył. Dopiero gdy umilkło ostatnie dwunaste uderzenie zegara na wieży, zazgrzytał ponuro zamek przy drzwiach komnaty. Na dźwięk ten wiernego Medora opuściła reszta psiej odwagi. Skomląc przeraźliwie, z sierścią zjeżoną, wczołgał się tyłem pod wielkie łożo. Rozległ się przenikliwy jęk zawiasów, targana silnym prądem powietrza woskowa świeca zgasła, a drzwi uchyliły się powoli. W czerwonych migotliwych ostatnich blaskach przygasającego kominka ujrzął sir Robert tajemniczą postać. Był to mężczyzna słusznego wzrostu odziany w strój z ubiegłego stulecia. Na głowie nosił trójkątny kapelusz, spod którego spływały długie loki sutej peruki. Przybysz ubrany był w kusy, bogato haftowany frak, długie buty do konnej jazdy i wąskie, krótkie spodnie. U boku zwisała mu szpada.

Dopalająca się kłoda na kominku strzeliła na chwilę krótkim płomieniem i w jego przelotnym migotaniu młody dziedzic ujrzął twarz zjawy i widok ten przejął go niewypowiedzianą grozą. Spod loków strojnej peruki wpatrywały się weń przepastne czarne dziury oczu kościotrupa...

Strasziwa trwoga ścisnęła serce sir Roberta, a ze sparaliżowanego strachem gardła wyrwał się mu przenikliwy skowyt przerażenia.

Okropne widmo nie poruszało się przez długą chwilę, a potem przemówiło do sir Roberta. Głos dobywający się spomiędzy wyszczerzonych trupich zębów czaszki był głuchy i złowrogi.

– Nieszczęsny młodzieńcze! – rzekła mara – przyszedłem wieszczyć zagładę... Będziesz ostatnim z rodu Mac Phersonów. Surowe i straszliwe wyroki niebios sprawiły, że nie pojmiesz żony i zejdziesz z tego świata bezpotomnie. Zamek ten rozpadnie się w ruiny i zmieni w omijane przez ludzi siedlisko nietoperzy i puszczyków.

– Kim jesteś?... – wybełkotał młody dziedzic głosem drżącym i ledwie słyszalnym.

– Jestem twoim pradziadem, Robercie – odrzekło widmo grzechocząc złowrogo kośćciami swego szkieletu – i moje to straszliwe zbrodnie sprawiły, że surowa, ale sprawiedliwa kara spadnie na nasz ród w czwartym pokoleniu. Wszelki ślad po Mac Phersonach zostanie starty z powierzchni ziemi i pozostanie tylko wśród ludzi pamięć o zagładzie naszego rodu, aby przez pokolenia stanowić złowróźbne ostrzeżenie przed zbrodnią, grzechem i upadkiem... Biada potępionym! Przestrzegam cię, mój prawnuku! Czyń pokutę! Nic już nie może odwrócić strasznego wyroku, ale duszę swą możesz zbawić, jeżeli dni, które ci jeszcze pozostały, poświęcisz pokucie... Musisz wyrzec się marności tego świata i żałować za grzechy...

Przerażony młodzieniec wyszeptał zbielełymi wargi:

– Będę czynił pokutę... Będę się modlił i za Ciebie...

Widmo przecząco potrząsnęło głową, wzniosło do góry obie ręce i zaśmiało się urągliwie:

– Zaprawdę na nic mi twoje modlitwy! Jam już na zawsze potępiony! Przybyłem tu z samego dna piekielnych otchłani! Ha! Ha! Ha! Nie dla mnie już twoje modlitwy! Jestem potępiony! Potępiony!

Kiedy mara czyniła to straszliwe wyznanie, jej trupie oblicze zajaśniało zielonym płomieniem, a po komnacie rozszedł się duszący smród spalonej siarki.

Ukryty pod łożem Medor zawył głucho i żałośnie, a sir Robert nie mogąc znieść już dłużej naporu zgrozy z lekkim okrzykiem osunął się zemdlony na podłogę...

W tym samym czasie, gdy sir Robertowi objawiło się okropne widmo, stary Joseph McCullan podpierając się swym kosturem z wrzosowego korzenia ostatkiem sił włókł się krętą ścieżką wśród wrzosowisk spowitych welonami niezdrowych oparów. Chora noga sprawiała

mu niewypowiedziane cierpienie i paliła żywym ogniem, wilgotny ziąb przenikał mu pod kaftan, a on kuśtykał z uporem, klnąc straszliwie i bluźnierczo, gnany uczuciem piekielnej zaiste nienawiści. Jej zimny płomień gorejący w sercu starca sprawiał, że znajdował w sobie siły i nie ustawał w wędrówce.

Dobrze już było po północy, gdy dotarł wreszcie do celu. Był nim nędzny szałas przytulony do złożonej z ogromnych granitowych głazów starodawnej budowli, której pierwotnego znaczenia nikt nie znał. Ludzie uczeni nazwali takie budowle dolmenami, a lud miejscowy dopatrywał się w nich ruin pałaców wielkoludów zamieszkujących niegdyś te strony.

Mgła właśnie na chwilę się rozstąpiła i na niebie pojawił się blady księżyc. Joseph McCullan zatrzymał się przed wejściem do szałasu i wykrzyknął:

– Hej! Matko Lurrie! Przyszedłem do ciebie w gości...

Z wnętrza chatynki rozległ się chrapliwy, prawie nieludzki skrzek:

– Wejź do środka, przybyszu... – to matka Lurrie zapraszała wędrowca.

Posłuchał wezwania. We wnętrzu szałasu przy blasku płonącego ogniska, nad którym w okopconym saganku warzył się jakiś tajemniczy płyn, zobaczył przycupniętą na skleconym z brzoźowych gałązek stołeczku rozczochną i bezzębną staruchę. Jej twarz pokryta była setkami głębokich zmarszczek, lecz oczy świeciły gorącym blaskiem.

Matka Lurrie była bardzo stara i pochodziła z rodu czarownic. Jej prababkę na rynku w Edynburgu ugotowano za czary we wrzącym oleju, a babkę obwieszono za te same zbrodnie na rozstajnych drogach. O jej matce zaś powiadano, że przed laty, w wigilię dnia Wszystkich Świętych porwały ją diabły z karczmy, gdzie tańcowała i piła gorzałkę, i żywcem zaniósły ją do piekła. Stara Lurrie mieszkała wśród wrzosowisk na odludziu i także zajmowała się czarną sztuką. Ludzie się jej bali i gdy ktoś po zmierzchu głośno wypomniał imię wiedźmy, co bardziej ostrożni zerkali bojaźliwie za siebie, soplawali przesądnie przez lewe ramię i chyłkiem wykonywali palcami znaki tajemne, które miały chronić od uroków.

Ludziska bali się więc matki Lurrie, ale zdarzało się, że niektórzy nawiedzali ją tajemnie. Ogólnie było wiadomo, że matka Lurrie warzy mocne zioła, które pozwalają nieostrożnym dziewczuchom pozbyć się zbrodniczym sposobem owoców ich grzesznych miłostek, potrafi przepowiadać przyszłość i uczy, jak trzeba rzucać złe uroki na tych, których się nienawidzi...

Na widok przybysza matka Lurrie poruszyła się niespokojnie i zaskrzeczała grzechotliwie:

– Witaj, McCullan! Rozsiądź się i powiadaj mi, po coś tu przyszedł!

Stary Joseph przysiadł na stołku w pobliżu ognia i ostrożnie wyciągnął w jego stronę nogę, którą mu paliła podagra. Skrzywił się przy tym, jakby się octu napił, syknął z bólu i zaklął paskudnie. A potem spojrzął na wiedźmę i powiedział:

– Pytasz, po com tu przyszedł? Ty wiesz, Lurrie, po co. Zjawiłem się, bo czas już nadszedł...

Wiedźma znowu drgnęła, a oczy jej rozbłyły złośliwie. Zapytała:

– Nowy dziedzic już więc przyjechał?

– Dzisiaj przyjechał, Lurrie... Sam widziałem tego niegodnego bękarta, tak jak ciebie teraz oglądam. Nadszedł więc czas, abyś spełniła swoje obietnice...

– McCullan! Przyniosłeś ty mi godziwą zapłatę?

– Patrz, wiedźmo! – stary wyciągnął zza pazuchy spory skórzany woreczek, a gdy nim potrząsnął, wewnątrz szałasu wypełnił metaliczny brzęk. – To złoto, Lurrie... Wszystko com przez swoje długie życie odłożył. I ten woreczek będzie twój, jeżeli tylko spełnisz, coś obiecała!

– Już jest mój, McCullan! – zaśmiała się wiedźma. – Zaraz zdradzę ci tajemne sekrety, dzięki którym nasycisz swą zemstę... Ale czy znajdziesz, staruchu, dość odwagi, aby wykonać wszystko, co będzie konieczne? Zastanów się jeszcze, McCullan! Musisz dokonać czynów okropnych... Wielu ludzi na samą myśl o nich pomarłoby ze strachu.

– Nie bój się o mnie, Lurrie – zaśmiał się starzec – nie ma rzeczy, której bym nie zrobił,

aby tylko zgubić przeklętych Mac Phersonów! Mów śmiało, Lurrie! Moje serce nie zadrży z bojaźni!

– Będziesz musiał otworzyć grób, McCullan.

– Nie lękam się tego, wiedźmo!

– Ale to będzie dopiero początek! Potem czekają cię jeszcze straszliwsze prace... i wiele razy odmieni się księżyc, zanim dokonasz dzieła. Musisz być bardzo cierpliwy, McCullan.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba zrobić, Lurrie... Będę cierpliwy jak sam szatan, o którym mówią, że jest mistrzem cierpliwego czekania.

Wiedźma zaniósła się piekielnym chichotem i dorzuciła do ognia pęk chrustu. Buchnął w górę snop iskier, a wewnątrz szałas matki Lurrie wypełnił gryzący dym i zapach spalonego jałowca.

A tymczasem w zamku Haloven Hill na posadzce kamiennej spoczywał bez zmysłów młody dziedzic i dopiero, gdy ustało w zamkowych basztach złowieszcze pohukiwanie puszczyków, a nietoperze spać się pokładły i pierwsze blaski świtu przesaczyły się przez wąskie okno do zamkowej komnaty, ocknął się sir Robert z głębokiego omdlenia.

Podniósł się z posadzki i z ogromnym zdziwieniem rozejrzał się wokół. Nie mógł zrozumieć, dlaczego noc spędził na twardej kamiennej podłodze, a nie w wygodnym łożu zasłanym miękką pościelą.

Na widok budzącego się z odrętwienia pana spod łoża wypełznął wierny pies Medor i przyczołgał się do nóg sir Roberta, skomląc żałośnie. Biedne zwierzę chciało widać przeprosić za to, iż w nocy stchórzywszy haniebnie na widok okropnej mary opuściło swojego pana i pod łożem szukało bezpiecznego schronienia.

Widok psa przypomniał sir Robertowi wypadki ubiegłej nocy. Dreszcz lęku wstrząsnął jego ciałem, a na czoło młodzieńca wystąpiły kropelki zimnego potu. Z sercem nagłą trwogą ściśniętym rozejrzał się dookoła poszukując śladów bytności widma. Ale nie zobaczył niczego.

Długo potem w ogromnym pomieszczeniu rozmyślał z lękiem o okropnym gościu i o straszliwych słowach, jakie od niego usłyszał... I kiedy tak rozważał o tych tajemnicach, u drzwi komnaty rozległo się delikatne pukanie. To stary Douglas przyszedł pokłonić się swemu panu i prosić o rozkazy.

Wierny sługa zauważył już po chwili dziwne roztargnienie i niepokój młodego dziedzica. Dostrzegł też, że jego szlachetna twarz była jeszcze bledsza niż dnia poprzedniego. Zatrząskał się tym stary Douglas, ale zaraz uspokoił się przypuszczeniem, że to może trudy podróży, wzruszenie z powrotu do siedziby przodków i nadmiar krzepkich trunków wypitych w czasie wieczery przez młodzieńca, który nie był widać do nich przyzwyczajony, sprawiły takie skutki.

W pewnej chwili młody dziedzic przerywając niecierpliwie staremu słudze, który zdawał mu sprawę ze swych rozporządzeń wydanych czeladzi i służbie, rzekł:

– Chciałbym ci zadać jedno pytanie, Douglas. I pragnę, byś mi na nie odpowiedział szczerze oraz bez żadnych wykrętów. Brzydzą się kłamstwem, Douglas!

– Ach, mój ty panie miłościwy! – zawołał stary sługa. – Jakże bym ja śmiał kłamać waszej miłości! Boli mnie takie posądzenie, sir... Pytaj, a odpowiem ci na wszelkie pytania, na które tylko znam odpowiedź...

– A więc dobrze, Douglas. Posłuchaj uważnie. Kiedy byłem w Niemczech słyszałem, że każdy z tamtejszych zamków rycerskich nad Renem czy też w dzikich górach Szwarcwaldu gości w swoich prastarych murach jakowąś zjawę czy upiora. Raz jest to rycerz w czarnej zbroi przemierzający o północy na karym koniu blanki zamku, innym razem czarna dziewczica spowita całunem, a kiedy indziej znowu okropne widmo mnicha podzwaniające łańcuchami. A i w naszej Szkocji też słyszało się wiele o duchach i upiorach... Powiedz mi szczerze, Douglas, jest-li w moim zamku jakieś widmo okropne, jakaś mara piekielna snująca się wśród komnat i krużganków?

Stary Douglas uśmiechnął się lekko i obrzuciwszy swego pana dobrotliwym spojrzeniem,

powiedział:

– Słyszałem, sir, że modne są teraz w świecie księgi zawierające straszliwe opowieści o upiorach i dziwach tajemnych. Mówił mi o tym nasz pleban, człek wielce uczony, który jeździ często do Edynburga i kupuje sobie książki. I ty, mój panie, jako człowiek wielce uczony, musiałeś czytać owe modne dzieła, zwłaszcza że, jak mówił pleban, w Niemczech, gdzieś bywał tak długo, szczególnie wiele ich się drukuje. Pewnie chciałbyś, sir, aby baśnie z nich spisane okazały się prawdą i byś sam na własne oczy mógł zobaczyć owe straszliwe monstra, o których piszą dzisiejsi autorzy... Niestety, sir. Muszę was rozczarować, panie. Żyję w tym zamku już lat prawie sześćdziesiąt i znam wszystkie jego zakamarki i tajemnice. Są w Haloven Hill lochy przepastne, krużganki, baszty i wykusze. Są i tajne przejścia, a nawet i skrytki tajemne. Ale krom twojej wiernej służby, psów, kotów, myszy, szczurów, nietoperzy i puszczków, co się gnieźdzą na basztach, nie ma tu nikogo. Nie ma duchów, larw i upiorów w twoim zamku i nigdy ich tu nie było. Zapewniam cię, panie, że nikt nigdy o żadnym widmie w tym zamku nie słyszał. I nie dziw się temu, sir. Duchy pokutne pojawiają się tam tylko, gdzie kiedyś pleniła się zbrodnia i grzech śmiertelny. Tymczasem Haloven Hill od stuleci był gniazdem najpiękniejszych cnót rycerskich... Czasami zdarzało się, że któryś z Mac Phersonów zgrzeszył może zbyt zapałczywością, ale nie było wśród nich nikogo, kto winny był zdrady wobec Boga, króla i honoru rycerskiego. Wśród ludzi, którzy żyli w tych murach, nie było zbrodniarza tak straszliwymi winami obciążonego, aby musiał po śmierci pokutować w postaci ohydnej mary czy upiora.

Stary sługa rzekł to wszystko głosem poważnym i pełnym wiary w prawdę wypowiedianych słów.

Sir Robert uważnie wysłuchał Douglasa, a potem odprawił go od siebie i znowu pogрузzył się w rozmyślaniach. Pamiętał wprawdzie doskonale nocne widmo i straszliwe wieszczby, które odeń usłyszał, niezatartym śladem wryły się w jego pamięć, lecz słowa starego sługi sprawiły, że począł wątpić w świadectwo swych zmysłów. Pomyślał, że, być może, pałac lulkę przy kominie, zasnął znużony podróżą i mocnym winem wypitym w nadmiarze i został nawiedzony przez senne zmory...

Przypomniał sobie przy tym uczone wywody pewnego starego medyka z Getyngi, zapalonego wyznawcy zeszlowiecznych zgubnych libertyńskich teorii, według których człowiek jest tylko pozbawioną ducha precyzyjną machiną podobną do skomplikowanego zegara. Medyk ten utrzymywał, że wszystkie złe sny są li tylko wynikiem oddziaływania na ludzką maszynę najrozmaitszych zakłóceń, takich jak chłód, gorąco, wilgoć, nadmiar trunków i zbyt przpełniony żołądek...

Trochę pocieszony tymi przypomnieniami, ale w swoim sercu nadal jeszcze niespokojny, sir Robert wyszedł z komnaty i po śniadaniu, które zaledwie zdołał z wielką niechęcią przełknąć, kazał konia sobie kulbaczyć i wyruszył na przejażdżkę.

Dzień był pochmurny, jesienny. Od strony morza wiał ostry przenikliwy wiatr, na deszcz się zanosilo, ale przejażdżka sprawiła, że stan ducha młodego dziedzica znakomicie się poprawił. Już od wczesnego dzieciństwa z siodłem zżyty, ukochał konne jazdy po porośniętych wrzosami pagórkach, na których piętrzyły się tajemnicze, granitowe budowle dolmenów i menhirów, przywodzące na myśl prastare klechdy i opowieści o olbrzymach.

W czasie nauki w niemieckich uniwersytetach sir Robert przykładał się do książek i nieczęsto jeździł wierzchem. Teraz więc, gdy po tylu latach wreszcie poczuł siodło pod sobą, a na twarzy podmuchy słonego wiatru wiejącego od morza, zapomniał prawie o nocnych zdarzeniach i cały oddał się rozkoszy pędu na ognistym rumaku. Lekko pobudzając wierzchowca ostrogą, sadził przez bezkresne wrzosowiska widząc na horyzoncie dalekie zarysy zielonych, dzikich gór, a nad sobą kłębowisko niskich, potarganych wiatrem obłoków. Pędził tak czas jakiś, upajając się swym lotem, nie wybierając ani celu, ani kierunku galopu.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, jego rozpedzony koń stanął w miejscu, zarywając kopytami we wrzosowisko. Zdziwiony sir Robert chciał poderwać rumaka do ponownego

biegu, ale wierzchowiec do tej pory tak posłuszny i doskonale ułożony odmówił wykonania rozkazu. Na nic się zdały polecenia wydawane głosem stanowczym, na nic szarpnięcia cugli, bodźce ostrogami i szpicrutą. Czarny rumak prychał i rżał rozpaczliwie, odrzucał głowę do tyłu, unosił w górę przednie kopyta, jakby szykował się do skoku, lecz zaraz opuszczał je z powrotem i grzebał nimi we wrzosach, drżąc nerwowo.

Sir Robert spostrzegł, że stanęli u stóp porośniętego gęsto jałowcami pagórka, na którego wierzchołku wyrastał stary, na pół uschnięty samotny dąb. Jego rozcapierzone, przywodzące na myśl wijące się węże, gałęzie gięły się targane podmuchami wichury. Nad drzewem krążyło gęsto stado kruków, wron i gawronów, a wiatr przynosił do uszu młodego dziedzica ich złowieszcze krakanie.

Sir Robert nie mógł pojąć, czego przestraszył się jego wierzchowiec i czemu rozkrzyczane czarne ptaszyska kołują tak uporczywie nad dębem i nie próbują nawet przysiąść na jego gałęziach. Zaciekawiony, zręcznie zeskoczył z rumaka i ściskając w rękę szpicrutę, ruszył w kierunku tajemniczego wzgórza. Odnalazł wąską, krętą ścieżynę wijącą się wśród gęstych i wysokich krzaków jałowca i poszedł nią w górę. Już po chwili znalazł się pod omszałym dębem, a krakanie czarnych ptaków, kołujących teraz tuż nad jego głową, wydało mu się jeszcze bardziej donośne i przeraźliwe. U stóp dębu dostrzegł młody dziedzic porośniętą bujną i soczystą trawą mogiłę. Nie było na niej krzyża, tylko pokryty liszajami zielonych mchów wielki kamień nagrobny, na którym odczytać można było napis wyryty starodawnymi literami:

*Tu leży
Panna Muriel
zgasła w szesnastej wiosnie życia
jako
nieszczęsna ofiara
gwałtu i zbrodni
niech dobry Bóg
wybaczy jej grzechy*

Nieoczekiwany dreszcz niedobrego przeczucia przeniknął sir Roberta, gdy odczytywał te słowa. Zbladł straszliwie, zimny pot zrosił mu czoło, a serce ścisnął niezrozumiały lęk.

To dziwne jego pomieszanie zmieniło się w przerażenie, gdy za plecami swymi, wśród szumu wichru i krakania kołującego ptactwa, usłyszał nagle piekielny, zjadliwy chichot.

Sir Robert pochodził jednak z rodu sławnych rycerzy, którzy nigdy nie okazywali strachu, więc zagrała w nim stara szlachecka krew. Śmiało odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał doń ten dźwięk przerażający. W pobliżu zobaczył siwowłosego starca. Stał on wsparty o łopatę i zanosił się piekielnym chichotem. Obok nóg jego leżał wypchany czymś węzełek. Oczy starca płonęły ogniem piekielnej nienawiści.

Młody dziedzic, przezwyciężając pomieszanie, śmiało zapytał:

– Kim jesteś, starcze, i dlaczego śmiejesz się ze mnie?

Starzec zaprzestał chichotu. Wpatrując się z dziką wściekłością w młodzieńca, mocniej ścisnął trzonek łopaty i zasyczał:

– Do usług pana dziedzica! Stary Joseph McCullan ofiarowuje ci swoje służby... Czekałem cierpliwie na wasz przyjazd, panie. Wiele lat czekałem.

– Nie znam cię, starcze. Nigdy nie słyszałem twojego nazwiska...

– Ale ja za to dobrze cię znam, ostatni z Mac Phersonów! Czyś przyszedł na jej mogiłę, aby się z niej naigrywać? Bądź przeklęty, ty diabelski pomiole! Niech cię piekło pochłonie, synu diabła i wnuku Belzebuba! Niech twoje przekłete imię na zawsze zostanie zapomniane!

Nie wiedzieć, co większe było, gniew czy zdumienie sir Roberta! Słyszac te obłędne

złorzeczenia, których znieść spokojnie nie potrafił żaden z Mac Phersonów, zawrzał słusznym gniewem. Krew mu uderzyła do głowy i wzniosł do góry trzymaną w rękę szpicrutę. Nie uderzył jednak. Zdziwienie okazało się silniejsze i obezwładniło jego siły... Nie mógł zrozumieć, dlaczego ten siwowłosy, stojący nad grobem starzec, którego, mógłby przysiąc, nigdy na oczy nie oglądał, tak straszliwie mu złorzeczy. I pomyślał sir Robert, że z pewnością staruszek ten to jakiś niespełna rozumu włóczęga, który nie wie, co czyni. Na myśl tę zawstydził się swojego uniesienia, które sprawiło, że o mało nie uderzył nieszczęśnika szpicrutą.

Wzruszył więc tylko ramionami, uśmiechnął się łagodnie i oddalił od mogiły pod dębem. Kiedy odchodził wąską ścieżką wiodącą wśród gęstwy jałowców, goniły go jeszcze pełne szaleńczej nienawiści przekleństwa miotane przez starca.

To dziwne spotkanie zapadło jednak głęboko w pamięć młodego dziedzica. Gdy więc następnego dnia rozmawiał ze swym wiernym Douglasem, opowiedział mu o tym, co się wydarzyło i zapytał, czy stary sługa nie mógłby go objaśnić, kim był ten rozwścieczony starzec i czyją to mogiłę znalazł na wzgórzu pod samotnym dębem.

Douglas skrzywił się niechętnie i parsknął gniewnie:

– Ten wściekły starzec to Joseph McCullan, ostatni z rodu tych drapichrustów... Szkoda, sir, że nie potraktowałeś go jak należało... Temu łajdakowi powinno się spuścić solidne baty! Od lat włóczy się po okolicy i opowiada wyssane z brudnego palca oszczercze historie o Mac Phersonach... Wszyscy tu znają Josepha i nikt mu nie uwierzy nawet na jednego pensa... A ta samotna mogiła, panie, to grób samobójczyni. Muriel McCullan przed stu laty zadała sobie śmierć haniebną i obwiesiła się na tym dębie, nie bacząc na to, że była przy nadziei... To straszny grzech, panie... Chciałeś, sir, słyszeć o duchach i upiorach. Nie masz duchów w zamku Mac Phersonów, ale nie radzę wam, panie, chodzić nocą koło tamtej przeklętej mogiły. Ludziska bajają, że tam straszy, i to mocno... To właśnie z przyczyny tej ładacznicy McCullanowie od stu lat oczerniają Mac Phersonów, a i ten stojący już jedną nogą w grobie łajdak Joseph, zamiast myśleć o sądzie ostatecznym, strzępi swój jęzor po wszystkich karczmach w okolicy, opowiadając plugawe brednie... Ale nie warto się nim przejmować, sir. Któż tam by zwracał uwagę na bezsilne naszczekiwanie nędznych psów...

– Powiedz mi, Douglasie, co ów McCullan opowiada przeciwko mojej rodzinie?

– Nie chcę o tym mówić, sir. Te ohydne oszczerstwa chyba mi nawet nie przeszły przez usta...

– Rozkazuję ci mówić, Douglas. Chcę znać prawdę!

– Prawdę, sir? Prawda jest prosta i oczywista. Muriel McCullan była jawnogrzesznicą. Łajdaczyła się ze wszystkimi chłopakami z całej okolicy. Ale szelma była podobno gładką dziwką. Wasz pradziad, panie, sir Jonathan Mac Pherson był dzielnym rycerzem i prawym jakobitą, ale jak wielu z Mac Phersonów miał krew gorącą i nie opędał się od dziewczuch. Może i rzeczywiście kiedyś zdarzyło mu się uszczypnąć tę Muriel raz i drugi... Ale nic więcej! Sir Jonathan był człowiekiem honoru... Pewnego jesiennego dnia ta ładacznica obwiesiła się na dębie, pod którym ją potem bez księdza pochowano. Wszyscy we wsi wiedzieli, że była przy nadziei. A kiedy diabli wzięli już do piekła jej plugawą duszę, ci przekłeci McCullanowie uknuli straszną intrygę. Byli dzierzawcami waszego pradziada, sir, i pewnie chodziło im o to, aby nie musieli płacić należnej tenuty. Diabeł ich pewnie podkusił, piekielników! Zaczęli lamentować i rozgłaszać wszem i wobec, że ta ładacznica Muriel była czystą dziewicą, pragnącą jako mniszka poświęcić się służbie bożej. I wymyślili sobie, że wasz pradziad, sir, zniewolił ją siłą po pijanemu, a potem wydał na rozpustę swoim równie pijanym jak on sam kompanom. Ona ponoć nie mogąc znieść swej hańby i widząc, że gwałt jej zadany mieć będzie swoje naturalne skutki za dziewięć miesięcy, powiesiła się z rozpacz...

Wasz pradziad, sir, gdy do uszu jego doszły te niegodne oszczerstwa, uniósł się słusznym gniewem. Kazał McCullanów wygnąć z dzierzawy, dom ich spalić, a oszczerców wybatożyć pod pręgierzem. Stary McCullan jakoś nie przeżył tego batożenia, a jego dwaj synowie, bracia Muriel, zaprzysięgli zemstę. W pierwszą rocznicę śmierci siostry spróbowali świętokradczo

targnąć się na życie waszego pradziada. Z bożą pomocą wasz pradziad, panie, wyszedł cało z tej opresji. Złoczyńcy zaś zostali przykładnie ukarani. Starszego brata powieszono na rozstajnych drogach, a młodszego w przyływie łaskawości sir Jonathan raczył ułaskawić i szubienicę zamieniono mu na piętnowanie rozpalonym żelazem i galery, z których powrócił po latach dwudziestu. Przed śmiercią zdążył się jeszcze ożenić i spłodzić syna. Ten syn, to właśnie ów łajdak Joseph, któregoś widział przy grobie tej ohydnej ładacznicy...

Stary sługa zamilkł, a widząc, że jego opowieść wywarła na młodym dziedzicu wielkie wrażenie, pokiwał smutno głową i dorzucił po chwili:

– Nie zatruwajcie sobie serca, sir, dawnymi sprawami. Oszczerstwa starego Josepha nie mogą wam zaszkodzić. Ludziska wiedzą, jak to było naprawdę. Miłuję wasz ród, sir, i nie dają wiary wściekłym naszczekiwaniom...

Sir Robert odesłał od siebie starego sługę i pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach. Wspomnienie straszliwego widma na nowo odżyło w jego pamięci. Po tym, co usłyszał od starego sługi, zaczął wątpić, czy upiór, który go nawiedził, był li tylko snem marnym... Paląc lulkę przy kominie i wsłuchując się w dobiegające zza okna zawodzenia wichury i pojękiwania puszczyków na basztach, rozmyślał o tym, co mu się dotychczas w Haloven Hill przydarzyło, a w sercu młodzieńca rodził się obezwładniający lęk...

Mijały dni, tygodnie i miesiące. Chłodną wiosnę zastąpiło krótkie północne lato, które z kolei przemieniło się szybko w zasnutą mgłami jesień. Zakwitły liliowo wrzosowiska, a liście na drzewach przybrały najrozmaitsze odcienie brązu, żółci i purpury. Dni stawały się coraz krótsze, a rankami na wrzosowiskach pojawiać się zaczęły siwe pasemka szronu.

Życie w zamku toczyło się powoli i jednostajnie. Młody dziedzic codziennie rano wysłuchiwał, co o sprawach gospodarskich donosił mu stary Douglas i wydawał stosowne polecenia, stosując się zresztą zwykle do rad starego sługi, potem wyruszał na konne przejażdżki po wrzosowiskach lub ze strzelbą szedł strzelać ptactwo nad jeziorem. Ale smutny był, roztargniony i widać było, że serce gnębi mu jakaś troska.

Uczta, jaką wydano na zamku w dniu jego powitania, była ostatnim takim radosnym zgromadzeniem w tych starodawnych murach. Młody dziedzic żył bowiem jak odludek. Nie zapraszał gości, nie jeździł do nikogo z sąsiadów w odwiedziny. Wyraźnie unikał ludzi. Nawet z wiernym Douglasem rozmawiał tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Stary sługa, który chłonał każde słowo swego pana i rozkochanym wzrokiem śledził wszystkie drgnienia malujące się na jego szlachetnej twarzy, w mig pojął, że młodego dziedzica coś dręczy. Frasował się bardzo swoim odkryciem... Nie tak wyobrażał sobie bowiem stary sługa powrót młodego dziedzica do starodawnej siedziby przodków... Marzyło mu się, że zamek stanie się miejscem ciągłej wesołości i zabawy, jak to nieraz za dawnych czasów bywało. Wyobrażał sobie, że zamkowa sień rozbrzmiewać będzie skocznymi dźwiękami kobz i hucznymi wiwatami, że nastanie czas świetnych polowań, wesołych uczt i radosnych zabaw... Spodziewał się, że młody pan szybko ożeni się z jakąś piękną dziewczyną, która szybko urodzi mu wielu krzepkich i zdrowych synów, a stary sługa uczyć ich mógł będzie jazdy konnej, tropienia lisów i trudnej sztuki władania strzelbą. Ze smutkiem zrozumiał stary Douglas, że nic nie wskazuje na to, aby te jego najskrytsze, najgorętsze marzenia miały spełnić się prędko...

Nie raz i nie dwa zamyślał stary sługa spytać się swego pana, co go tak trapi i czemu młody dziedzic stroni od ludzi, od wesołości i zabaw... Ale nigdy nie śmiał tego uczynić, mimo że znał sir Roberta od malutkiego dziecka i widział, jak młody panicz stawiał pierwsze jeszcze chwiejne kroczki, prowadzony za drobną rączkę przez wierną piastunkę. Zbyt wielki był szacunek, jaki żywił stary Douglas dla kogoś, kto nosi święte nazwisko Mac Phersonów, aby ośmielił się go nagabywać w sprawach, o których młody dziedzic sam nie raczył niczego powiedzieć...

Przyczynę dziwnego zachowania sir Roberta upatrywał stary sługa w zbędnej nauce, która obciążała umysł młodzieńca w ciągu lat studiów na niemieckich uniwersytetach... I po trosze odczuwał nawet Douglas żal do ojca sir Roberta, który ulegając nowomodnym

obyczajom wysłał syna do szkół zagranicznych... Hej! Nie tak dawniej bywało – rozmyślał stary Douglas. – Nie tak drzewiej bywało! Nikt nie zaprzętał sobie wtedy głowy zbędnymi książkowymi mądrościami... Dla prawego szlachcica wystarczało, żeby umiał czytać, pisać, a i bez tego od biedy mógł się on obejść. Najważniejsze, aby szlachcic był szczerym jakobitą, dbał należycie o honor rycerski, dobrze trzymał się na koniu i umiał sprawnie kłuć szpadą...

Przypuszczał też stary sługa, że w zachowaniu młodego dziedzica zaszłaby może zmiana, gdyby spotkał on jakąś piękną pannę, której uroda i obyczaje przypadłyby mu do serca... Nie wątpił Douglas, że w takim przypadku odezwałaby się w młodym dziedzicu gorąca krew Mac Phersonów i wkrótce na zamku pojawiłaby się jednak młoda pani, a w niewiele czasu potem rozległoby się pewnie z kolebki kwilenie dziecięcia...

W naiwnej chytróści staruszek w rozmowach ze swoim panem często opowiadał mu o wielkich zaletach córek okolicznej szlachty. Wychwalał pod niebiosa ich obyczaje i urodę i pilnie baczyl, czy na bladej, zmęczonej twarzy sir Roberta nie odmaluje się cień choćby jakiegoś zainteresowania... Ale nic z tego... Młody dziedzic jakby nie słyszał opowieści Douglasa. Nie zadawał o te panny żadnych pytań i nie przejawiał najmniejszej chęci zawarcia z nimi znajomości.

Trapił się tedy starzec tą sytuacją i coraz częściej, aby uśmierzyć gryzące go troski, wymykał się wieczorami do oberży na rozstajnych drogach, gdzie grzejąc się przy kominie i słuchając kobziarzy topił swój smutek w jałowcówce.

Nadszedł wieczór wigilii dnia Wszystkich Świętych. Tego wieczoru, jak Szkocja długa i szeroka, chłopacy wśród dzikich okrzyków palili wypełnione uwiędłymi liśćmi uplecione z trzciny i słomy kukły, a kładąc się na spoczynek wieśniacy stawiali na stołach specjalnie na tę okazję upieczone placki i szklanice napelnione winem, przeznaczone dla zmarłych przodków, których duchy wracają tej nocy do miejsc, w których żyli i umarli. Wokół komina posypywano też piasek, aby rankiem odcyfrować na nim odbicia stóp duchów, które przy wygasającym żarze grzały swe zlodowaciałe od grobowego chłodu członki.

W ten właśnie wieczór stary Douglas odwiedził oberżę na rozstajnych drogach. Wypił dzban piwa i kwaterkę jałowcówki, pogwarzył o minionych czasach z innymi starcami i powspominał przyjaciół, którzy już dawno odeszli z tego świata. A gdy późno się już zrobiło, pożegnał stary Douglas kompanów i ruszył do domu. Było ciemno jak oko wykol, ciężkie chmury przesłaniały księżyc i gwiazdy, a jesienny wicher ciął deszczem wyjąć przenikliwie i ponuro, niby stado zgłodniałych ludzkiej krwi wilkołaków. Stary Douglas, smagany uderzeniami porywistej wichury, kulił się pod swoją kapotą i żwawo pospieszał błotnistym gościńcem prowadzącym do zamku.

Nagle zwidziało się starcowi, że w ciemności coś przed nim tajemniczo majaczy. W tej samej prawie chwili, zza rozgonionych przez wichurę chmur, wyjrzał na moment księżyc i w jego trupim blasku zobaczył Douglas na środku gościńca konia pod siodłem, a obok rumaka jakąś postać z wodzami w ręku. Księżyc skrył się za chmury równie niespodziewanie, jak uprzednio pokazał swoją tarczę, i Douglas zdążył tylko zauważyć, że postać ta, raczej wzrostu niewielkiego, odziana jest w ciemną pelerynę z kapturem.

Zdumiał się Douglas, bo zrozumieć nie potrafił, kto może w taką pogodę zdążać gościńcem wiodącym do zamku Haloven Hill, i jednocześnie poczuł starzec nagle, że w jego sercu zapala się zimny płomyk trwogi...

Ale uspokoił się Douglas, gdy usłyszał głos, którym nieznajomy doń przemówił. Był to cichy, łagodny i pełen niewysłowionej słodczy głos młodej kobiety. Z jego pięknej intonacji i czystości wymowy pojął Douglas, że ma do czynienia nie z wiejską jakąś dziewczyną, lecz z młodą damą.

Postać w czarnej pelerynie rzekła drżącym głosem:

– Starcze, kimkolwiek jesteś, zaklinam cię, pomóż mi... Potrzebuję pomocy.

– I otrzymasz ją, pani – dwornie odrzekł stary Douglas, który niejedno już widział na świecie i potrafił rozmawiać z damami. – Kim jesteś, pani, i jakiej pomocy oczekujesz?

– Moje nazwisko, starcze, nic ci nie powie. Przybyłam tu z bardzo daleka do mego krewnego, który mieszka we dworze w Lohes Hall... Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem, pani. Siedem mil stąd... Ale zadziwiasz mnie, pani, Lohes Hall to stara opuszczona siedziba i nikt tam od lat nie mieszka.

– Mylisz się, starcze. Mój wuj przed kilku miesiącami kupił tę posiadłość i w niej zamieszkał. Musiałeś o tym jeszcze nie słyszeć.

– Możliwe, pani.

– Przyjechałam tu niedawno do mego krewnego na czas jakiś, aby pokrzepić swe delikatne zdrowie wiejskim powietrzem... Dziś w południe wyjechałam jak zwykle na konną przejażdżkę. Nie wiem dlaczego, ale koń nagle się spłoszył i poniósł. Wiele czasu minęło, zanim go zdołałam ujarzmić... Ale straciłam kierunek... Mrok zapadł, a ja już od wielu godzin błąkam się wśród wrzosowisk zgłodniała i zziębnięta... Obawiam się, starcze, że przypłace tę niefortunną przygodę ciężką chorobą. Dreszcze straszliwe zaczynają mną wstrząsać i czuję też, jak mnie pali zła gorączka... Nie wiem, co mam robić, starcze.

– Uspokój się, pani! Twe kłopoty już się skończyły... Zaprowadzę cię do zamku mego pana, gdzie znajdziesz schronienie, godziwą wieczerzę, ogień na kominku, suchą odzież i wszystko, co niezbędne dla młodej damy.

I zaprowadził Douglas nieznajomą do zamku w Haloven Hill. A kiedy w świetle rzucanym przez latarnię, którą trzymał w ręku sługa rozwierający zamkowe wrota, ujrzał Douglas jej twarz wyłaniającą się spod ciemnego kaptura, zdumiał się starzec niezwykłą pięknnością młodej damy. Oblicze miała powabne, cerę białą jak śnieg, okraszoną delikatnymi rumieńcami, nosk kształtny, usta słodkie i foremne, brew pięknie wyrysowaną, a oczy wielkie i ciemne. Spod kaptura wyłaniały się długie, niezwykle jasne włosy, puszyste i piękne.

Jej uroda w połączeniu z mniemaniem, jakie z dotychczasowej rozmowy z nią Douglas wyniósł, iż dama ta jest osobą dobrze urodzoną, wychowaną i nadzwyczaj rezolutną, sprawiły, że stary sługa pomyślał z rozrzewnieniem, że taką właśnie kobietę chciałby widzieć jako panią zamku, małżonkę młodego dziedzica i szczęśliwą matkę jego dzieci... Ach, jaka piękna byłaby to para! – myślał z rozrzewnieniem, kiedy spoglądał na nich oboje, gdy młody dziedzic, zawiadomiony o przybyciu niespodziewanego gościa, zszedł do zamkowej sieni, aby witać piękną amazonkę.

Po krótkiej chwili stary sługa z radością zauważył, że uroda i słodki wdzięk bijący z postaci nieznajomej wywarły wielkie wrażenie także i na młodym dziedzicu. To, czego nie mogły sprawić codzienne opowieści Douglasa o zaletach i urodzie posażnych panien z sąsiedztwa, zdziałał w jednej chwili urok pięknej nieznajomej. Pełne gorzkiej melancholii pomieszanie zniknęło bez śladu z twarzy sir Roberta, oczy jego nabrały blasku, a lica młodzieńca okraślił rumieniec...

Stary sługa zrozumiał, że w młodym dziedzicu zagrała wreszcie krew Mac Phersonów, której żar wydawał mu się chwilowo stłumiony latami bezpotrzebnej nauki. Miał starzec nadzieję, że jeżeli się nawet okaże, iż nieznajoma, o której przecież nie wiedział niczego, nie okaże się godną zostać towarzyszką życia sir Roberta i matką nowych pokoleń Mac Phersonów, to jednak przemiana, jaka zaszła w młodym dziedzicu, pozostanie trwałą, gorąca krew Mac Phersonów nie da się już przytłumić i sir Robert wkrótce znajdzie dla siebie odpowiednią małżonkę.

Kazał Douglas podać wieczerzę dla tajemniczego gościa w zamkowej sieni, gdzie na kominie rozpalono wielki ogień. Stary Douglas obsługiwał sam młodą parę pogrążoną w dwornej rozmowie. Nalewał wino do kielichów i kroił mięso, a przez cały czas serce jego tajało z rozkoszy, gdy widział, jak jego młody pan z coraz większym zapałem bawi rozmową jasnowłosą nieznajomą.

Kiedy wypito już wino i zjedzono zimne mięsa, które Douglas podał na najpiękniejszej srebrnej zastawie, używanej w zamku tylko od wielkiego święta, piękna nieznajoma, stwierdziwszy, że jej odzież wyschła już zupełnie w ciepłe bijącym od trzaskających wesołym

ogniem ogromnych kłód płonących na kominie, powiedziała:

– Pięknie wam dziękuję, panie, żeście mnie w swoim zamku nakarmili i ogrzali. Jestem wam wdzięczna za wszystko, ale nie mogę już dłużej nadużywać waszej gościnności. Zapewne i rumak mój także wypoczął w suchej i ciepłej stajni przy pełnym żłobie. Więc już go dosiądę i wyruszę w drogę do mego wuja. Bądźcie mi, panie, łaskawi wskazać kierunek podróży.

Przeogromne zdziwienie odmalowało się na obliczu sir Roberta.

– Czy mnie, pani, uszy przypadkiem nie mylą? Chcesz więc już opuścić mój dom? Czym się ja nie przesłyszała?! Kazałem dla Was przygotować najwygodniejszy pokój gościnny, w którym napalono już w kominie... Nie myśl, pani, o odjeździe... a jeśli pragniesz zażegnać niepokój wuja, to pchnę natychmiast umyślnego do Lohes Hall. Popędzi tam co koń wyskoczy z wieścią, żeś pani zdrowa, bezpieczna i jutro powrócisz. Nie myśl, pani, o wyjeździe.

Piękna nieznajoma uśmiechnęła się słodko:

– Muszę wyjechać, panie. I to nie mitrząc czasu już więcej. Nie proś mnie, bym pozostała. Jest to niemożliwe, mój panie.

– Niepodobne jest, pani, abyś wyjechała! – wykrzyknął sir Robert z ogromnym zapałem.

– Przenigdy się na to nie zgodzę!

Uśmiech znikł bez śladu z bladej twarzy nieznajomej. Zmarszczyła lekko piękne brwi i zapytała poważnym głosem:

– Czyżbym stała się waszym więźniem, o panie?

Młody dziedzic zmieszał się, słysząc to pytanie i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Źleś mnie, pani, zrozumiała. Jesteś panią swojej woli i odejść możesz choćby w tej chwili, lecz błagam cię, pani, nie czyn tego. Na dworze deszcz, zimno i wichura, a droga daleka. Ponownie ją zmylisz, o pani. Nie gardź więc moją gościnną i zaklinam cię na wszystkie świętości, pozostań.

– To nie jest możliwe, panie. Oszczędź mi więc próśb. Nie nalegaj. Muszę cię opuścić.

– Dlaczego, pani? Cóż jest tego przyczyną?

– Powiem ci, panie. Dbałość o cześć niewieścią nie zezwala mi na spędzenie nocy w domu obcego mężczyzny. Czułabym się pohańbiona takim postępkim.

Rumieniec oblał lica młodzieńca. Sir Robert wykrzyknął z gniewnym zdumieniem:

– Obrażasz mnie, pani! Czym ja na to sobie zasłużył? Przysięgam ci na swój honor, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. W zamku Mac Phersonów nic nie grozi żadnej dziewczycy.

Blady, szyderczy jakby uśmiech przewinał się po ustach nieznajomej, ale nie podjęła słów sir Roberta i nie próbowała podać ich w wątpliwość. Nadal trwała jednak w swym niezłomnym postanowieniu.

Próżno sir Robert jak najgoręcej przedkładał jej swoje racje, tłumaczył niedogodności i niebezpieczeństwa nocnej podróży. Piękna nieznajoma pozostawała niewzruszoną. A kiedy zrozumiał, że dama z pewnością nie zmieni swych nierozsądnych zamiarów, z mocą oświadczył, że przystanie na nie tylko pod warunkiem, iż dama zgodzi się, by jej w tej nocnej wycieczce towarzyszył, służył za przewodnika i obrońcę.

Piękna nieznajoma łatwo zgodziła się przyjąć jego służby. I już w niewiele minut potem zdumieni słudzy zobaczyli, jak ich dziedzic wyjeżdża z zamku w towarzystwie tajemniczej amazonki odzianej w czarną pelerynę. W jednej chwili, gdy tylko konie minęły bramę, sylwetki jeźdźców zagubiły się w mroku, a wycie wichury zagłuszyło natychmiast tętent kopyt wierzchowców.

Stary Douglas, który nie był świadkiem odjazdu, gdyż przed końcem wieczery opuścił sięń zamkową, aby doglądać przygotowania noclegu dla nieznajomej, gdy się o nagłym wyjeździe tej pary dowiedział, zdumiał się wielce.

W sercu starego sługi zrodziła się rozterka. Z jednej strony rad był, że młody dziedzic tak łatwo wyzbył się melancholii i z takim zapałem ofiarował swe służby młodej damie, z drugiej jednak zafrasował się o niego. Niepokój jego wzrósł jeszcze, gdy z blanków zamku popatrzył w noc otulającą szczelnym czarnym płaszczem okolicę. Wichura właśnie wzmogła się jeszcze,

a jej wycie przywodziło na myśl jęki potępieńców cierpiących niewypowiedziane katusze piekielnego ognia.

W miarę upływu czasu niepokój o młodego dziedzica coraz mocniej doskwierał staremu słudze. Próżno powtarzał sobie, że sir Robert doskonale zna przecież okolice i z pewnością nie zgubi kierunku nawet w mroku zupełnym i przy takiej piekielnej pogodzie. Próżno zapewniał sam siebie, że okolica jest zupełnie bezpieczna, a w sąsiedztwie od lat już nie widziano ani zbójców, ani niebezpiecznego zwierza, więc nic grozić nie może samotnym podróżnym. Nie minęła jeszcze godzina, a stary Douglas wyłamywał już sobie palce ze straszego niepokoju i zaczynał przeklinać chwilę, w której ofiarował gościnę w zamku spotkanej na drodze damie.

Ale najstraszniejsze było jeszcze przed starcem. Nagle zegar na zamkowej wieży wybijać zaczął północ. Głuche uderzenia przetoczyły się po sklepionych komnatach i wypełniły posępnym dudnieniem zamkowe krużganki i korytarze. A kiedy rozległo się dwunaste, ostatecznie uderzenie, ogień płonący na kominie w sieni zamkowej zaskwierczał straszliwie i z trzaskiem sypnął fontanną miliona iskier, a jednocześnie z okropnym hukiem pękła i rozsypała się w gruzy zwieńczająca sklepienie kamienna tablica z wizerunkiem herbu Mac Phersonów. W tej samej chwili do uszu struchlałego z trwogi starca i wszystkich mieszkańców zamku doleciał przerażający, istic diabelski i szyderczy chichot, dobywający się jakby z samego dna piekieł.

Zamarło serce starego sługi. Te złowrózne znaki sprawiły, że jego okropne przeczucia zmieniły się w straszliwą pewność. Teraz już zrozumiał, że groza i nieszczęście weszły wraz z tajemniczą nieznaną w progi starodawnej siedziby Mac Phersonów. Ale nie stracił głowy wierny sługa. Dobrze wiedział, że jego najświętszym obowiązkiem jest spieszyć z pomocą młodemu dziedzicowi. Skrzyknął więc sługi i domowych, zadbał o to, by zabrali ze sobą broń i latarnie, i dosiadłszy koni całą kawalkadą ruszyli w noc ciemną. Prowadziły ich psy gończe, którym podsunęto pod nosy stare ubranie sir Roberta. Psy z miejsca schwyciły trop i skomlać z podniecenia wiodły ich przez wrzosowiska sobie tylko wiadomym śladem.

Mknęli co koń wyskoczy, a porywy straszliwej wichury targały ich płaszcze, które rozwiewały się za nimi na kształt potwornych, nietoperzowych skrzydeł. I wkrótce znaleźli się w pobliżu porośniętego jałowcami wzgórza, na którym wyrastał samotny dąb. W zimnym blasku księżyca, który właśnie wysunął zza rozgonionych piekielną wichurą chmur swą srebrzystą tarczę, ujrzeli to drzewo. Jego bezlistne, mokre i poskręcane w fantasmagoryczne zawijasy gałęzie gięły się targane podmuchami wściekłego huraganu.

Douglas poznał miejsce przekłete i serce mu zamarło ze zgrozy. Psy skomlać przeraźliwie rwały się na uwężiach. Ścieżka wiodąca na szczyt wzgórza biegła wśród splątanych i gęstych jałowców. Była kręta i wąziutka, więc musieli zsiąść z koni, które poczęły prychać trwożliwie i grzebać kopytami. Pod przewodem starego Douglasa z zapalonymi latarniami w rękach, gnani złowróbnym przeczuciem wspinali się na wzgórze. Już wkrótce stanęli u stóp dębu. I tu w upiornym blasku księżyca i migotliwym świetle rzucanym przez latarnie ich przerażonym oczom ukazał się widok okropny, którego groza sprawiła, że zimne łapy lodowatego strachu zacisnęły się na ich sercach.

Znaleźli swojego pana.

Leżał obok samotnej mogiły. Był martwy. Jego szlachetne oblicze wykrzywił wyraz obłądnego lęku, który także odmalował się w jego szeroko rozwartych oczach. Na odsłoniętej szyi młodego dziedzica ujrzeli ogromną krwawą ranę. Ale czekał ich widok jeszcze okropniejszy. Samotna mogiła była rozkopana. Zajrzeli do jej wnętrza świecąc sobie latarniami. W grobowym dole dostrzegli rozwartą trumnę ze zbutwiałych desek. Spoczywał w niej poźółkły szkielet odziany w czarną, okrytą pleśnią i pyłem grobowym suknię. Czaszkę szkieletu otulały długie, bardzo długie złociste włosy. Zęby czaszki były wyszczerzone i splamione świeżą krwią, połyskującą niesamowicie w blasku rzucanym przez latarnie.

Na ten widok straszliwy stary Douglas wydał z siebie okropny, pełen niewypowiedzianego bólu i zgrozy. Potem krzyk ten zamienił się w przeciągły, rozdzierający uszy jęk. Stary Douglas osunął się na ziemię i wstrząsany straszliwym szlochom przyczołgał

się do ciała swego pana. Oparł siwą głowę na jego martwej piersi, wykrzyknął jeszcze raz głosem wielkim, w którym były zawarte wszystkie tony najgłębszej rozpacz i zamilkł na zawsze. Pękło serce starego sługi!

Wszyscy obecni skamieniali z bólu i zgrozy, i trwali nieruchomi niby nieme pomniki trwogi i osłupienia. A gdy nagle do zawodzenia wichru dołączył się niesamowity, chrypliwy chichot pełen diabelskiego wręcz triumfu, porażeni strachem rzucili się do bezładnej ucieczki gubiąc po drodze broń i latarnie.

Po chwili nie było już ich na wzgórzu. Księżyc świecił, a diabelski, rechotliwy chichot trwał, potężniał i gnany wichurą rozprzestrzeniał się po okolicznych wrzosowiskach. To śmiał się tak stary Joseph McCullan. Skryty w gęstwinie jałowców był świadkiem wszystkich wydarzeń i jego okrutne serce pławiło się teraz w rozkoszy zaspokojonej zemsty. Śmiał się długo i triumfalnie... Jedną ręką wspierał się na wbitej w ziemię łopacie, w drugiej ściskając flaszkę z diabelskim eliksirem matki Lurie, który przez tyle miesięcy co noc wlewał między zaciśnięte trupe zęby czaszki panny Muriel.

Bob Leman

Pielgrzymka Clifforda M.

Wielu spośród moich kolegów uznało, że mój artykuł zatytułowany *Przypadek Clifforda M.* może, po przełożeniu na bardziej przystępny i pozbawiony specjalistycznych terminów język, zainteresować szeroko rozumianą opinię publiczną. Podjąłem ten trud i chciałbym teraz przedstawić efekty mojej pracy. Z jednej strony nieco rozszerzyłem artykuł, dodając informacje i wyjaśnienia natury biologicznej, których nie było w jego oryginalnej, przeznaczonej dla specjalistów wersji, z drugiej zaś znacznie go skróciłem, rezygnując z zamieszczenia wykresów, tabel i partii tekstu istotnych jedynie dla wąskiego grona fachowców.

Dla zrozumienia przypadku Clifforda M. trzeba przede wszystkim być świadomym sposobu, w jaki rozmnażają się istoty, o których będziemy tutaj mówić. Szeroko rozpowszechniony jest pogląd, że po to, by przedłużyć istnienie gatunku, wampiry muszą doprowadzić w jakiś sposób do tego, by człowiek skosztował ich krwi; potem, gdy człowiek taki umrze, zmartwychwstanie już jako wampir. Tego typu przekonanie należy określić jako czysty przesąd. Ci, którzy umierają w wyniku jednorazowej napaści czy też długotrwałej „eksploatacji” przez wampiry, pozostają już martwi, a poza tym wampiry to ssaki – dosyć specyficznego rodzaju, rzecz jasna – i rodzą się nie inaczej tylko właśnie jak ssaki. Istnieją jednak, co prawda, pewne różnice.

Młode wampiry przychodzą na świat mniej więcej raz na dwieście lat w miotach liczących od ośmiu do dwunastu szczeniąt. Samica ma dziesięć sutek, więc w przypadku liczniejszego miotu najsłabsze szczenięta, które nie są w stanie dopchać się do pokarmu, muszą zginąć. Ci, którzy są choćby pobieżnie odczytani w przedmiocie, przypominają sobie z pewnością, że nikt nigdy nie widział jeszcze dorosłego wampira bez ubrania. Wynika to stąd, że ponieważ wampiry najczęściej udają zwyczajnych ludzi, dodatkowe piersi samicy (jak również dosyć niezwykła budowa genitaliów samca), muszą być starannie ukryte. Na przestrzeni ostatnich lat pojawiły się przeznaczone dla szerszego kręgu czytelników publikacje, z których wynika, że wampiry są jakoby zdolne do mniej lub bardziej normalnego współżycia seksualnego z ludźmi. Jest to, rzecz jasna, całkowicie niemożliwe i opisy tego rodzaju aktów należy uznać wyłącznie za twory wyobraźni.

Nie udało się, jak do tej pory, ustalić dokładnie okresu trwania ciąży, ale jest on z pewnością bardzo długi – może nawet sięgać dziesięciu lat. Młode zaraz po urodzeniu są bardzo małe, ważą z reguły nie więcej niż pół funta i w niczym nie przypominają dorosłych osobników. Można je raczej porównać do wyposażonych w szczątkowe kończyny kijanek czy nie rozwiniętych całkowicie płodów. (Dosyć znaczną popularnością cieszy się teoria, według której wampiry są w odległy sposób spokrewnione z torbaczami). Najbardziej rzucającą się w oczy cechą młodych szczeniąt są ich zęby; mają je już od urodzenia, i to w takiej ilości, że nie sposób ich nie zauważyć. Zaraz po przyjściu na świat pełzną w stronę sutka i przywierają do niego, pozostając tam przez okres dwóch lub więcej lat. Przez ten czas samica odżywia się ludzką krwią przynieszoną jej na ziemię przez samców, wśród których może, ale nie musi być także ojciec potomstwa. Przekazują jej pokarm w identyczny sposób, jak większość gatunków ptaków, karmiących swe już nieco podrośnięte młode – trzeba mieć rzeczywiście odporny żołądek, bo móc myśleć o tym w beznamiętny, chłodny sposób. Warto zwrócić uwagę na fakt, że przez cały czas karmienia młodych samica odżywia się w y ł ą c z n i e ludzką krwią, podczas gdy zazwyczaj wampir potrzebuje tego pożywienia jedynie na co dwunasty posiłek, podczas pozostałych zadowolając się krwią jakiegokolwiek stałocieplnego stworzenia.

Odstawione od piersi szczenięta także przez jakiś czas otrzymują wyłącznie ludzką krew.

Samo odstawienie jest nagłe i przebiega w dość gwałtowny sposób: matka rozwiera siłą użębione szczęki i odpycha młode od siebie. Czyni to jednak bardzo ostrożnie, bowiem ostre zęby usiłują zacisnąć się na czymkolwiek, co tylko znajdzie się w ich zasięgu. Specjalnie na tę okazję samce dostarczają nieprzytomnego człowieka; szczenięta są podsuwane w jego stronę, szczęki wpijają się w ciało i powodowane wrodzonym odruchem młode zaczynają ssać, kosztując po raz pierwszy świeżej ludzkiej krwi i skazując się jednocześnie na, co prawda okresową, ale mającą trwać całe ich życie, od niej zależność.

W tym okresie szczenięta ciągle jeszcze mają nieproporcjonalnie duże głowy i usta, nieproporcjonalnie duże nawet w stosunku do rozmiarów tych głów. Kończyny zdążyły się już niemal całkowicie rozwinąć, ale koordynacja mięśniowa jest jeszcze bardzo słaba, toteż szczenięta, chociaż wyposażone w monstrualne szczęki i potworne zęby, pozostają niemal całkowicie bezbronne. Są pokryte gęstą, czarną sierścią, którą tracą niemal zupełnie w wieku piętnastu lub szesnastu lat; sierść pozostanie jedynie na głowie. (Samce wampirów nie mają żadnego zarostu. Stoker wyposażył Draculę w mały wąsik, ale jest to zaledwie jeden z błędów, jakie możemy odnaleźć w jego pracy.)

Kiedy szczenięta przestaną już ssać, samica przyłącza się do polowań i co noc, niemal aż do świtu, młode zostają same. W przeciwieństwie do dorosłych osobników nie zapadają w trwającą od wschodu do zachodu słońca śpiączkę, tylko stają się nieco bardziej ociężałe i skłonne do czegoś w rodzaju lekkiego letargu. Skłonność ta nasila się z wiekiem. Umiejętność przyjmowania postaci nietoperza lub ogromnej ćmy pojawia się dopiero w okresie młodzieńczym, ale kiedy dokładnie okres ten następuje – nie wiadomo.

Na pierwszy sygnał o istnieniu Clifforda M. natrafiamy w kilku listach, napisanych nieporadnie w latach osiemdziesiątych XIX wieku do narzeczonego przez młodą kobietę nazwiskiem Dulcie Fimber. Obydwoje narzeczeni pochodzili z górskiego okręgu Comber, znajdującego się w pobliżu miejsca, w którym stykają się granice stanów Virginia, Tennessee i Kentucky. Młody człowiek wyjechał do pracy w kopalni, by przez rok zarobić na wybudowanie nowej chaty dla swojej żony, zaś Dulcie pozostała w domu ze swymi rodzicami oraz pokaźną gromadką młodszego rodzeństwa i co tydzień pisała do niego listy.

Znajdujące się w tych listach wzmianki o „małpce Ossiego” niemal na pewno odnoszą się właśnie do Clifforda M. Ossie Fimber był jednym z młodszych braci Dulcie, w owym czasie czternasto- lub piętnastoletnim. Po wypełnieniu kilku luk w naszkicowanej w listach historii i sprawdzeniu niektórych faktów otrzymujemy relację o odkryciu istnienia Clifforda M., która z całą pewnością niewiele różni się od rzeczywistości.

Mały Ossie był włóczęgą i znakomitym myśliwym. Już w wieku jedenastu lat weszło w jego zwyczaj znikanie ze strzelbą w lesie na kilka nawet dni; zawsze wracał z dużą ilością drobnej zwierzyny, która przyczyniała się do urozmaicenia i wzbogacenia posiłków na rodzinnym stole. W miarę jak rósł, te nieobecności stawały się coraz dłuższe, zasięg zaś jego wędrówek odpowiednio się zwiększył, więc jaskinia, którą pewnego dnia odkrył, mogła znajdować się nawet i pięćdziesiąt mil od domostwa rodziców. Samo odkrycie nastąpiło w ten sposób, że kiedy lunął znienacka rześisty, gwałtowny deszcz, chłopiec schronił się pod pobliskim skalnym nawisem. Przy samej ziemi zauważył jakiś otwór; wsadziwszy weń głowę stwierdził, że prowadzi do jaskini. Zapamiętał sobie dokładnie to miejsce i postanowił zbadać ją w drodze powrotnej.

Nie była to jakaś szczególnie skomplikowana czy niebezpieczna jaskinia – w każdym razie ta jej część, którą zdążył poznać. Trudno określić jej wielkość, bowiem kiedy Ossie natrafił na tajemnicze istoty, nie zagłębiał się już dalej. Oświetlając sobie drogę płonąca czerwono pochodnią zsuwał się właśnie ostrożnie w dół skalnym korytarzem, kiedy nagle po prawej stronie, niedaleko od swojej nachylonej twarzy – korytarz był bardzo niski – zobaczył żarzące się niczym małe węgielki oczy. Cofnął się raptownie i zmarł. Oczy nie poruszyły się. Było ich osiem lub dziewięć par. Zbliżył do nich pochodnię; ciągle żadnego ruchu. Nachylił się

ostrożnie nad nimi, oświetlając je dokładnie pochodnią i zamarł ponownie.

Wychował się w górach, był myśliwym i pewne rzeczy wyczuwał po prostu instynktownie. Zdał sobie od razu sprawę z tego, że te stworzenia są jakimiś szczeniętami czy kociećtami, a tam, gdzie były młode, zwykle znajdowała się również matka, gotowa do ich obrony. Stworzenia te ogromnie go zaciekały – nigdy jeszcze nic takiego nie widział – ale niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Zaczął się ostrożnie wycofywać. Ledwie wykonał pierwszy ruch, a osiem czy dziewięć uzbrojonych w potworne zęby szczęk zaczęło kłapać w jego kierunku, czyniąc w zamkniętej skalnymi ścianami przestrzeni niesamowity hałas. W tej samej chwili spostrzegł z przerażeniem, że istoty gramolą się z niszy, w której były skulone i pełzną w jego kierunku. Poruszały się w nieskoordynowany, nieudolny sposób, ale małe czerwone ślepia płonęły bezlitosnym blaskiem, potężne szczęki otwierały się i zamykały, zaś uparty, bezustanny ruch odzwierciedlał, jak mu się wydawało, bezmyślne dążenie do jednego: zęby zatopić straszliwe zęby w jego ciele.

Cofnął się raptownie, a one ruszyły za nim, pełzną po skalnej podłodze i skomlać przeraźliwie. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym korytarz rozszerzał się, sufit zaś znajdował się już dość wysoko, żeby można było swobodnie stanąć. Kiedy wyprostował się i spojrzał z góry na małe istoty, ogarnęła go nagła fala wstrętu i obrzydzenia. Odłożył pochodnię, chwycił oburącz strzelbę i zaczął uderzać z całej siły kolbą; jak długo to trwało, nie mógł sobie przypomnieć, ale kiedy gorączka zabijania minęła, na podłodze jaskini nic już się nie poruszało. Przypomniał sobie wtedy o istnieniu matki, czym prędzej więc chwycił pochodnię i ruszył w kierunku wyjścia.

Korytarz znowu się zwężił, tym razem tak bardzo, że musiał czołgać się na brzuchu. W pewnej chwili poczuł, że coś chwyta go za piętę, ale nie mógł się odwrócić, więc tylko pełzł przed siebie najszybciej, jak tylko potrafił, oczekując, że w każdej chwili chwyć go od tyłu wielkie, bezlitosne zęby.

Wypadł z jaskini prosto w oślepiający blask południowego słońca i odwrócił się, zwracając twarz do zięjącego w skalnej ścianie otworu. Nic. Odetchnął z ulgą i wtedy poczuł, że ciężar u pięty nie zniknął. Spojrzał w dół; jedna z małych istot zatopiła zęby w podeszwie buta, usiłując bezowocnie wyssać z twardej, wyprawionej skóry jakiegoś pożywienie. Wystawiona na światło dzienne zwinęła się w ciasną kulę i zacisnęła powieki, ale nie zwolniła uchwytu. Mogła mieć jakieś dwie stopy długości, była całkowicie pokryta czarną, gęstą sierścią i miała cztery pająkowate kończyny, z których dwie najwyraźniej służyły jako ręce. Ossie zadrżał z obrzydzenia i machnął gwałtownie nogą; bez rezultatu.

Chłopiec stanął przed nie lada problemem: musiał czym prędzej oddalić się od jaskini, bowiem w każdej chwili mogła pojawić się matka szczeniąt, ale przecież nie dałby rady pokonać długiej drogi do domu bez buta, nie bardzo zaś wiedział, jak mógłby go odzyskać. Zęby, które bez żadnego problemu wbiły się w twardą niczym kamień podeszwę, musiały budzić respekt.

Miał ze sobą worek z grubego płótna przeznaczony na drobną zwierzynę, jaką zdarzyłoby mu się upolować. Pomyślał, że może worek posłużyłby mu jako coś w rodzaju ochronnych rękawic, przy użyciu których mógłby pokusić się o odczepienie zwierzęcia od swojego buta.

Czym prędzej wysypał na ziemię wiewiórki i króliki, które niósł do domu i zaczął zastanawiać się nad sposobem takiego zawinięcia worka, żeby mógł w najlepszy sposób go wykorzystać.

Jedna z wiewiórek upadła tuż koło buta; ruchem niemal zbyt szybkim, żeby go dokładnie zaobserwować, tajemnicze stworzenie puściło podeszwę i zatopiło zęby w ciele gryzonia, po czym zamarło w bezruchu. Ossie czym prędzej założył but, rzucił z powrotem do worka upolowaną zwierzynę, a następnie, tknięty jakimś impulsem, za pomocą długiego kija umieścił w nim także wiewiórkę i wczepione w nią stworzenie. Gdyby zaczęło za bardzo rozrabiać, łatwo będzie je mógł zatłuc nie wyjmując z worka, a jeśli pozostanie równie spokojne, jak teraz,

to będzie mógł zbadać je dokładnie w domu. Maszerował całą noc – i całe jego szczęście, bowiem o zachodzie słońca wampiry z pewnością obudziły się i odkryły swoje martwe dzieci.

W chacie znajdowała się klatka, w której trzymano czasem złapane żywcem kuny; Ossie wysypał do niej całą zawartość swego worka i pośpiesznie zamknął drzwiczki. Jego więzień przeniósł się tymczasem na jednego z królików. Z dwóch wiewiórek zostały tylko kosteczki. Odstawione od piersi wampiry mogą już jeść mięso i aż do okresu młodzieńczego stanowi ono podstawę ich diety; potem odżywiają się już niemal wyłącznie krwią, chociaż nie musi to wcale być tylko krew ludzka.

Klatka ta przez kilka lat miała być domem Clifforda M. Przetrwiał do dziś wycinek z miejscowej gazety, noszącej datę o pięć lat późniejszą od znajdującej się na liście, w którym Dulcie po raz pierwszy wspomniała o „małpce Ossiego”. Wycinek ów zawiera wzmiankę zatytułowaną „Dziwne zwierzę na farmie Fimberów”; o więźniu Ossiego wspomina się tam jako o „czymś w rodzaju małpy”. Z lektury tekstu wynika jasno, że Clifford M. zaczął już w tym czasie tracić porastającą jego ciało sierść i że zamiast potężnych, dziecięcych zębów miał już normalne, na pierwszy rzut oka niczym się nie różniące od ludzkich. Na podstawie tych informacji możemy wnioskować, że liczył sobie wówczas koło piętnastu lat. Zamieszczona w gazecie informacja o jego rozmiarach („jest wzrostu pięcioletniego dziecka”), potwierdza te przypuszczenia.

Wkrótce po ukazaniu się tej wzmianki Clifford M. uciekł, odebrawszy życie pierwszej swej ofierze. Pewnego ranka ojciec Ossiego znalazł martwe, jakby wysuszone ciało swego syna leżące koło otwartej, pustej klatki. W tym momencie na okres ponad siedmiu lat Clifford M. znika nam z oczu, można się jednak na podstawie wielu przesłanek domyślać, że prowadzi w tym czasie życie dzikiego zwierzęcia, kryjąc się w gęstych lasach porastających zbocza Appalachów, żywiąc się najróżniejszymi drobnymi istotami i od czasu do czasu – nie sposób, rzecz jasna, stwierdzić jak często – pijąc niezbędną mu do życia ludzką krew.

W roku 1906 ukazała się książka *Dziki chłopiec z okręgu Johnson* (Nowy York, Thomas Colier's Sons), zaś w 1958, w tej samej firmie, jej drugie wydanie pod zmienionym tytułem: *Harry, amerykańskie dzikie dziecko*. Książka, autorstwa wielebnego Llewellyna Crocketta, stanowi relację z procesu przywracania ludzkiemu społeczeństwu dziecka wychowanego albo przez dzikie zwierzęta, albo, co wydaje się równie prawdopodobne, przez nikogo w ogóle.

Grupa myśliwych obozująca w lesie na jesieni 1898 roku schwyciła dzikiego chłopca w momencie, kiedy w środku nocy pochylał się nad jednym ze śpiących ludzi. Nikt nie mógł odgadnąć powodu, dla którego to uczynił, chociaż dla nas, rzecz jasna, jest on aż nadto oczywisty. Myśliwi musieli go zwięzać, by uchronić się przed jego agresywnością, po czym zanieśli go do Lexington i przekazali władzom. Wielebny Mr. Crockett, proboszcz kościoła Św. Marka, niegdyś nauczyciel, dostrzegł okazję zarówno wrócenia na łono ludzkiej i bożej społeczności zagubionej owieczki, jak i wypróbowania własnych teorii pedagogicznych. Nie miał żadnych kłopotów z przekonaniem władz, żeby te oddały mu chłopca pod opiekę.

Według relacji Crocketta dziecko dysponowało wysoką wrodzoną inteligencją i bardzo szybko nauczyło się nie tylko nosić ubranie i chodzić w pozycji wyprostowanej, ale nawet mówić. Crockett nazwał chłopca imieniem Harry – nie wyjaśnił, dlaczego wybrał akurat to imię. Państwo Crockett byli bezdzietni, ale nie wydaje się, żeby kiedykolwiek pałali do Harry'ego specjalnie gorącym uczuciem. Wręcz przeciwnie nawet: nie trzeba być zbyt domyślnym, żeby z zawartych między wierszami informacji wywnioskować, że w gruncie rzeczy uważali obecność chłopca za istny dopust Boży. Spoglądając z perspektywy czasu możemy tylko podziwiać ich intuicję, oni jednak gryźli się bardzo tym, że w ich sercach panoszą się tak niechrześcijańskie uczucia.

Państwo Crockett szacowali wiek chłopca na dziesięć do jedenastu lat, w rzeczywistości jednak w chwili, kiedy do nich trafił, miał lat dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery, a więc około trzydziestu w momencie, kiedy znowu zniknął nam z oczu. W owym czasie ci dobrzy

ludzie uważali, że ma osiemnaście lat, zaś w książce często można napotkać uwagi, że wyglądał nawet jeszcze młodziej.

Siedmioletni pobyt u Crockettów dał mu bardzo dużo, wzięwszy oczywiście poprawkę na czas i miejsce. Po trzech latach Crockett oddał go do szkoły podstawowej, gdzie po kilku miesiącach uznano, że nic więcej nie można już chłopca nauczyć i przekazano go do szkoły średniej, którą z całą pewnością by skończył, gdyby na miesiąc przed końcem nauki nie zabił Mrs. Crockett i nie uciekł. Nauczył się bardzo wiele również jeśli chodzi o maniery, sposób ubierania i zachowania, toteż każdy, kto go spotkał, skłonny był uznać go za miłego, godnego szacunku młodzieńca. Ci, którzy znali jego historię, uważali go jedynie za godnego uwagi dziwoląga; pogląd ten był nie tylko bliższy prawdzie, ale także, jak to wkrótce zobaczymy, jego własnemu widzeniu swojej osoby.

Pozostawił w Lexington kompletnie załamanego, starego człowieka i pozbawione zupełnie krwi zwłoki dobrej kobiety, która ze wszystkich sił starała się zastąpić mu matkę. Zabrał ze sobą swoje ubrania, dziewięćdziesiąt siedem dolarów ukradzionych z biurka wielbego Llewellyna Crocketta oraz przekonanie, że pod wieloma względami bardzo, ale to bardzo od wszystkich się różni.

A było tak dlatego, ponieważ nie wiedział, czym w istocie jest. Jego najwcześniejsze wspomnienia (jak wiemy z dziennika znajdującego się obecnie w posiadaniu doktora Burbanka), sięgały czasu, kiedy był zamknięty w klatce na farmie Fimberów, a i to były zaledwie niewyraźne, mgliste przebliski. Nie pamiętał, że kiedyś był owłosiony niczym małpa i miał zęby jak rekin. Sądził, że jest zwyczajnym człowiekiem i dlatego właśnie uważał się za dziwoląga i nieudacznika. Kiedy osiągnął okres dojrzewania i zaobserwował zmiany w swoich genitaliach, był już zupełnie pewien, że jest z nim coś nie w porządku, a w dodatku po głowie zaczęły mu krążyć niezwykle, drapieżne myśli.

Nastąpiło to jednak dopiero po kolejnych jedenastu latach. Możemy być tego całkowicie pewni, bowiem w roku 1916 Clifford M. ukończył studia na Harvardzie, co nie byłoby raczej możliwe, gdyby nie uczęszczał na zajęcia. Po osiągnięciu dojrzałości płciowej wampir zapada w ciągu dnia na śpiączkę, zaś zajęcia na uniwersytecie rzadko kiedy odbywają się w nocy. Tak więc Clifford M. stał się w pełni dojrzałym osobnikiem po czerwcu 1916 roku; jednocześnie zaczął w gwałtowny sposób odczuwać pewne potrzeby, wyraźniejsze nawet od pojawiającego się okresowego, katerycznego imperatywu nakazującego mu spożycie ludzkiej krwi, których to potrzeb w żaden sposób nie był w stanie zaspokoić. Był już pewien, że jest jakimś potworem i postanowił urządzić sobie życie w taki sposób, który pozwoliłby mu na choćby częściową realizację rodzących się w jego umyśle i ciele pragnień.

Nie wiemy, co działo się z nim przez pięć lat po jego ucieczce z Lexington, oprócz tego, że udało mu się w jakiś sposób zdobyć sporo pieniędzy. Odnajdujemy go dopiero w roku 1910, kiedy to zapisał się do Corynthia College, małej, sekciarskiej uczelni w Fowler, stan Illinois. W dokumentach figuruje jako Clifford M. – według posiadanych przez nas informacji po raz pierwszy użył wówczas imienia, z którym nigdy już się nie rozstawał. Nie potrafił zbyt jasno przedstawić ani swego życiorysu, ani przebiegu dotychczasowej edukacji, ale ponieważ wszelkie opłaty uiszczal gotówką, nikomu nie zależało na przeprowadzeniu jakichś szczegółowych dochodzeń.

Jest oczywiste, że Corynthia College stanowił tylko środek do osiągnięcia celu; opuścił go po dwu latach, zabierając pisane niemal złotymi zgłoskami rekomendacje i dokumenty świadczące o znakomitym przebiegu studiów. Bez żadnych problemów został przyjęty na Harvard, który ukończył w roku 1916.

Z okresem jego pobytu na Harvardzie wiąże się jedna zastanawiająca okoliczność. Jego przybycie na tę uczelnię zostało poprzedzone wieloma listami do dystyngowanych dam z Bostonu, listami, których nadawczynią była Mrs. Gaines Sturdevant z Richmond, dama o rozległych koneksjach. Dzięki temu Clifford M. był zapraszany na najróżniejsze przyjęcia i

spotkania w najelegantszych domach Bostonu, zupełnie jakby od lat należał do tego środowiska. Nigdy się już nie dowiemy, w jaki sposób udało mu się nakłonić panią Sturdevant do napisania tych listów ani nawet w jaki sposób się z nią zetknął, ale udało się odnaleźć dwa z nich. Te ich fragmenty, które nas interesują, są dokładnie takie same i zawierają wiele romantyczne i oczywiście całkowicie nieprawdziwe szczegóły dotyczące pochodzenia i wykształcenia Clifforda M. Zdaje się, że okazały się one zupełnie wystarczające, by przekonać szacowne matki, iż Clifford M. byłby znakomitym kandydatem na męża dla ich córek. On jednak nigdy nie skorzystał z otwierających się przed nim możliwości. Przerwiemy w tej chwili relację o jego losach, aby zastanowić się nad motywami, które kierowały jego postępowaniem. Dlaczego Harvard? Jakie plany rodziły się wówczas w jego umyśle?

W świetle tego, co wiemy o jego późniejszym postępowaniu, możemy jednoznacznie stwierdzić, że chodziło mu wyłącznie o poczynienie znajomości i zadzierzgnięcie stosunków, które mogły później dopomóc mu w zrobieniu fortuny. Natychmiast po ukończeniu studiów znalazł zatrudnienie jako makler w znanej firmie mającej swą siedzibę na Wall Street; oczywiście, gdyby nie rozległe znajomości, nie mógłby nawet o tym marzyć. Tam zajął się nim natychmiast jeden z udziałowców, ucząc go nieodzownych w tym zawodzie sztuczek i umiejętności wykorzystywania najróżniejszych kruczków w przepisach. Pracował w firmie przez dwa lata, by potem niespodziewanie złożyć rezygnację – już wówczas zdobył sobie w Nowym Jorku opinię ekscentryka. Możemy przypuszczać, że właśnie wtedy osiągnął wiek dojrzały, a tym samym równo ze wschodem słońca zapadał w niekontrolowaną śpiączkę. Z tego właśnie powodu wszelkie interesy załatwiał wyłącznie korespondencyjnie.

Mimo to udało mu się osiągnąć niemałe sukcesy i w roku 1922 był już posiadaczem znacznego majątku. Właśnie wtedy zrezygnował z posady i przeprowadził się do olbrzymiego, brzydkiego domu w górzyskiej części Pensylwanii, który odkupił od spadkobierców zmarłego potentata węglowego. Rozpoczął tam poszukiwania, które miał kontynuować bez przerwy przez następne sześćdziesiąt lat.

Jest oczywiste, że w pewnym momencie, gdzieś między ukończeniem studiów na Harvardzie a rezygnacją z pracy, zaczął podejrzewać, kim jest naprawdę. Zapisy w kartotece księgarni Saltzmana w Greenwich Village, udostępnione nam przez Mr. Davida Saltzmana, potwierdzają fakt, że będący wówczas właścicielem księgarni ojciec pana Saltzmana utrzymywał z Cliffordem M. regularną korespondencję i że Clifford M. zlecił mu penetrację świata książki w poszukiwaniu wszelkich publikacji dotyczących wampiryzmu, wilkołactwa i innych, zbliżonych dziedzin okultyzmu. Dzięki lekturze tych dzieł Clifford M. mógł wreszcie wyjaśnić anomalie, które u siebie zaobserwował, oraz tajemniczą historię swojego życia, jak również zaakceptować fakt, że nie jest człowiekiem, tylko jakimś zupełnie odmiennym od niego stworzeniem – najprawdopodobniej wampirem.

Przez pewien czas prowadził dziennik, odnotowując w nim wszystkie swoje poczynania, a także nieodmiennie zerowe skutki, jakie one odnosiły. Dziennik ten został odnaleziony przez dra E. M. Burbanka z Fundacji Grailingów i znajduje się w jego posiadaniu; dr Burbank udostępnia go wszystkim naukowcom prowadzącym badania z zakresu interesującej nas dziedziny. Z dziennika tego dowiadujemy się między innymi, że Clifford M. zaprenumerował wszystkie ukazujące się w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie czasopisma oraz że zatrudnił znaczną liczbę osób – najczęściej byli to emerytowani nauczyciele – które miały za zadanie dokładnie czytać te czasopisma i wycinać wszystkie notatki dotyczące zagadkowych przypadków śmierci i zaginięć, którym towarzyszyły zagadkowe okoliczności. Nadzór nad tą pracą powierzył bystremu młodzieńcowi nazwiskiem Robertson, któremu wyznał w sekrecie, że wierzy w wampiry i w wilkołaki (dla równowagi dodał jeszcze astrologię, teozofię i wegetarianizm) i że poszukuje dowodów na ich istnienie. Robertson, znając przedmiot poszukiwań, wylądował z morza wycinków te, które wyglądały najbardziej obiecująco i wynajmował prywatnych detektywów, żeby ci przeprowadzali wstępne rozpoznanie

interesujących przypadków. Również i on kontaktował się często z Saltzmanem; dzięki niemu wielu studentów znacznie zwiększyło swoje kieszonkowe, szperając w najróżniejszych bibliotekach w poszukiwaniu książek związanych z podanym im tematem.

Podczas pierwszych dziesięciu lat poszukiwań natrafiono na siedem przypadków, które Cliffordowi M. wydały się warte dokładniejszej analizy, ale wszystkie okazały się ostatecznie zwykłymi morderstwami, samobójstwami lub porwaniami. Dwadzieścia następnym lat było latami Wielkiego Kryzysu i II Wojny Światowej; wielkie masy ludzi przemieszczały się z miejsca na miejsce i liczba interesujących przypadków wzrosła znacznie, ale również bez żadnych rezultatów. Robertsonowi udało się tymczasem uzyskać dostęp do ogólnokrajowej policyjnej sieci informacyjnej, dzięki czemu liczba tajemniczych a rokujących nadzieję zdarzeń zwiększyła się jeszcze bardziej; mimo to żadne z prowadzonych szczegółowo śledztw nie zakończyło się połowicznym choćby sukcesem.

Clifford M. musiał wielokrotnie opierać się pokusie zaprzestania poszukiwań; nieomal udało mu się wyrobić w sobie przekonanie, że jego podejrzenia co do tego, iż jest wampirem, są niczym innym jak tylko lunatycznym złudzeniem. Codzienna utrata przytomności może przecież być jedynie objawem jakiejś choroby, dziwaczne narządy reprodukcyjne – pomyłką Natury, zaś okropna żądza krwi po prostu kryminalnym zbrojeniem. Nic z tego jednak: te i podobne myśli nie wytrzymały dokładniejszej krytyki. Przekonał się, że druga żądza, która nie dawała mu spokoju, niemal równie silna, jak żądza krwi, była po prostu seksualnym pożądaniem. Ale w stosunku do czego? Do kogo? Na pewno nie do żadnej z kobiet, które kiedykolwiek spotkał, ani do żadnego mężczyzny, dziecka czy zwierzęcia. Był to pociąg skierowany w stronę samicy jego gatunku; musiał ją znaleźć. W przeciwnym razie życie prędzej czy później stałoby się dla niego nie do zniesienia.

Cytowane tutaj myśli Clifforda M. nie są niczym wymysłem; pochodzą z dziennika Burbanka, gdzie są zapisane pod datą 3 czerwca 1972 roku. Tak się akurat złożyło, że później dokonano w dzienniku już tylko jednego wpisu (7 sierpnia 1972). Należy się domyślać, że Clifford M. albo zaprzestał prowadzenia dziennika, albo czynił to w jakiejś innej formie. Jeżeli tak istotnie było, to dalszego ciągu nikomu nie udało się do tej pory odnaleźć.

Korzystając z różnych źródeł możemy ze znaczną dozą prawdopodobieństwa odtworzyć życie Clifforda M. w owym czasie. Przede wszystkim musimy pamiętać, że codziennie od wschodu do zachodu słońca leżał pogrążony w głębokiej śpiączce, aktywne życie prowadząc wyłącznie w nocy. Jego przypominający zamek dom stał w odludnej okolicy, kilka mil od małego, zapomnianego przez wszystkich miasteczka, w którym znajdowało się biuro Robertsona. Domu nie sposób było dostrzec z żadnej drogi, zaś jedynym przybywającym do niego gościem był Robertson, zjawiający się ze swoim raportem raz na tydzień, w godzinę po zachodzie słońca.

Robertson liczył już sobie ponad siedemdziesiąt lat, z których więcej niż pięćdziesiąt spędził pracując dla Clifforda M. Był znakomicie opłacany, ale z całą pewnością nieraz nachodziły go myśli dotyczące wartości życia spożytkowanego na zbieranie bezwartościowych informacji dla opętanego manią bogacza. Stał się prawdziwym specjalistą w oddzielaniu ziarna od plew, toteż z rzadka tylko miał do pokazania swemu chlebodawcy coś interesującego, ale jeżeli już uznał, że któryś z wycinków zasługuje na uwagę, to Clifford M. musiał przyznać, że tak jest w istocie. Jeżeli nasze obliczenia są prawidłowe, to w połowie lat siedemdziesiątych Clifford M. liczył sobie około stu lat. Postronnym obserwatorom jawił się jako szczupły, atletycznie zbudowany, przystojny mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, o bladej twarzy i kruczoczarnych włosach. Nosił nieco staromodne, drogie ubrania, które nigdy zbyt dobrze na nim nie leżały, bowiem sprowadzał je wyłącznie drogą pocztową. Miał dwoje służących, wówczas już w podeszłym wieku, emigrantów z jakichś wiejskich okolic na Bałkanach. Para ta zdawała sobie doskonale sprawę z tego, kim w istocie jest ich chlebodawca; nie dziwiły ich ani jego dziwaczna dieta, ani nocny tryb życia. Za to, że z nikim nie dzielili się

tą wiedzą, byli oczywiście hojnie wynagradzani.

Clifford M. miał również zbudowany na specjalne zamówienie samochód, z zewnątrz niczym się nie różniący od wielu jeżdżących jeszcze po szosach, podstarzałych egzemplarzy, ale wyposażony w potężny silnik i zdolny do pokonywania dużych odległości bez konieczności uzupełniania paliwa. Raz w miesiącu, a czasem nieco częściej, Clifford M. wyruszał nim wkrótce po zachodzie słońca, by powrócić tuż przed świtem, zaspokoiwszy swą krwawą żądzę. Był podczas swoich eskapad niezwykle ostrożny, nie zabierając nigdy żadnej ze swych ofiar tyle krwi, żeby spowodować jej śmierć, czy nawet niepokojące objawy, które mogłyby skłonić ją do udania się do lekarza. Jego tereny łowieckie miały kształt koła o promieniu mniej więcej stu mil, w którego środku znajdował się jego dom. Na przestrzeni lat przedsięwziął także sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dłuższych podróży do najróżniejszych zakątków kraju (czterokrotnie odwiedził również Kanadę, a raz Meksyk), w celu sprawdzenia osobiście tych przypadków, których nawet po wnikliwym śledztwie nie udało się wyjaśnić w żaden racjonalny, oczywisty sposób. Eskapady te wymagały starannego przygotowania, polegającego między innymi na tym, aby zarówno podczas samej podróży, jak i u jej celu miał zawsze do dyspozycji jakieś pomieszczenie lub miejsce, w którym mógł spokojnie przespać cały dzień. Robertson przejmował wówczas rolę zwiadowcy, wynajmując na pewien czas samotne, stojące na uboczu domy. Para służących jechała razem z Cliffordem M., śpiąc na tylnym siedzeniu, kiedy on prowadził, w dzień zaś strzegąc jego bezpieczeństwa. Podczas żadnego z tych skomplikowanych safari nie udało mu się odnaleźć tego, czego szukał.

Sukcesem zakończyło się dopiero ostatnie z nich, w małym, leżącym w zachodniej części stanu miasteczku Sturkeyville, zaledwie dzień, a właściwie noc drogi od jego domu. Dzięki lekturze roczników miejscowego „Heralda” możemy ustalić niemal z całą pewnością przebieg wydarzeń, które zwróciły uwagę najpierw Robertsona, a następnie samego Clifforda M.: rosnąca liczba nie wyjaśnionych zachorowań wśród miejscowej ludności, a następnie tajemnicze przypadki zgonów i zaginięć. Robertson, jak zwykle, ruszył przodem i wynajął opuszczony dom. Wkrótce potem zjawił się tam Clifford M. ze swymi służącymi.

Musimy teraz pozostawić na moment Clifforda M. jego własnemu losowi i zająć się sytuacją, jaka wówczas panowała w Sturkeyville. Nie jesteśmy tutaj zdani wyłącznie na nasze własne domysły, bowiem dysponujemy relacjami trzech głównych uczestników wydarzeń, które nastąpiły po zakończeniu uwieńczonych sukcesem poszukiwań Clifforda M. Są to Blanche Tolliver, Edmund Hodge i Frank Polder, w kolejności lekarka, fabrykant i dyrektor East High School. Blanche Tolliver przejęła w roku 1958 praktykę po swoim ojcu i od tego czasu nieprzerwanie służyła pacjentom miasteczka, przyjmując wezwania o każdej porze dnia i nocy, znając dokładnie każdego z chorych i nigdy nie przypominając o nie zapłaconych honorariach. Od dwudziestu lat była kochanką Edmunda Hodge’a; nie mogli się pobrać, ponieważ żona Hodge’a już od ćwierć wieku przebywała w zakładzie dla psychicznie chorych. Sam Hodge był jednym z właścicieli Odlewni Braci Hodge, największego zakładu przemysłowego miasteczka, Frank Polder zaś jego kuzynem. Cała trójka znała się i przyjaźniła od dziecka.

Zaangażowali się w sprawę Clifforda M. z powodu Blanche, która, badając pacjentów z najdalszych nawet zakątków okręgu, doszła do wniosku, że pojawiła się wśród nich nowa choroba, charakteryzująca się objawami świadczącymi o znacznej utracie krwi, które to objawy stwierdzała jednak u osób nie posiadających ani żadnych ran zewnętrznych, ani nie skarżących się na jakiegokolwiek krwawienie wewnętrzne. Wkrótce potem na gardle jednego z pacjentów znalazła dziwne, przypominające ukłucie ślady, a kilka centymetrów poniżej niemal identyczny zestaw. Potem szukała tych śladów – i znajdowała je – zawsze tam, gdzie stwierdzała podobne objawy, odszukała również wcześniejszych pacjentów, którzy, jak się okazało, również mieli identyczne ślady, tyle tylko, że ranki te dawno już im się zagoiły.

Od wielu lat miała zwyczaj omawiania wyników swej pracy z Hodge’em; tym razem

uznał on jej relację za tak interesującą, że powtórzył ją Polderowi, który zareagował dokładnie tak, jak wcześniej oni obydwój: „Dracula!” – zawołał, wywołując wybuch śmiechu.

Pojawiały się jednak coraz to nowe przypadki, wkrótce potem zaś umarła kobieta, a później dwoje dzieci. Badanie anatomopatologiczne potwierdziło, że kobieta utraciła olbrzymią ilość krwi. Pewnego wieczoru trójka przyjaciół omawiała podczas kolacji to wydarzenie i żart Poldera żadnemu z nich nie wydawał się już tak bardzo śmieszny.

Postanowili, że Polder, który akurat wtedy dysponował wolnym czasem, był to lipiec, a więc środek wakacji – poświęci tydzień lub dwa na zbieranie informacji od pacjentów Blanche, w celu ustalenia ewentualnych niezwykłych wydarzeń, które poprzedzały ich zachorowanie.

Kiedy po dwóch tygodniach spotkali się ponownie, Polder powiedział:

– Ktoś rzeczywiście pił ich krew. Prawie połowa ludzi pamięta niejasno coś w tym rodzaju – tak niejasno, że wszyscy są przekonani, że to tylko sen. Ale przecież dwadzieścia trzy osoby nie mogły mieć dokładnie takiego samego snu, w którym występowałyby takie same postacie. Szukamy mężczyzny i kobiety, albo dwóch mężczyzn i kobiety. Nikt nie może sobie dokładnie tego przypomnieć, ale wszystkim wydaje się, że byli strasznie brudni i obdarci: mężczyzna w niechlujnym, utyłanym w czymś płaszczu, czarnym kapeluszu i drewniakach, drugi ubrany w taki sam strój i kobieta w zeszmaczonej, bawełnianej sukience i czerwonych pończochach. Wszystkie opisy były niemal dokładnie takie same i połowa ludzi, z którymi rozmawiałem, nazywała ich „ludźmi z gór” albo „leśnymi ludźmi”. Sądzę, że powinniśmy zawiadomić policję.

– Też tak uważam – odparł Hodge – ale trudno będzie o cokolwiek ich oskarżyć, skoro ofiary sądzą, że wszystko im się śniło, a rany dawno już się zagoiły. Ale, oczywiście, należy ich powstrzymać. Mimo wszystko lepiej wiedzieć, że to jacyś wariaci albo zbrodniecy, niż zacząć wierzyć w wampiry.

– Ja chyba już w nie wierzę – powiedziała powoli Blanche. – Uważam, że to właśnie wampiry.

– Przecież słyszałaś, jak wyglądają.

– A dlaczego wampiry nie miałyby tak właśnie wyglądać? Czy możesz mi powiedzieć, jak wygląda wampir? Dlaczego nie właśnie tak, jak „leśny człowiek”? Jeżeli w historiach o wampirach jest choć odrobina prawdy, to chronią się upodabniając się maksymalnie do ludzi. I żyją bardzo długo. Wyobraźcie sobie wampira, który ma, powiedzmy, dwieście lat i żyje gdzieś w górach. Jak, według was, miałby się zachowywać i wyglądać? Jak „człowiek z gór”, rzecz jasna. Czy wampir musi wyglądać jak Bela Lugosi? Czy wampir z Appalachów nosiłby strój wieczorowy?

Mężczyźni zastanowili się nad tym, a po chwili Polder powiedział:

– Chyba masz rację. Ci ludzie, kiedy opowiadali o swoich snach, przeczuwali, że mają do czynienia z czymś znacznie bardziej potwornym niż zwykły, żądny krwi szaleniec, z czymś, czego nie byli w stanie wyrazić. Tyle tylko, że to był jedynie sen.

– Gdyby zaatakowali ich jacyś wariaci, z całą pewnością by to pamiętali – wtrąciła Blanche.

– W porządku więc; przyjmijmy, że to wampiry – odezwał się Hodge. – Co zrobimy?

– Zawiadomimy policję – powiedział Polder i zaraz dodał: – Po czym od razu zamkną nas w szpitalu dla umysłowo chorych.

– Otóż to – skinęła głową Blanche. – A dlaczego nie mielibyśmy spróbować sami ich wysledzić i złapać na gorącym uczynku?

– Właśnie, czemu by nie? – podjął Hodge. – Jest to najprawdopodobniej dosyć niebezpieczne, nie mamy najmniejszego pojęcia, jak się za to zabrać, a wreszcie na pewno okaże się, że to po prostu jacyś psychopatyczni mordercy. Jasne, dlaczego by nie.

Rozpoczęli pracę od naniesienia na mapę dat i miejsc przypadków ujawnionych przez Blanche i współpracujących z nią lekarzy, po czym Polder udał się do tych miejsc i

przeprowadził kilkadziesiąt dodatkowych rozmów, w wyniku których odkrył jeszcze kilka osób, które nigdy nie zgłosiły się do lekarza, a które cierpiały jakiś czas temu na interesującą trójkę badaczy dolegliwości.

W sumie mieli do czynienia z siedemdziesięcioma ośmioma przypadkami znacznego ubytku krwi, które wydarzyły się w ciągu trzynastu miesięcy. Uznając właśnie miesiące za podstawowe kryterium kwalifikacyjne, połączyli liniami te punkty na mapie, które oznaczały zachorowania w danym miesiącu; otrzymali obraz przypominający bardzo topograficzny rysunek symetrycznej, wysokiej góry.

– Niemal dokładnie koncentryczne okręgi – zauważył Hodge. – Najmniejszy pochodzi z ubiegłego maja. To najwcześniejszy.

– Może to oznaczać, że zaczęli w pobliżu swojej kryjówki, stopniowo coraz bardziej się od niej oddalając – powiedziała Blanche.

– To nie ma żadnego sensu – wzruszył ramionami Hodge. – Sądziłem, że te istoty żyją praktycznie wiecznie. Dlaczego miałyby zacząć napadać na ludzi akurat trzynaście miesięcy temu? Co robiły do tej pory?

– Może właśnie wtedy się tutaj zjawiły. Przypuszczam, że mogą przenosić się z miejsca na miejsce, tak samo jak ludzie.

– Może. Gdzie znajduje się ta „kryjówka”?

– Stary Zajazd na skrzyżowaniu trzech górskich dróg. Kiedyś urzędował tam kowal i był prawdziwy, świetnie prosperujący sklep, ale teraz to już tylko na wpół zrujnowane, opuszczone budynki. Jakąś milę stamtąd znajdują się trzy lub cztery również nie zamieszkałe domy, z których w całości stoi już tylko jeden, brakuje mu jedynie dachu.

– Sceneria w sam raz – mruknęła Blanche. – I co teraz?

– Jak to, co? Musimy je odnaleźć i...

– Właśnie. Co zrobimy, kiedy już je odnajdziemy?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę przerwała Blanche.

– To chyba oczywiste. Jeżeli okażą się tym, o czym myślimy, to potraktujemy je drewnianym kołkiem.

– A jeżeli nie?

– Cóż, wtedy będzie kłopot. Nie sądzę, żebyśmy dali sobie radę z trzema maniakalnymi mordercami.

– Jeżeli uda nam się zobaczyć ich za dnia, będziemy wiedzieli, że to tylko szaleńcy i po prostu zawiadomimy szeryfa – powiedział Hodge. – A teraz musimy zastanowić się, co i w jaki sposób musimy zrobić.

Dyskutowali nad tym do późnej nocy, nie mogąc dojść do porozumienia, zaś następnego wieczoru u Blanche zjawił się Clifford M.; była zafascynowana tym, co miał jej do powiedzenia. Zaraz zawiadomiła swoich dwóch przyjaciół i jeszcze przed świtem ustalili, co trzeba zrobić.

Clifford M. zachowywał się niezwykle uprzejmie, przekonywająco i zdecydowanie zarazem. Starał się wyrzucić na swoich rozmówcach wrażenie, że jest zamożnym człowiekiem o wysokiej inteligencji i wykształceniu, żywiącym może nieco ekscentryczne przekonanie o tym, że wampiry naprawdę istnieją i przeznaczającym swój czas i pieniądze na łowy na nie. Ponieważ oni również zaczęli już być o tym przekonani, powitali z radością ofertę współpracy. Clifford M. przedstawił im ze szczegółami zasady funkcjonowania swego biura wycinków prasowych i kryteria, na podstawie których klasyfikował zebrane w ten sposób informacje, oraz opowiedział, w jaki sposób metoda ta zaprowadziła go do Blanche. Wyraził nadzieję, że pozwolą mu przyłączyć się do poszukiwań. Odkrycie i zlikwidowanie tych nieludzkich stworzeń uwolni ludzkość od ohydnej zmy, a oprócz tego potwierdzi jego przeczucia i pokaże całemu światu, że nie były to jedynie majaczenia i kaprysy człowieka, który nie wiedział, co robić z czasem i pieniędzmi.

Powiedział, że on sam prowadzi raczej nocny tryb życia, że zajmuje się wampiryzmem już od wielu lat i że dysponuje znakomitym teleskopem, toteż może się podjąć prowadzenia nocnych obserwacji terenu, który w tak znakomity sposób udało im się ustalić, zaś dwaj pozostali mężczyźni, będący zapalonymi myśliwymi i przebywający z racji tego często poza domem, mogą uzbroić się i przeczesywać okolice za dnia. Wszyscy zgodzili się, że jest to bardzo rozsądna propozycja.

Od tej chwili w relacji tej obok w pełni udokumentowanych faktów zaczynają pojawiać się również takie, których autentyczność nie zawsze jest pewna. Wszystkie one jednak opierają się na całkowicie wiarygodnych przesłankach, zaś jeżeli nawet nie w pełni odpowiadają rzeczywistym wydarzeniom, to z całą pewnością oddają ich ogólny przebieg i nastrój.

Bez najmniejszych wątpliwości możemy stwierdzić, co następuje: przez trzy dni Hodge i Polder, ubrani w czerwone czapki i kurtki oraz wyposażeni w broń myśliwską przeczesywali okolice Starego Zajazdu, ale bez powodzenia. Co wieczór po powrocie z „polowania” spotykali się z Blanche i Cliffordem M. (jak do tej pory, nikt z nich nie zwrócił uwagi na dziwną okoliczność, że widywali go wyłącznie po zachodzie słońca), i składali relację z bezowocnych poszukiwań. Następnie Clifford M. informował o rezultatach – także zerowych – swego nocnego czuwania, po czym myśliwi udawali się na zasłużony odpoczynek, zaś Clifford M. (tak przynajmniej wszyscy przypuszczali) wracał do swej samotni, by wypatrywać wampirów przez swój teleskop.

Trzeciego wieczoru Clifford M. nie stawił się na spotkanie, toteż rano Hodge i Polder udali się do domu, który wynajmował. Dom był pusty, zniknął także samochód Clifforda M., ale do drzwi przybita była koperta zaadresowana do dr Tolliver. Zanieśli ją natychmiast do Blanche, która otworzyła ją i przeczytała krótką informację: „Gnieźdzą się pod ruinami Starego Zajazdu; jest ich czworo, nie troje. Weźcie kołki”.

Z treści innego listu napisanego do Blanche przez Clifforda M., a dostarczonego adresatce przez Robertsona po zakończeniu całej historii, możemy się dowiedzieć, co w rzeczywistości w te ciepłe, lipcowe noce robił Clifford M. Jego relacja stanowi jednak zaledwie szkielet, który niniejsze sprawozdanie postara się przyoblec w ciało. Czytelnik we własnym zakresie powinien od czasu do czasu dodać do niego takie sformułowania jak: „możemy przypuszczać, że...” lub „należy przyjąć, iż...”

Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że wysiłki Tolliver, Hodge’a i Poldera stanowiły dla Clifforda M. olbrzymią pomoc i oszczędziły mu masę czasu. Troje badaczy ustaliło obszar poszukiwań z taką dokładnością, że jego łowy zostały uwieńczone sukcesem już pierwszej nocy, kiedy wybrał się do Starego Zajazdu. Zostawił samochód kilka mil od skrzyżowania i resztę drogi przebył na piechotę. Był przekonany o tym, że potrafi zamienić się w nietoperza, ale nie wiedział, jak to zrobić; prawdopodobnie technika dokonywania takich transformacji była jedną z rzeczy, których młode wampiry uczyły się podczas przebywania w rodzinnym gnieździe, on zaś nie miał kiedy ani od kogo tego się nauczyć. Szedł więc piaszczystą drogą wciągając badawczo w płuca powietrze. Nie był pewien, czy uda mu się rozpoznać wampiry podczas bezpośredniego spotkania, ale miał nadzieję, że drzemie w nim jakiś instynkt, który mu to umożliwi; niewykluczone, że najbardziej pomocny może mu się przy tym okazać zmysł powonienia.

Nie mylił się. Kiedy niespodziewany podmuch wiatru przyniósł ze sobą ten zapach, Clifford M. wiedział już, że jego długoletnie poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Jedyne zaskoczenie stanowił właśnie sam zapach, a raczej potworny, trudny do wyobrażenia smród, tak niesamowity, że po raz pierwszy w swoim stuletnim życiu Clifford M. doświadczył uczucia mdłości. Był to smród gnijącego mięsa, starego mułu i rozkładu, odchodów i nieczystości, jednym słowem – autentyczny odór zła. Jego ciało przebiegł dreszcz odrazy i strachu; czy rzeczywiście był jednym z nich?

Skreślił z drogi i ruszył w kierunku źródła zapachu. Wkrótce zobaczył ich: trzy blade

twarze w księżycowym cieniu rzucanym przez stary, kamienny mur. One także go rozpoznały, bowiem nie zaatakowały go ani nie rzuciły się do ucieczki.

Przypisywanie ludzkich uczuć wampirowi jest być może uleganiem skłonności do patetycznego fantazjowania, ale możemy przyjąć, że od tej pory Clifford M. odczuwał jedynie swego rodzaju onieśmienie i niepewność. Kiedy podszedł bliżej, opanowało go bez reszty niepoahamowane obrzydzenie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że patrzy na nie oczami uwarunkowanymi ludzkimi standardami i ideami, i że właściwie powinien oceniać je z innego punktu widzenia, ale po prostu nie mógł. Wampiry były brudne, niesamowicie brudne, oblepione obrzydliwym, wieloletnim osadem. Poszarpane ubrania przesiąknięte były starą, zakrzepłą krwią, blada skóra poznaczona ciemnymi, brudnymi smugami, włosy pozlepiane grudkami ziemi i błota, długie paznokcie zupełnie czarne i zakrzywione niczym szpony.

Pierwszy odezwał się jeden z samców. Clifford M. nie zrozumiał ani słowa; nie przypominało to żadnego z języków, z jakimi miał okazję się zetknąć.

– Nie rozumiem – powiedział. – Mówicie po angielsku?

– Jasne. Ty kto? Czemu nie gadasz po... – kolejne niezrozumiałe słowo.

– Wychowałem się wśród ludzi – odparł Clifford M. – Nigdy nie słyszałem tego języka.

– Gdzie reszta?

– Nie ma żadnej reszty. Jestem sam. Dlatego właśnie chciałem was odnaleźć.

Zapadła cisza. Straszydła spojrzały po sobie, a potem na niego. Przyćmione, otępiałe umysły usiłowały przyswoić coś zupełnie nowego. Wreszcie samiec zapytał:

– Nie ma więcej?

– Nie.

– My też nie wiemy o innych. Długo szukamy, ale nie ma. Chyba już tylko my są.

To był dla niego mocny cios. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo zależało mu na odnalezieniu jakiejś żyjącej w ukryciu społeczności i... i samicy, oczywiście, a także na towarzystwie istot takich jak on sam. Ale te... te...

– Jadłeś? – zapytał samiec.

– Nie, dzisiaj jeszcze nie.

– To chodź. Oni pójdą na północ, my dwa na południe.

Zafalowały olbrzymie nietoperze skrzydła i drugi samiec wraz z samicą zniknęli tak, jakby ich nigdy nie było.

– Nie potrafię tego zrobić – powiedział Clifford M. – Nie wiem, jak. Poczekam tutaj. Jadłem wczoraj.

Wrócili, najedzeni, godzinę przed świtem.

– Dziura jest duża, akurat dla nas. Masz swoją?

– Tak – odparł Clifford M. – Chyba już pójdę.

– Chcesz raz, zanim pójdziesz? – zapytała samica, zadzierając pod szyję obrzydliwie brudną, podartą spódnice.

A więc to było właśnie to: obiekt długoletnich poszukiwań. Spojrzał na jej pokryte warstwą brudu ciało, poczuł jej zapach i nagle kłębiące się w nim od sześćdziesięciu lat pożądanie zamieniło się w gwałtowną odrazę.

– Nie – odpowiedział. – Nie dzisiaj.

Szczeknęła coś w tym dziwnym języku; jeden z samców chrząknął, odwrócił się i zniknął w otwierającej się w załomie ściany ciemności, podczas gdy drugi pokrył ją błyskawicznie. Kopulowali przez kilkanaście sekund jak zwierzęta, bez najmniejszego choćby śladu czułości czy emocjonalnego zaangażowania, po czym podnieśli się i poszli w ślady pierwszego samca, nie odzywając się do Clifforda M. ani słowem. On sam odszedł w kierunku swego samochodu.

Następnego nocy wyruszył na polowanie, które udało mu się zakończyć sukcesem jeszcze przed północą, po czym wrócił do kryjówki wampirów, by zastać je siedzące bez ruchu pod zrujnowaną częściowo ścianą. Wczorajszy posiłek miał im starczyć na wiele, wiele dni. Mógł

teraz z nimi porozmawiać i dowiedzieć się wszystkiego zarówno o nich, jak i o sobie.

– Jak się nazywacie? – zapytał.

Przez chwilę panowała cisza. Po pewnym czasie odezwała się samica.

– Nazywamy.

– Tak, jak się nazywacie.

Znowu cisza. A potem jeden z samców:

– Nie pamiętam. Nieważne.

I drugi samiec:

– Nieważne.

Clifford M. postanowił spróbować raz jeszcze.

– Ile macie lat?

Milczenie. Wreszcie:

– Dużo.

– Ale jak dużo?

– Nie pamiętam.

– A jaką najdawniejszą rzecz możecie sobie przypomnieć?

Długie, bardzo długie milczenie. Przerwała je samica:

– To dziecko, co telefon go obudził. Musiałam zwiewać.

– Czasem się budzą – dodał jeden z samców.

– Nie pamiętacie nic z tego, co wydarzyło się wcześniej? Kiedy jeszcze nie było telefonów. Na przykład jakiejś wojny albo kto akurat był prezydentem?

– Chyba nie. Chyba nie bardzo wiem, co chcesz.

Spróbował innego podejścia.

– Od jak dawna tutaj śpicie?

– Niedawno.

– Skąd przyszliście? Dlaczego przenieśliście się akurat w to miejsce?

Nie bardzo potrafili dać sobie radę z jednym prostym pytaniem, a co dopiero z dwoma. Żadne nie próbowało nawet odpowiedzieć.

– Czy mieszkaliście kiedyś w prawdziwym domu, zamiast w tej dziurze? – ciągnął uparcie. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyglądają pogrążeni w dziennej śpiączce, skuleni w wilgotnej, ciemnej norze.

– Mieliśmy stół z obrusem i naczyniami, i prawdziwymi świecami – odezwała się niespodziewanie samica.

– Mów dalej – zachęcił ją Clifford M.

Ale był to tylko jeden, krótki przeblýsk pamięci. Kiedy milczenie przeciągało się, spróbował im pomóc.

– Gdzie jeszcze mieszkaliście?

– W jaskini – odparł samiec.

– Aha. W jaskini – potwierdziła samica.

– Pamiętacie, gdzie to było?

Żadnej odpowiedzi.

– Może było tam w pobliżu jakieś miasto?

– Caseboro – powiedział jeden z samców, jak zwykle, po chwili milczenia. – Chyba Caseboro.

Clifford M. znał to miasteczko; leżało na granicy lasów, w których żył kiedyś jako dzikie dziecko.

– Mielicie kiedyś dzieci?

– Zabili! – krzyknęła przeraźliwie samica. – Zabili je!

– No – powtórzył samiec. – Zabili.

– Kto? Kiedy?

– Eee, spaliśmy. Oni je zabili. Znaleźliśmy. Może jeden uciekł. Poszliśmy do nowej dziury.

Cliffordowi M. zaświtało wówczas podejrzenie, że te wstrętne istoty są nie tylko jego pobratymcami, ale całkiem możliwe, że także jego rodzicami. Uświadomił sobie jednocześnie, że wraz z upływem wieków będzie się coraz bardziej do nich upodabniał, aż wreszcie niemal nieśmiertelne ciało przeżyje starzejący się umysł i stanie się taki sam jak oni, przesypiający dnie w jakiejś wilgotnej norze, nocami polujący na ludzi, a po krwawym posiłku czekający w otępieniu na wschód słońca, które zagoni go z powrotem do kryjówki.

– Muszę już iść – rzekł nagle. – Wrócę jutro.

Nikt mu nie odpowiedział.

Około dziesiątej rano Blanche, Hodge i Polder przybyli do ruin Starego Zajazdu, przygotowani do zniszczenia wampirów. Mieli ze sobą łopaty, bosaki, silne latarnie, osiem naostrzonych, drewnianych kołków, najróżniejsze młotki, kilka egzemplarzy *Biblii*, czosnek, rewolwery i strzelby. Cały ten ekwipunek znajdował się w półciężarówce Hodge'a, który podjechał samochodem aż pod samą ścianę zrujnowanego budynku.

– Gdzie zaczynamy? – zapytał.

– Od wnętrza – odpowiedziała Blanche.

– Tylko ostrożnie, żeby nie wpaść przez strop do piwnicy – poradził Polder.

Weszli przez szczelinę w murze. W środku znajdowało się rumowisko połamanych belek stropowych, gruzu i przegniłych desek, porośnięte splątaną gęstwiną najróżniejszych roślin. Tu i ówdzie błyszczały kałuże brązowej wody; w powietrzu unosiło się brzęczenie much.

– Dobry Boże – jęknął Polder. – Od czego tu zacząć?

– Chyba gdzieś przy ścianie – powiedziała z namysłem Blanche. – Muszą być tam, gdzie nigdy nie dochodzi słońce. Rozejrzyjcie się, czy nie ma tam jakiegoś otworu. Tylko ostrożnie!

Po pięciu minutach Hodge znalazł to, czego szukali; mniej więcej dwustopowej średnicy dziurę w ziemi, przykrytą starannie fragmentami desek i gałęziami.

– I co teraz?

– Musimy oczyścić teren, żeby mieć swobodny dostęp.

Zabrali się do pracy.

– Powinno wystarczyć – powiedział Hodge po pewnym czasie. – Dajcie mi latarkę.

Zaświecił w głąb ciemnego tunelu i momentalnie odskoczył jak oparzony.

– Jeden jest tuż przy wyjściu – wyszeptał. – Najwyżej jard ode mnie.

– No to wyciągnij go.

– Chyba nie rękami. Dajcie mi bosak; leży głową do wyjścia, więc powinno mi się udać zahaczyć go o ramię. Blanche, potrzymaj latarkę.

Ciało bez żadnych kłopotów dało się wyciągnąć z tunelu i przetoczyło się kilka stóp po oczyszczonym z roślinności klepisku.

– Clifford M.! – zawołała Blanche. – To Clifford M.!

– Po jego liście należało się tego spodziewać – zauważył Hodge. – Napisał, że są cztery, nie trzy. Właściwie to...

W tym momencie z ziejącej u ich stóp jamy buchnął potworny smród; Hodge przerwał w pół zdania, bowiem chwyciły go torsje, podobnie jak Poldera. Blanche z racji swego zawodu była przyzwyczajona do najróżniejszych zapachów, ale nawet ona zbladła jak ściana.

– Boże! – wystękał z trudem Hodge. – W życiu nie czułem czegoś takiego!

– To wampiry – powiedziała Blanche. – Bierzemy się do roboty. Im wcześniej... Mój Boże, spójrzcie na niego!

W blasku słońca dłonie i twarz Clifforda M. błyskawicznie pokryły się puchnącymi szybko bąblami.

– Przykryjcie go – poleciała Blanche. – I tak go zaraz... zabijemy. Możemy mu tego oszczędzić.

Polder przyniósł z samochodu brezentową płachtę i nakrył nią leżące na ziemi ciało.

– Jak dobierzemy się do pozostałych? – zapytał.

– Będziemy musieli kopać – powiedział Hodge – chyba że ktoś chce wczołgać się do środka tym tunelem.

– Kopmy więc.

Kiedy wreszcie odsłoniли całą kryjówkę, dochodziła już czwarta po południu. Upał był ogromny, a smród wręcz nie do zniesienia; nastroje trójki poszukiwaczy trudno było nazwać radosnymi. Jako pierwsza przebiła strop niewielkiej komory łopata Poldera – we wnętrzu, zwinięte w brudną, ciasną kulę, leżały trzy wampiry. W swojej kryjówce znajdowały się poza zasięgiem promieni słońca, ale gdy tylko wyciągnęli je na powierzchnię, ich skóra pokryła się obrzydliwymi bąblami.

– Frank, przynieś kołki – rzucił ochryplym ze zmęczenia głosem Hodge. – Ja wezmę młotki.

Bez słowa każdy wziął do jednej ręki naostrzony, drewniany kołek, a do drugiej młotek. Ułożyli cztery ciała na plecach, mniej więcej jard jedno od drugiego. Blanche uklękła nad samicą, mężczyźni nad samcami, przyłożyli im kołki do piersi i uderzyli jednocześnie, jakby na umówiony sygnał.

Z ust wampirów wydobył się ohydny, przeraźliwy skrzek, tak nieludzki, że w jednej chwili zniknęły wszystkie opory i wyrzuty sumienia, jakie jeszcze mogli mieć. Uderzali raz za razem, aż wreszcie ciała zostały przeszyte na wylot, po czym wstali i cofnęli się o kilka jardów, by przyjrzeć się temu, co uczynili i co zaraz potem nastąpiło.

Był to błyskawiczny rozkład, postępujący dokładnie według wszelkich opisów spotykanych w specjalistycznej literaturze: najpierw czerwone, wilgotne rozkwitnięcie ciała, następnie wysuszenie, skurczenie, odpadnięcie od kości, a wreszcie zmurszenie i rozpadnięcie się w proch samych szkieletów. Wystarczyło niewiele minut, by z trzech ciał pozostało jedynie kilka brudnych, śmierdzących szmat.

Polder i Hodge zgarnęli je łopatami na jedno miejsce i przysypali je warstwą ziemi. Tymczasem Blanche stanęła nad ciałem Clifforda M., spoglądając w zamyśleniu na przykryty brezentową płachtą kształt.

– Czy możemy być zupełnie pewni? – zapytała, gdy dwaj mężczyźni zbliżyli się do niej.

Hodge uniósł nieco płachtę; nawet ta niewielka ilość światła, jaka przesaczyła się przez materiał poczyniła na twarzy Clifforda M. olbrzymie spustoszenie. Przegniłe mięso wyschło i stwardniało, miejscami odpadły całe kawały skóry, odsłaniając puchnące, czerwone bąble. Wydawało się, że patrzą na kawał zmurszałej, popękanej ze starości kory.

– A jak myślisz? – zwrócił się do niej Hodge.

– Że chyba tak – odpowiedziała.

Kiedy drewniany kołek wbił się w jego serce, Clifford M. wydał ten sam, okropny skrzek, ale jego ciało nie rozpadło się w proch, jak pozostałe.

– Czyżbyśmy się pomylili? – wyszeptał Polder. – Czyżby jednak był... był...

– Człowiekiem? – dokończyła Blanche. – Na pewno nie. Zobacz, co z jego twarzą zrobiło słońce. Tamci rozpadli się w proch po prostu dlatego, że byli bardzo starzy. Ten musiał być znacznie młodszy. Może nawet tak młody, na jakiego wyglądał. Ale z całą pewnością był jednym z nich, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie rozumiem tylko, dlaczego to zrobił... Można powiedzieć, że popełnił samobójstwo. I dlaczego ubrał się przedtem w smoking. Cóż, myślę, że możemy go już pochować.

Dwa dni później Robertson przyniósł zaadresowany do dr Tolliver list. Pozostaje on do dzisiaj w jej posiadaniu, zaś piszący te słowa miał okazję zobaczyć go na własne oczy i otrzymał pozwolenie na przytoczenie obszernych jego fragmentów. Waga tego dokumentu polega na tym, że jest to jedyne autentyczne, osobiste wyznanie wampira, o jakim nam wiadomo. Clifford M. nie był, rzecz jasna, zwyczajnym wampirem; gdybyśmy dysponowali podobnymi

zwierzeniami typowego przedstawiciela tego gatunku, wartość ich byłaby wręcz nieoszacowana.

Jeszcze tego samego wieczoru Blanche Tolliver przeczytała list Polderowi i Hodge'owi. Niestety, niewiele możemy się z niego dowiedzieć o codziennym (czy raczej: conocnym) życiu Clifforda M. czy też o historii jego życia, którą, co mam nadzieję jest już w tej chwili jasne, musieliśmy odtwarzać krok po kroku na podstawie najróżniejszych źródeł i która wciąż jeszcze zawiera zdecydowanie zbyt dużo zagadkowych, białych plam. List ten jednak jest niezmiernie ważny dlatego, że wyjaśnia nam, co skłoniło Clifforda M., według wszelkiego prawdopodobieństwa ostatniego wampira w Stanach Zjednoczonych, do zaaranżowania swojej własnej śmierci.

A oto, co pisze na ten temat:

Spotkanie, do którego dążyłem przez tak wiele lat, spotkanie, w wyniku którego, jak wierzyłem, zyskam zarówno wiedzę na temat mojej osoby, jak i towarzystwo podobnych mi stworzeń – udowodniło jedynie w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że jestem zupełnie sam, że – przynajmniej pod względem psychicznym – nie jestem ani wampirem, ani człowiekiem, a tym samym nie ma żadnej nadziei na to, by kiedykolwiek i gdziekolwiek znaleźć spokój i ukojenie. Urodziłem się jako istota zupełnie różna od człowieka i taką też pozostałem, ale wychowano mnie jako człowieka i w moich myślach i sposobie postrzegania świata jestem właśnie człowiekiem. Tragedia moja polega na tym, że przestając być jednym, nie stałem się jednocześnie drugim.

Chciałbym być człowiekiem. Dopóki nie spotkałem tych żalonych istot sądziłem, że moi pobratymcy są wszyscy dystygowanymi, szacownymi ludźmi o pewnych niezwykłych, nocnych zwyczajach i dość szczególnej diecie. Okazało się to jednak nieprawdą. Spotkałem potwory i fakt ten uświadomił mi z całą mocą moje absolutne wyalienowanie. Nie potrafiłbym żyć wśród tych stworzeń; wolałbym raczej przyłączyć się do stada hien. Mimo to wiem, że jestem jednym z nich i że kiedyś stałbym się dokładnie taki sam jak oni.

Postanowiłem więc zakończyć to tutaj i teraz. Jeżeli czytacie te słowa, znaczy to, że stało się to, co miało się stać, i że uwolniliście świat od niebezpiecznych, odrażających pasożytów. Myślę o trojgu moich... kolegach, ja bowiem nie jestem jeszcze niebezpieczny ani, mam nadzieję, odrażający. Z pewnością jednak, prędzej czy później, przyszlaby i moja kolej. Za jakiś czas – może za dwieście, a może za trzysta lat – umysł zacząłby odmawiać mi posłuszeństwa, zaś ciało żyłoby dalej, z każdym rokiem stając się coraz bardziej wstrętnym i obrzydliwym.

Zdecydowanie wolę ten koniec, jaki sam sobie przygotowałem. Założę najlepszy strój wizytowy (wspomnienie po latach studenckich, kiedy mogłem jeszcze odwiedzać krawca, by ten wziął dokładną miarę), pójdę do Starego Zajazdu i powiem moim pobratymcom, że postanowiłem przyłączyć się do nich. Powiedzą mi z całą pewnością, że nie ma już dla mnie miejsca w ich kryjówce, ja zaś odpowiem, że prześlę tę noc w prowadzącym do niej tunelu. Jeśli prawidłowo Panią oceniłem, dr Tolliver, a także Pani współpracowników, to jeszcze przed zachodem słońca powinniście uwolnić mnie od jakichkolwiek kłopotów mieszkaniowych.

Zdziwi was zapewne mój strój. Szczerze mówiąc, ja także nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Przypuszczam, iż jest to ostatnia próba udowodnienia, że chociaż bez wątpienia jestem jednym z tych odrażających stworzeń, to jednocześnie jestem jednak inny – i lepszy. Bez wątpienia jest również coś zabawnego w myśli, że gdy poczuję wbijający mi się w serce drewniany kołek, będę ubrany dokładnie tak jak sam baron Dracula. Chociaż, chyba analiza ta nie ma żadnego sensu. Nigdy jeszcze nie słyszałem o wampirze, który potrafiłby ocenić i docenić zabawność jakiegokolwiek sytuacji; znacznie bardziej prawdopodobne jest raczej to, że po prostu zaczyna mnie już zawodzić mój umysł.

Nie mogę być człowiekiem. Nie chcę być tym, czym jestem.

Z poważaniem

Clifford M.

przełożył Arkadiusz Nakoniecznik